NAGRODY STRAŻNIKA PAMIĘCI 2017 – WRĘCZONE!

Jarosław Marek Rymkiewicz specjalnie dla Czytelników „Do Rzeczy”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 46/248 13–19 LISTOPADA 2017

Miliardy dolarów Sorosa przeciw Polsce

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM O PRÓBIE ZABICIA PRZEZ BEZPIEKĘ OPOZYCJONISTY PIOTRA JEGLIŃSKIEGO

Horubała broni Kaczyńskiego przed Demirskim

Lewacy znów wpadli w amok

Molestowanie – nowa obsesja

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 105 tys. egzemplarzy

eprasa.pl e6d6d

100% polski produkt

OGŁOSZENIE WYNIKÓW KONKURSU
100% POLSKI PRODUKT

JUŻ 22 LISTOPADA
PODCZAS UROCZYSTEJ GALI
W HOTELU POLONIA PALACE
W WARSZAWIE

PATRONAT HONOROWY:

MINISTERSTWO ROZWOJU

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

PARP

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Polska Agencja Inwestycji i Handlu
Grupa PFR

PARTNERZY: ORLEN, Enea, PHN, asseco, ALIOR BANK, pesa Bydgoszcz SA, URSUS, Paged COLLECTION, CEDROB

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

PATRONI MEDIALNI: Do Rzeczy, TVP POLONIA

eprasa.pl e6d6dc5680

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kryzys na własne życzenie

Czyżby rząd PiS znudzony nieporadnością opozycji postanowił przegrać walkę sam ze sobą? Trudno wyzbyć mi się tej myśli, kiedy obserwuję, jak dzień po dniu kolejni ministrowie i politycy należący do obozu Zjednoczonej Prawicy opowiadają o tym, kiedy i w jaki sposób nastąpi rekonstrukcja, kto, dlaczego i w związku z czym straci lub zyska stanowisko rządowe. Te spekulacje wprowadzają stan niepewności, przyczyniają się do poczucia chaosu i niejasności – a przecież właśnie stabilność i stałość jest ważną zaletą obecnych rządów. Dziwaczne to naprawdę i niepojęte.

Rozumiałbym jeszcze, gdyby powodem debaty o zmianach był nowy kryzys, spadek poparcia, nagłe i nieprzewidziane zdarzenia. Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło. Wszystkie dostępne wskaźniki – sondaże poparcia dla partii politycznych, stopień zaufania do różnych polityków, wreszcie ocena rządu – mówią, że obecna władza cieszy się stałym, nawet rosnącym poparciem. Pojawiły się wprawdzie ostatnio badania, według których zaczęło spadać zaufanie do premier Beaty Szydło. Być może tak jest, ale główna wina leży, sądzę, po stronie polityków prawicy. Jeśli samemu nieustannie podważa się i podkopuje autorytet szefowej rządu, to trudno się spodziewać, że nie odbije się to na postawie respondentów.

Jeśli zatem nie ma żadnego zewnętrznego istotnego powodu zmiany, to może jest coś, czego nie wiemy? Może konflikty między poszczególnymi ministrami stały się na tyle głębokie, a napięcie między rządem a prezydentem na tyle silne, że konieczna jest zmiana na stanowisku szefa gabinetu? I może jedyną osobą, która powinna je objąć, jest Jarosław Kaczyński? Zalety tego rozwiązania są jasne. Po pierwsze wreszcie władza byłaby spójna. Istnienie nieformalnego ośrodka zawsze jest złe, gdyż prowadzi do powstawania koterii, frakcji, wreszcie utrudnia faktyczne rządzenie. Po drugie ma to ogromne zalety z punktu widzenia przejrzystości systemu demokratycznego. Po trzecie rzeczywiście, rząd na czele z Jarosławem Kaczyńskim miałby silniejszą pozycję w relacjach z prezydentem.

Jednak czy te argumenty są rozstrzygające? Trudno powiedzieć. Pewne jest zaś, że zmiana na stanowisku premiera byłaby też bardzo ryzykowna. Beata Szydło ma te cechy, które z punktu widzenia wizerunkowego rządowi służą. Daje poczucie pewności, spokoju, przewidywalności. A co najważniejsze, ani jej wystąpienia, ani sposób sprawowania władzy nie budzą agresji. Opozycji trudniej połączyć siły, trudniej ogłosić, że znajdujemy się w sytuacji stanu nadzwyczajnego pod rządami obecnej premier. Łagodzi i uspokaja wizerunek PiS. Nawet jeśli nie jest w stanie uśmierzyć konfliktów między członkami gabinetu, to wynika to z tego, że dobrze zna granice swojej władzy i nie próbuje konkurować z prezesem. Gdyby na czele rządu stanął Jarosław Kaczyński, byłoby na pewno mniej konfliktów i decyzje podejmowano by szybciej, jednak łatwiej też byłoby opozycji przeciw niemu występować. Można też przypuszczać, że taka zmiana odbiłaby się negatywnie na sondażach. A to tym bardziej istotne, że Polskę czekają dwa lata kolejnych wyborów.

Tak czy inaczej, przeciąganie obecnego stanu niepewności jest wyjątkowo szkodliwe. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl e6d6dc5680

TEMAT TYGODNIA

26 ŁUKASZ WARZECHA
SAMIEC TWÓJ WRÓG
Molestowanie – nowa obsesja lewaków

29 ROZMOWA Z MAGDALENĄ KORZEKWĄ-KALISZUK
NIESMACZNY ŻART TO NIE GWAŁT

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI
LUDZIE ZAKOCHANI W POLSCE
Relacja z V Gali wręczenia nagród Strażnik Pamięci

22 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM
ROZŁOŻENIE RĄK

KRAJ

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RZĄD NA WYBORY
Prawdziwe powody rekonstrukcji rządu

34 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZIMNA WOJNA O BANDERĘ

KULTURA

36 ANDRZEJ HORUBAŁA
K. JAK KACZYŃSKI
Premiera Demirskiego i Strzępki

39 PIOTR GOCIEK
THOR, KOLEGA Z PRACY

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 OLIVIER BAULT
18 MILIARDÓW SOROSA
Idee za pieniądze

52 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
POLSKA TO DLA NICH ANOMALIA

56 PIOTR SEMKA
EUROWYRÓB HISTORIOPODOBNY

60 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
EWANGELIZACYJNE POGADUSZKI W MIEJSCE TEOLOGII

HISTORIA

64 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
BOCHEŃSKI JAKO PRETEKST
Realizm kontra katastrofa

66 FILIP MEMCHES
AKSAMITNY FANATYZM

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z ROLFEM NIKELEM
KWESTIA REPARACJI WOJENNYCH JEST JUŻ ZAMKNIĘTA
Ambasador obiecuje: Ambasada Niemiec pomoże walczyć z fałszowaniem historii

74 TERESA STYLIŃSKA
KSIĘCIA KAROLA GRA O TRON

76 ROZMOWA Z AUTOREM KSIĄŻKI „PAPIEŻ, KTÓRY ZAPALIŁ ŚWIAT"
FRANCISZEK W OBLĘŻONEJ TWIERDZY

EKONOMIA

80 STEFAN SĘKOWSKI
ANTYCENOWA HISTERIA
Drożyzna czy norma

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
BOGACI NIE CHCĄ BYĆ UCZCIWI

84 MARCIN MAKOWSKI
RZĄD JANOSIK

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (12), POSPIESZALSKI (46), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (68), KOWALCZUK (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (100), TYRMAND (104), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl e6d6dc5680

eprasa.pl e6d6dc5680

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa głosy w sprawie naszych artykułów z ostatniego numeru. Dziękujemy za wszystkie listy, a także za aktywność w Internecie.

„Akcent na akcent"

Jestem od niedawna systematyczną czytelniczką Państwa tygodnika.

Szczerze i mocno solidaryzuję się z panem Igorem Zalewskim (felieton z cyklu „Pod wąs", „Do Rzeczy" 45/2017); moja wrażliwość na niepoprawne akcentowanie naszych polskich słów jest identyczna jak Pana Redaktora. Toż to jest prawdziwa plaga, istny potop: kaleczenie wdzięcznej melodyki języka ojczystego! Zauważyłam, że źle akcentują nie tylko nauczyciele szkół

średnich, notabene poloniści, lecz także osoby z cenzusem naukowym. Wpadki zdarzały się nawet samemu Janowi Pawłowi II... Te barbarzyńskie błędy i mnie się, paradoksalnie, udzielają (kropla drąży kamień...) – łapię się na tym, że czytając coś po cichu, czasami muszę sama siebie poprawić, bo czuję wewnętrzny zgrzyt w myślach.

Może mnie Pan Redaktor Zalewski poprawi, ale jestem zdania, że rodacy z Kresów Wschodnich (obecnego terytorium RP) mają lepsze wyczucie języka polskiego; rzadziej go „torturują".

Łączę pozdrowienia
Grażyna Szatkowska,
Kościerzyna

„Polowanie na myśliwych"

Redaktor Łukasz Warzecha w ostatnim „Do Rzeczy" (45/247) bierze w obronę myśliwych i myślistwo przed – jak uważa – lewackim punktem widzenia wrogów tego procederu. Niestety, jako przekonany konserwatysta nie jestem w stanie podzielić jego poglądów w tej materii. Mnie także, podobnie jak prezesa Kaczyńskiego, obrzydza myśl, że ktoś może czerpać przyjemność z zabijania lub patrzenia na agonię. Także patrzenia na śmierć zwierząt zabijanych dla „sportu", a nie z głodu, co byłbym w stanie zrozumieć.

Łowiectwo, zdaniem redaktora Warzechy, wymaga hartu, odwagi i wytrwałości. Mógłbym uwierzyć w te argumenty, gdyby myśliwy dysponował oszczepem, łukiem albo przynajmniej bronią czarnoprochową (której jestem wielkim fanem!) i tak wyposażony pragnął zmierzyć się z niedźwiedziem, żubrem lub choćby dzikiem. Jakiej jednak odwagi i hartu wymagają wygodne siedzenie na ambonie myśliwskiej i strzał z nowoczesnego sztucera wyposażonego w najlepsze przyrządy celownicze do sarny czy jelenia? Chyba tylko takiej, by nie nabawić się hemoroidów od długiego siedzenia albo by nie spaść z drabiny przy schodzeniu po długim oczekiwaniu (umilanym sobie piersióweczką) na możliwość oddania strzału.

Nie trafia do mnie także argument, że myślistwo to kontynuacja dawnych tradycji. Dlaczego np. zrezygnowaliśmy zatem z turniejów rycerskich, nie tych udawanych współcześnie, ale prawdziwych, na śmierć i życie?

Kolejny argument o regulacji gatunków podobny jest do dowcipu, że socjalizm bohatersko walczył z problemami, które sam stworzył. Najpierw myśliwi wybili niemal do końca (na szczęście jednak nie) wszystkie duże drapieżniki, a potem „musieli" przejąć ich rolę. Dziwne jednak, że o ile wilk zabija na ogół najsłabsze i chore zwierzęta, spełniając tym ważną rolę biologiczną, o tyle myśliwy pragnąc mieć piękne trofeum, na ogół zabija te najbardziej wartościowe.

Mój wujek leśnik pracujący w Krośnieńskiem mawiał jeszcze w latach 90. ub. wieku: w Polsce rządzi Polska Partia Polujących – ci politycy, którzy w Sejmie przed kamerami tak zażarcie się kłócą, u mnie, w Bieszczadach, zgodnie piją wódkę na polowaniach. Lobby myśliwskie nie ma barw politycznych. I dlatego nie popierając anarchistycznych działań lewackich organizacji walczących czynnie z myśliwymi, mam jednak poglądy na temat myślistwa całkowicie zbieżne z prezesem Prawa i Sprawiedliwości.

Wojciech Zajączkowski,
Łódź

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Fotolia, Opracowanie graficzne: SUNDAY**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa**
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z płytą 296430
Nakład 105 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl e6d6dc5680

Na półmetku rośnie tylko rządzącym

Rok temu poparcie dla PiS (Zjednoczonej Prawicy) oscylowało wokół wyniku z wyborów 2015 r. Zażarty bój o liderowanie opozycji toczyła Nowoczesna, nieznacznie prowadząc z PO. Ten obraz po kolejnych 12 miesiącach, a w połowie kadencji w Sejmie, uległ zasadniczej zmianie.

Po pierwsze, na wyraźne prowadzenie wysunęło się PiS (ZP), którego poparcie wzrosło od wborów aż o 7 punktów procentowych. Realizacja obietnic z kampanii i dobra koniunktura w gospodarce zrobiły swoje.

Po drugie, rywalizację o drugie miejsce wygrała partia Grzegorza Schetyny, wyprzedzając o prawie dwie i pół długości formację Ryszarda Petru. Na ten stan rzeczy duży wpływ miała i – jak się wydaje – ma do dziś pozostająca w pamięci centrowo-liberalnego elektoratu niefortunna wyprawa na Maderę lidera Nowoczesnej z partyjną koleżanką.

Istotne statystycznie zmiany in minus po dwóch latach od wyborów objęły PO, SLD (w porównaniu z rezultatem Zjednoczonej Lewicy z 2015 r.) oraz Wolność (dawny KORWiN). Dla pozostałych formacji nie zmieniło się nic (Kukiz'15, Nowoczesna, PSL) lub prawie nic (Razem).

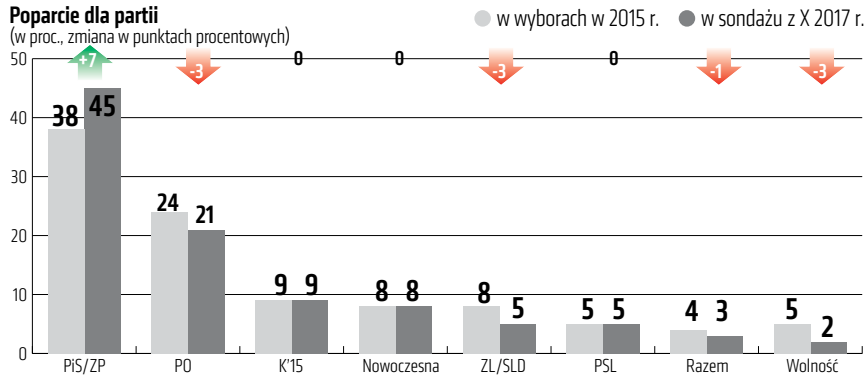

Czy to możliwe, że wzrost notowań PiS (ZP) odbył się kosztem PO, lewicy czy Wolności? W niewielkim stopniu. Popularność rządzących na półmetku to głównie efekt przyciągnięcia tych, którzy wcześniej nie głosowali. Przy partiach, przy których notowaniach pojawił się minus, spora część dotychczasowych wyborców przeszła z kolei na pozycje pasywne. Teoretycznie utrzymanie tego stanu rzeczy przy dalszej słabości opozycji powinno zaowocować zbliżonym do właśnie omawianego poparciem partyjnym w październiku 2018 r. A praktycznie – kto z nas dziś wie, komu i kiedy przez ten czas przydarzy się „wyskok à la Madera", który może znacząco zaburzyć słupki sondażowe? ©℗

Marcin Palade

REKLAMA

ROAMER C-LINE – ZEGARKI, KTÓRE NIGDY NIE STRACĄ BLASKU

Kolekcje ROAMER łączą dumną historię marki z wyjątkowym designem. Nowa linia C-LINE pięknie odzwierciedla klasycznie elegancki wygląd, niezawodność, jak również jakość Swiss Made. Do stworzenia zegarków wykorzystano jedynie najwyższej jakości materiały: gwarantujące niezawodność szwajcarskie mechanizmy kwarcowe, stal szlachetną, gładkie i odporne na zarysowania szafirowe szkło oraz połyskującą ceramikę. Minimalistyczny wygląd tarczy C-LINE oraz równy, regularny kształt wskazówek i indeksów godzin sprawiają urzekające wrażenie. W zależności od wyboru modelu – w odcieniu srebrnym, różowego złota lub złota – kontrastują one z czarną lub białą, lśniącą ceramiką.
Co ciekawe, jej blask nie przemija z upływem czasu.
Za kilka lat zegarek nadal będzie wyglądał tak, jak w dniu zakupu!

CENA: 1790 zł

Połączenie wysokiej jakości materiałów wytwarzanych w szwajcarskiej tradycji doskonałości sprawia, że ten czasomierz ROAMER to nie tylko wspaniały zegarek, ale i wyjątkowa biżuteria.

eprasa.pl e6d6dc5680

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ach, śpij, kochanie...

...jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz – tak brzmiał tekst przedwojennej filmowej kołysanki.

Skojarzenie z obietnicą przyznania jakiegoś prezentu, aby szybko przykryć kłopotliwy spór, w relacjach polsko-niemieckich przydarza się niezwykle często. I to skojarzenie wróciło parę dni temu, gdy rozgorzał spór wokół wypowiedzi minister obrony Ursuli von der Leyen o tym, że „zdrowy demokratyczny opór młodego pokolenia w Polsce trzeba wspierać".

Wygibasy, jakie wokół tego cytatu wyczyniali nasi krajowi obrońcy Niemiec, byłyby tematem na odrębny felieton. Wpierw twierdzono, że krytycy pani minister źle zrozumieli jej tekst, potem że wyrwano cytat z kontekstu, by w końcu uznać, że owszem – powiedziała, co powiedziała, ale przecież miała rację. Rzecznik niemieckiego MON w taktyce obrony swojej szefowej wybrał kompilację argumentów od twierdzeń, że słowa „wyrwano z kontekstu", po tezę, że pani von der Leyen tak naprawdę broniła Polski.

Owszem, pani minister broniła Polski, ale w bardzo specyficzny sposób. Wskazywała, by nie kłaść na Polsce i na Węgrzech krzyżyka, bo nasz kraj w epoce Solidarności miał zasługi dla demokracji, a ponadto młodzieżowy bunt nad Wisłą jeszcze się nie zakończył. Łatwo zauważyć, że taki ciąg myślowy prowadzi do wniosku, że obecna ekipa nie przetrwa u władzy i trzeba w tym procesie pomagać młodym oponentom. Tak jakby ekipa PiS nie miała demokratycznej legitymacji, tylko była rządem okupantów. Czy można się dziwić, że polski rząd nie mógł przyjąć tej wypowiedzi spokojnie?

I oto w samym szczycie sporu o słowa pani minister „Gazeta Wyborcza" ogłasza: „Niemcy uczczą Polaków – w miejscu, gdzie Ribbentrop witał Mołotowa, Niemcy chcą postawić pomnik Polakom zamordowanym podczas II wojny światowej". W tytule użyto dwuznacznego pojęcia „Niemcy", które w języku polskim oznacza zarówno kraj, jak i dowolną liczebnie grupę ludzi. Gdy wczytać się w tekst, widać zresztą, że chodzi o jedną, acz zacną inicjatywę Wolfganga Schneiderhana.

Jest to 73-letni były inspektor Bundeswehry i były szef Federalnego Urzędu Budownictwa i Planowania Przestrzennego. Zbiera on podpisy za zbudowaniem w Berlinie pomnika ku czci Polaków zamordowanych w ostatniej wojnie i ma już poparcie znanych postaci, takich jak byli szefowie Bundestagu, były szef Parlamentu Europejskiego i znani historycy. Ale to ciągle projekt w bardzo wczesnej fazie. Nie zaakceptował go ani urząd kanclerski, ani żadna z partii.

Trudno nie odnieść wrażenia, że informacja sugerująca, iż powstanie pomnika Polaków w Berlinie jest tuż-tuż, była sygnałem, który mógł wyjść z kręgów niemieckiej dyplomacji. News idealny do pokazania, że coś się robi w sprawie uczczenia Polaków nad Szprewą. Na tyle atrakcyjnie brzmiący, by dawał argumenty polskim obrońcom RFN, a jednocześnie na tyle ogólnikowy, by nie dało się nikogo z rządu RFN z tego powodu rozliczać.

Tyle że to tylko plaster na problem negowania demokratycznego wyboru ekipy PiS. I tu leży problem, a nie w skądinąd miłej inicjatywie pana Schneiderhana. A obietnica prezentu za parę lat niewiele zmienia. ©℗

FOT. JIM WATSON/AFP/EAST NEWS

DONALD TRUMP PODBIŁ SMOKA

Ponad 250 mld dol. mają wartość kontrakty, które zawarto przy okazji pierwszej wizyty nowego prezydenta USA w Chinach. Jednym z głównych tematów rozmów Donalda Trumpa z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem była wymiana handlowa, a zwłaszcza obiecywane przez Trumpa ograniczenie amerykańskiego deficytu. Gospodarz Białego Dpomu, znany z ostrych słów pod adresem Chin, mocno złagodził ton. Stanowczo apelował jednak, aby władze w Pekinie pomogły w rozwiązaniu problemu Korei Północnej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER
OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

DODATEK SPECJALNY

Władysław Studnicki
w 150. rocznicę urodzin

Maciej Rosalak – **Krucjaty, samoobrona Zachodu**
Michael Haag – **Tajemnice templariuszy**
Jakub Ostromęcki – **Polacy na wyprawach krzyżowych**
Sławomir Cenckiewicz – **SB chciała podtruć Annę Walentynowicz**
Marcin Bartnicki – **Szaleństwo dowódcy ORP „Orzeł"**
Stanisław Rusek – **Walczyłem u „Zapory"**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Tuwim do Berezy Kartuskiej**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e6d6dc5680

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

100 : 1

Internetowy profil Nagroda Złotego Goebbelsa, wyspecjalizowany w demaskowaniu hipokryzji i manipulacji mediów „salonu" (polecam), policzył, że w ciągu kilkunastu dni „Gazeta Wyborcza" na papierze i w mutacjach internetowych zamieściła 100 różnych publikacji poświęconych samospaleniu Piotra Szczęsnego, w tej liczbie kilka tekstów w centralnym miejscu na pierwszej stronie, jeden, w wydaniu weekendowym, zilustrowany całostronicowym portretem „ofiary PiS". Ponieważ kolejne manifesty, dywagacje i wywiady na temat „czynu" Piotra Szczęsnego ukazują się tam wciąż regularnie, do chwili obecnej liczba ta na pewno znacząco wzrosła.

O anonimowym nieszczęśniku z Rzeszowa nie wspomina nikt

Samospalenie nieznanego z imienia i nazwiska „szarego człowieka" pod sądem w Rzeszowie ta sama gazeta skwitowała jedną informacyjną notką, o rozmiarach mniej więcej pudełka zapałek.

Wielkość i sens ofiary złożonej przez Piotra Szczęsnego, pompatycznie określonego przez agit-prop poprzedniej władzy „szarym człowiekiem" (nawiązanie do śp. Ryszarda Siwca), podkreślili na różne sposoby nie tylko publicyści gazety, lecz także rozliczni celebryci, filozofowie i inni eksperci od moralności, w tym kilku wyznawców michnikowszczyzny będących z zawodu księżmi, nawet jeden biskup. Formułowane na wiele sposobów przesłanie ich wypowiedzi sprowadzało się do jednego: „Lepiej spłonąć niż zgnić od pleśni spowodowanej wilgocią ze święconej wody".

O anonimowym nieszczęśniku z Rzeszowa nie wspomina nikt. Jeden tylko prezydent Słupska, Robert Biedroń, w kręgach, o których mowa, uważany za kandydata na „polskiego Macrona", zamieścił na Twitterze wpis: „Przed polskimi sądami płonęły już znicze, teraz płoną ludzie". Biedroń uznał odruchowo, że jak ktoś spalił się przed sądem, to na pewno „w obronie wolności". Ale szybko okazało się, że desperacki krok poczyniła raczej ofiara „nadzwyczajnej kasty" niż jej obrońca. Podobno właśnie wyszedł z rozprawy, na której go skazano, i miał ze sobą jakieś akta, pisma procesowe. Można się domyślać, że czuł się bezsilny wobec systemu, skrzywdzony. Nie wiemy, czy naprawdę miał powody tak się czuć. Nic w ogóle pewnego o nim nie wiemy.

Kto tu naprawdę jest „szarym człowiekiem"? A kto cyniczną, pozbawioną elementarnych ludzkich odruchów hieną? ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Rewia kapitana Schetyny

Totalna opozycja na rok przed wyborami samorządowymi postanowiła rozbawić wyborców, wystawiając plebejsko wulgarną burleskę: „Wspólna lista opozycji". Miała już kilka mocnych aktów. I tak np. prawdziwie tragiczni bohaterowie spektaklu – politycy Nowoczesnej – dowiedzieli się, że „wspólna lista" oznacza po prostu: „Kandydat PO i morda w kubeł".

Dialogi, w których przyszli sojusznicy wyzywają się nawzajem od niedojrzałych i niewiarygodnych, napisał mistrz gatunku. Pomyśleć można, że praktykował już w tej dziedzinie w latach 90., kiedy to sztuki i sztuczki pod hasłem „wspólna lista" odstawiały prawicowe kanapy.

Na wypadek, gdyby przekaz był dla Nowoczesnych niezrozumiały, jedna z gazet opublikowała opowieść byłego gangstera „Masy", znanego z tego, że powie to, czego się od niego oczekuje. Tym razem mówi, że Paweł Rabiej, kandydat partii Petru, był „chłopcem na posyłki" bandytów. Gangsterskie metody, ale skuteczne, bo na ten moment Rabiej politycznie niemal umarł w butach. Jak w każdym dobrym spektaklu nie brakuje suspensów i oto Grzegorz Schetyna zapowiedział, że dokona rekonstrukcji swojego gabinetu cieni.

To zresztą pierwszy w historii III RP gabinet cieni z prawdziwego zdarzenia – jest tak bardzo w cieniu, że do wyborców, także PO, nie dochodzą żadne informacje o jego działaniach. Teraz fani w trwożnym milczeniu zastanawiają się, czy uroczy Borys Budka zachowa fotel szefa MSW w cieniu albo czy błyskotliwie inteligentna Kinga Gajewska zostanie cieniowym szefem MEN. Kabaret.

Tylko niektórzy drugoplanowi aktorzy tego opozycyjnego spektaklu coraz częściej obawiają się – nie bez racji – że ta wierna widownia znów wykpi ich przy urnach. ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Test dla Porozumienia

Do Sejmu trafił projekt zmian w ustawie o ochronie zwierząt, który wygasi – jeśli zostanie uchwalony – polską branżę futerkową. Przy czym „wygasi" to określenie bardzo delikatne. Adekwatniejsze jest „zniszczy", „zrówna z ziemią", „zniweczy".

Projekt złożyła grupa posłów PiS z Krzysztofem Czabańskim na czele. Z powodów czysto ideologicznych, powtarzając narrację organizacji grających naiwnością, skrajnymi emocjami i kłamstwem, wnioskodawcy chcą jednym przepisem skasować lata pracy polskich przedsiębiorców, zniszczyć dziesiątki tysięcy miejsc pracy i życie tysięcy ludzi, z których część zostanie z niespłaconymi kredytami wziętymi na rozwój swoich biznesów.

Projekt jest poselski, więc niestety wnioskodawcy nie musieli szacować, ile miejsc pracy stracą ludzie i ilu z nich pójdzie na garnuszek państwa

Polska jest w Europie futrzarską potęgą. Jesteśmy drugim producentem futer po Duńczykach. Gdyby wierzyć w teorie spiskowe, należałoby zadać pytanie: Qui prodest? Na pewno właśnie duńskim hodowcom, a także rosyjskim. Przy czym na rosyjskich fermach warunki są oczywiście bez porównania gorsze niż na polskich, gdzie hodowcy zwykle stosują się do wyśrubowanych standardów, które sami sobie narzucili.

Bez teorii spiskowych trzeba zaś przyjąć, że pomysłodawców tego kuriozum ogarnął po prostu ideologiczny amok. Dokładnie taki sam, jaki ogarnia skrajnych lewaków, gdy pojawiają się tematy motoryzacji, praw zwierząt czy aborcji. Nie sposób pojąć, że posłowie podobno „prawicowi" bez drgnienia powieki chcą oddać innym jeden z naszych najlepszych eksportowych przemysłów.

Czy im się uda? Projekt jest poselski, więc niestety nie musi zawierać ani oceny skutków regulacji, ani przechodzić konsultacji. (Ta szybka ścieżka dla poselskich projektów jest zresztą skandalem sama w sobie). Wnioskodawcy nie musieli więc szacować, ile miejsc pracy stracą ludzie i ilu z nich pójdzie na garnuszek państwa.

Jednak przecież mamy w Zjednoczonej Prawicy nową, wolnościową, wolnorynkową partię Jarosława Gowina – Porozumienie. To dla niej świetny test. Niech pan wicepremier pokaże, że potrafi skutecznie bronić interesów polskich przedsiębiorców (zagraniczni hodowcy to w Polsce ledwie kilka procent). Niech zablokuje ten skrajnie fatalny projekt. Chyba że przełknie go, tak jak przełknął inne etatystyczne regulacje – nie ciesząc się. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Trochę obłudy i szczypta szaleństwa

Twitter szybko przypomina niekonsekwencję i hipokryzję. Obie rzeczy wytknięto w ubiegłym tygodniu Dominice Wielowieyskiej i Renacie Grochal.

Chwilę po samospaleniu (wtedy jeszcze) Piotra S. obie zgodnie zaapelowały o „nierozpatrywanie w kategoriach politycznych tego tragicznego i smutnego wydarzenia" oraz „nierobienie polityki na dramatycznym geście desperata". Minęło 11 dni, Piotr Szczęsny niestety zmarł. Już pod pełnym nazwiskiem i z twarzą, na której redakcje obu pań jednak postanowiły zrobić politykę.

I tak konto Radia TOK FM pokazało Dominikę Wielowieyską pochylającą się nad przeglądem prasy oraz jej refleksję pt. „Czy śmierć Piotra S. obciąża Prawo i Sprawiedliwość?". W tym samym czasie Renata Grochal napisała: „Karnowski swoim ohydnym tekstem próbuje odwrócić uwagę od istoty sprawy – od samospalenia w proteście przeciwko rządom PiS. Nic z tego". Jak rozumiem, ostatnie zdanie w akcie samokrytyki.

Swoją drogą to intrygujące, że gdzieś obok nurtu politycznego na śmierci „szarego człowieka" uformował się również nurt religijny. Jeden z założycieli KOD stwierdził, że mamy do czynienia z reinkarnacją św. Piotra („Tu es Petrus"), płk Mazguła – że to gest większy niż śmierć na krzyżu Jezusa, z kolei jezuita o. Kramer pogratulował odwagi samobójcy. Za co później, gdy ochłonął, przeprosił.

Z życia partyjnego warto wymienić huczny początek kampanii Rafała Trzaskowskiego na prezydenta Warszawy. On sam zainaugurował ją żalami na „pisowskich hejterów", z kolei partia matka – słynnym już plakatem. Na pierwszym planie widnieje duża i jasna twarz Rafała, który „chce, aby stolica nadal się rozwijała". Na drugim: zapluty karzeł Patryk Jaki, który „chroni winnych dzikiej reprywatyzacji!". „Piąteczek w PO zaczął się dziś chyba za wcześnie..." – skomentował Sebastian Kaleta.

Z rzeczy drobnych: była już pracownica Twittera w ostatnim dniu roboty na 11 minut zawiesiła konto Donalda Trumpa. Natomiast pod koniec tygodnia, z własnej woli i ze względu na „zalew hejtu, na który pozwalają niektórzy politycy opozycji", zniknął Samuel Pereira. Samuelu, bierz się w garść i wracaj. ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

dwaj panowie g

No, masz ci los z tym rządem – zamiast rekonstrukcji będzie restrukturyzacja. Bo zmiany mają mieć charakter strukturalny. A nawet restrukturalny. Przyglądamy się temu z pewną podejrzliwością. Każdy obserwator polskich transformacji wie bowiem dobrze, że nieodzowną cechą restrukturyzacji zakładu pracy są zwolnienia grupowe.

Ponieważ rząd dobrej zmiany jest rządem wyjątkowym, chcielibyśmy też, żeby wszystkie ważne dotyczące go wydarzenia miały charakter wyjątkowy. Dlatego proponujemy wyjątkowo nowe słowo. Rząd czeka rekonstrukturyzacja.

Najgorsza jest ta niepewność. Spotykają się, gadają, a rekonstrukturyzacji jak nie było, tak nie ma. Napięcie sięga zenitu, dziennikarzom siadają nerwy i zaczynają mówić od rzeczy. W Polsacie – że u Kaczora-Dyktatora spotkała się zjednoczona lewica. W Polskim Radiu – że na Nowogrodzkiej obradowali przywódcy Zjednoczonej Opozycji. Mości Dyktatorze! Decyzje! Decyzje! Bo tu ludziska już zaczynają wariować!

My serio z tymi odmętami szaleństwa. Od kiedy w TVP Info zobaczyliśmy pasek: „Mariusz Błaszczak – minister obrony i dziedzictwa narodowego", nic już nie będzie takie samo.

Mamy w związku z tym dwie refleksje. W patriotycznym rządzie dobrej zmiany to chyba każdy minister jest także od dziedzictwa narodowego. Można więc rutynowo taki człon wszystkim dodawać. No, a taki minister zdrowia to jest niewątpliwie także ministrem spraw wewnętrznych.

Najbardziej spodobało nam się, że Grzesiek Schetyna w odpowiedzi na knowania kaczystowskie zapowiedział rekonstrukcję gabinetu cieni PeŁo. Przypominamy, że aby być na czasie, powinna być to rekonstrukturyzacja gabinetu cieni. Tutaj również prosi się o zwolnienia grupowe.

Przy okazji drobny żarcik lingwistyczno-filozoficzny. Co gorsze dla polityka: dymisja cienia czy cień dymisji?

À propos cienia dymisji: pewien wpływowy polityk zachęcał nas w ubiegłym tygodniu do odwiedzenia tegorocznego Forum Polityki Zagranicznej. – Przyjdźcie, chłopaki, będzie fajnie! – namawiał. – Będzie przemawiał Witek Waszczykowski. To już chyba ostatnia okazja, żeby go posłuchać.

Z okazji Święta Niepodległości postanowiliśmy się przyjrzeć resortowi wielkiego hetmana koronnego Antoniego. Wszyscy gadają o nominacjach generalskich, ale ciekawsze są pułkownikowskie. Hetman Antoni wszystkie takie awanse zatwierdza osobiście, po uważnej lekturze akt IPN i CAW. Nie ma przebacz – żaden weteran WSW czy innego Zarządu II (PRL-owski wywiad wojskowy) się nie prześliźnie. W dodatku szef departamentu kadr MON to były pracownik IPN, dawny członek Komisji Weryfikacyjnej, mocno cięty na czerwonych i różowych. Co za pech!

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jest gorzej – wnikliwa lustracja obejmuje także MON-owskie resortowe dzieci. W tych środowiskach popularne było bowiem kultywowanie tradycji rodzinnych, które zaszczepiali swym wojskowym potomkom wojskowi z LWP. No, i kolejnej generacji resortowych dzieci nie będzie. Zdradzamy tę tajemnicę na wypadek, gdyby ktoś chciał brać na poważnie żale wylewane w książce „Generałowie".

Z entuzjazmem przyjmujemy propozycję Antoniego, by przywrócić tradycyjne polskie stopnie wojskowe. Zamiast kapitana znów będzie rotmistrz, zamiast sierżanta – wachmistrz, zamiast szeregowego – strzelec albo kanonier. Mamy nadzieję, że powrót tradycji obejmie też najważniejsze stopnie w państwie, niekoniecznie wojskowe. Na przykład: jest „prezes PiS", powinno być „Naczelnik Państwa".

Z braku laku, czyli rekonstrukturyzacji, witamy na polskiej scenie politycznej nowe ugrupowanie: PoGo. Czyli Porozumienie Gowina. Musimy dodawać, że Gowina, bo inaczej skrót brzmiałby „Po". Zauważamy, że nowe ugrupowanie już ma pewne osiągnięcia. Na przykład logo.

Logo PoGo bardzo nam się podoba. Przedstawia coś na kształt Polski złożonej z fioletowych autostrad. Jedna autostrada wiedzie ze Szczecina przez Poznań do Wrocławia, a druga jest esem-floresem od Gdańska przez Warszawę do Krakowa. Całość przypomina dzieło sztuki abstrakcyjnej. Podobnie abstrakcyjne są cele nowego ugrupowania.

Dzięki PoGo bezdomny nie jest już wyklęty Humphrey Bogart polskiej polityki, Zbigniew Gryglas. Z posła-ronina zamienił się w wiceprzewodniczącego PoGo. Już wyjaśniamy, o co chodzi z Bogartem. Według Marka Hłaski amerykański aktor grał ze słynnym cierpiętniczym wyrazem twarzy, gdyż zakładał prawy but na lewą nogę i odwrotnie. Popatrzcie uważnie na Gryglasa. Jakież on musi mieć ciasne buty!

Skoro Gryglas został już ważną figurą w PoGo, to możemy zacząć ujawniać jego tajemnice. Dzisiaj tajemnica numer jeden: Gryglas sam piecze sobie chleb i świetnie zna się na zakwasach. Jest także zdumiony, że ludzie kupują chleb, zamiast go sobie upiec, bo to bardzo proste. Sami rozumiecie, że taki facet nie mógł się utrzymać w partii Ryśka Petru. Nie wiemy jednak, dlaczego nie poszedł do Peezelu.

W natłoku epokowych politycznych przetasowań niektórym umknęła bardzo ważna informacja o po-

eprasa.pl e6d6dc5680

Kolejni kukiści zmieniają barwy partyjne, koła, a nawet fryzury

wstaniu nowej formacji opozycyjnej. To SEDNO, czyli Stowarzyszenie Europejska Demokracja – Nadzieja i Otwartość. Naszym zdaniem skrót jeszcze lepiej brzmiałby bez „stowarzyszenie" i bez „europejska".

Niestety, przedstawicieli SEDNA nie było na koalicyjnych negocjacjach w pokoju Ryśka Petru, gdzie nad wspólnymi listami „Ein Totalopposition" obradowali Rysiek, Andrzej Halicki, Jacek Protasiewicz (jako europejski demokrata), Baśka Nowacka i jeszcze taki jeden chudy, wysoki z KOD, ale nie Wielki Kuc Kijowski. Żałujemy, że nie pojawiły się tam kamery HBO. Oni mają taki cykl: „Stand-up Comedy Club".

Z życia kukistów. Źli ludzie opowiadają, że Stanisław Tyszka nie pomaga. Chociaż wydaje mu się, że pomaga. Co ciekawe, opinię tę głoszą zarówno ważni kukiści, jak i ministrowie rządu Bełaty. Czyli to nie może być prawda.

Tymczasem kolejni kukiści zmieniają barwy partyjne, koła, a nawet fryzury. Jacek Wilk, pozostając w klubie sejmowym kubistów, zamknął w Katowicach biuro poselskie z napisem: Kongres Nowej Prawicy i otworzył nowe z napisem: Partia Wolność. Jesteśmy pod wrażeniem.

Jako że pozyskaliśmy sensacyjną informację o przejściu posła Adama Andruszkiewicza z klubu kukistów do koła Wolni i Solidarni grubo przed tym, zanim została ujawniona, próbowaliśmy zainteresować nią rozmaite redakcje. I wiecie co? Żadna nie była zainteresowana.

Mamy więcej niepotrzebnych informacji. Na przykład taka: Grzegorz Schet miał ogłosić kandydaturę Rafała Trzaskowskiego na prezydenta Warszawy dopiero pod koniec listopada. Historia jednak ruszyła z kopyta i trzeba było przyspieszyć. Ludzie z Peło będą wam mówili, że to przez próby oczernienia Rafała i sklejania go z Hanką Bufetową Kamieniczniczką. Prawda jest inna – chodziło o to, żeby Nowoczesna Kropka przestała przynudzać o wspólnym kandydacie w stolicy.

Na koniec o prezydencie Andrzeju Sebastianie. Martwi nas prof. Jadwiga Staniszkis. Zaczyna mieć kłopoty z pamięcią. Ogłosiła np., że co do Andrzeja to „sama go wspierałam w wyborach, wciskałam ludziom, że będzie dobrym prezydentem, a teraz się czuję odpowiedzialna za to, co się dzieje". Niestety, z tym wciskaniem różnie bywało. Bo my pamiętamy, jak dwa lata temu przy każdej okazji na offie profesor Jadwiga powtarzała, że Duda to chłystek, niedorostek, chłopiec w krótkich spodenkach i w ogóle się nie nadaje.

Przypomniały nam się osiągnięcia prof. Jadwigi w dziedzinie politycznych proroctw. Jej dorobek naukowy szanujemy, bo łeb ma tęgi, ale z rozeznaniem w tzw. bieżączce bywało różnie. W starej „Rzepie" istniał noworoczny obyczaj: co roku prof. Jadwiga udzielała wywiadu Gośce Subotić, przepowiadała wydarzenia w polskiej polityce w kolejnych 12 miesiącach. I wiecie co? Nic się nigdy nie sprawdziło. Jednak dawaliśmy jej szansę. Kolejny wywiad po roku. Z tym samym skutkiem. ©℗

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 12.11 - 20.12.2017 r. oraz 06.01-25.02.2018 r.
25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 minut dziennie

Turnus Świąteczny 20-27.12.2017
Turnus Noworoczny 27.12-03.01.2018

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl e6d6dc5680

MŁODZI WYKSZTAŁCENI

Kochani, choć trudno w to uwierzyć (iż w ogóle wierzenia to churching i podkarpacie), to już od dwóch lat żyjemy w mrocznej dyktaturze Kaczafiego. Przez ostatnie dwa lata zaszło w tym kraju tak wiele zmian, terror zatacza coraz szersze kręgi, swobody obywatelskie są łamane, a demokracja w zasadzie nie istnieje. Postanowiliśmy więc przygotować dla was zestawienie najważniejszych problemów związanych z rządami wstecznej, ciemnej podkarpackiej dyktatury, iżbyście wiedzieli, co należy myśleć i czego się bać

„500+" – sztandarowy projekt rządu, który do tego stopnia rozbestwił wąsatych januszów i ich grażyny z podkarpacia, że aż zaczęli jeździć na wakacje nad morze i kupować sobie używane kilkuletnie samochody, które to przywileje do tej pory należały do luksusów zarezerwowanych wyłącznie dla klasy średniej. Niedługo dojdzie do tego, iż przeciętny janusz pobierający „500+" na swoje wąsate dzieci będzie mógł sobie pozwolić już nie tylko na wakacje, lecz także na zakup masła nie od święta.

ATMOSFERA – ciężka, depresyjna, skłaniająca do smutnych refleksji o przyszłych losach tego kraju, przywołująca wspomnienia z mrocznych lat 2005–2007. Z dnia na dzień ten kraj stał się krajem ludzi smutnych, zawistnych, o wykrzywionych mordach, krzywo łypiących na inne osoby.

DEMOKRACJA – wbrew obiegowym opiniom i temu, co się może na pierwszy rzut oka wydawać, jest w fatalnej kondycji. Za fasadą wolności zgromadzeń (jeszcze) i wolności mediów (na razie) kryje się głęboka pogarda władzy wobec postulatów wysuwanych przez totalnie konstruktywną opozycję. Władza nie dopuszcza opozycji do partycypowania we władzy, nie zaprosiła ani Kamili Gasiuk-Pihowicz, ani Kingi Gajewskiej do udziału w rządzie. Mamy więc do czynienia z marną karykaturą demokracji, w której za sznurki pociąga złowieszczo ukryty w mroku swojego gabinetu Jarosław Kaczyński. Poza tym odkąd pis wygrał wybory, w tym kraju nie odbyły się żadne inne wybory, a to one – jak wiadomo – najlepiej pokazują stan demokracji. Możemy więc chyba stwierdzić, iż obecnie w tym kraju demokracji nie ma!!!111

EDUKACJA – iż władza nienawidzi młodych i wykształconych osób, planuje utrudnienia w dostępie do ekskluzywnych tytułów licencjata i magistra. Istnieje więc obawa, iż za tej kadencji rządu nie osiągniemy wyniku 100 proc. mieszkańców tego kraju z wykształceniem wyższym.

INTERNOWANIA – od dwóch lat sypiamy ze spakowanym plecakiem i w butach, będąc gotowymi na najście o 6 rano przez agentów CBA, ABW czy jaka tam inna służba aktualnie poluje na postępowych mieszkańców tego kraju. Władza jednak jest cyniczna i na razie internowań nie przeprowadza – próbuje nas wykończyć psychicznie tym bezustannym wyczekiwaniem.

JAROSŁAW KACZYŃSKI, Kaczafi, Jarochet – krwawy i bezlitosny dyktator tego kraju, pod którego butem piszczą opozycja i Europa. Spodziewamy się, iż niebawem Kaczafi ogłosi skupienie we własnym ręku pełni władzy świeckiej i kościelnej, a obowiązkowe pielgrzymki na Żoliborz zastąpią pielgrzymki do Częstochowy.

KOBIETY – i ich prawa reprodukcyjne. Najbardziej lekceważona społeczność (i prawa) tego kraju. W narracji pisowskiej kobiety, czyli postępowo mówiąc – waginoosoby, a postępowiej: osoby dowolnego uposażenia genitalnego, wybierające tożsamość żeńską, są przyporządkowane do roli zmywarki, pralki i ewentualnie kucharki. Zresztą czy to przypadek, iż w wąsatym języku polskim „zmywarka" i „pralka" są żeńskoosobowe? W każdym razie kobietom władza pozwoliła łaskawie pokrzyczeć dwa razy do roku, a potem znów zamknęła uszy na ich postulaty. Oczywiście należy powtórnie zaznaczyć, iż chodzi o prawomyślne środowiska kobiet, a nie np. jakieś róże różańcowe.

KOD – karnawał KOD pozwolił nam na chwilę uwierzyć, oj – churching alert, pozwolił nam przez chwilę mieć wrażenie, iż już za moment rozprawimy się z dyktaturą, a władza trafi do narodu, tzn. do osób, które w jego imieniu stwierdzą, co jest dla niego dobre, iż wiedzą to lepiej od niego.

KONSTYTUCJA – to, co nie udało się do tej pory nikomu, udało się pisowi. Sprawił on, iż niemal wszyscy w tym kraju przeczytali konstytucję bądź przynajmniej snobują się na jej znajomość. Nawet jeśli ktoś ni w ząb nie rozumie, o co w tej konstytucji chodzi, to jednak przynajmniej czuje, iż skoro pis jest przeciw niej lub zwyczajnie ją łamie, to każdej przyzwoitej osobie wypada ją popierać.

KOŚCIÓŁ – można się było spodziewać, iż instytucja ta zdobędzie wiele nieformalnych bądź formalnych wpływów, ale nie spodziewaliśmy się, iż aż tak. Przymusowe rekolekcje, losowe odpytywanie z modlitw w zakładach pracy, kontrole świętych obrazków z Kaczafim w każdym tramwaju... To wszystko – co prawda – nas osobiście nie spotkało, ale znamy kogoś, kto zna kogoś, czyj znajomy widział, jak spotkało to jego kolegę z korpo. Wpływ Kościoła widać na każdym kroku w prawie – ta duszna atmosfera, iż władza może zakazać prawa do wyboru, rozwodów, małżeństw cywilnych czy związków poliamorycznych. Straszne.

LĘK – uczucie, które nam towarzyszy każdego dnia życia w tym kraju. Boimy się już nie tylko o demokrację, konstytucję i tego, co pomyśli sobie o nas Europa, ale też jesteśmy pełni lęku przed internowaniami, aresztowaniami, CBA i wywózkami w okolice Jarosławia.

LGBTQWERTY – według nieoficjalnych danych od 2015 r. w obawie przed prześladowaniami z tego kraju wyjechało już 100 mln osób nieheteronormatywnych i ta liczba ciągle rośnie. Prześladowania osób LGBTQWERTY objawiają się m.in. w dalszym braku odpowiedniego ustawodawstwa, które pozwoliłoby im na zawieranie małżeństw i adopcję osobodzieci.

eprasa.pl e6d6dc5680

I Z WIELKICH OŚRODKÓW

MARGINALIZOWANIE – obok dzielenia ulubiona czynność Kaczafiego, który nie tylko marginalizuje opozycję, lecz także znaczenie tego kraju na arenie międzynarodowej.

OKOPY TOMASZA LISA – miejsce, w którym mentalnie przebywa naczelny „Newsweeka", odpierając niemalże w pojedynkę nacierające siły fashysmu i strzelając do nich celną repliką, błyskotliwym felietonem lub zaskakującym porównaniem.

OPOZYCJA – intelektualne wyzwanie dla Kaczafiego, który stymulowany przez najwybitniejsze umysły PO i Nowoczesnej musi codziennie w ponurym zaciszu swojego mrocznego gabinetu weryfikować aktualne oraz układać kolejne plany utrzymania władzy.

PIERWSZA DAMA – zupełnie niewidoczna w sprawach kobiet. Oczywiście chodzi o te kobiety, których sprawy leżą na sercu środowiskom opiniotwórczym i postępowym, a nie o kobiety z kół gospodyń wiejskich czy jakieś zwykłe nauczycielki, które prezydentowa zwykła odwiedzać. A zatem: kobiety (i dziewuchy) mają prawo być rozczarowane, iż pierwsza dama nie popiera ich czarnych protestów.

PREZYDENT – sami już nie wiemy, czy mamy do czynienia z Andrzejem czy z Adrianem. Z pewnością mamy do czynienia z osobą niezwykle złośliwą, która nawoływana do wetowania wetuje, przez co następnie mamy problem z ułożeniem spójnej narracji. W dodatku prezydent Duda zawłaszcza przestrzeń elektroniczną, wypychając z memów Kwaśniewskiego.

RÓŻANIEC DO GRANIC – tylko w kraju rządzonym przez pis mogła mieć miejsce taka „kontrowersyjna" akcja. Oczywiście kiedy cały świat wspólnie ćwiczy jogę lub układa feng shui i poszukuje alternatywnych form nowoczesnej duchowości, w tym kraju kultywuje się tradycyjne katolickie postawy i modlitwy.

STUHR, CIELECKA, OSTASZEWSKA – aktorskie trio, które korzystając z ograniczonego prawa do wolności wypowiedzi, zgromadzeń i demonstracji, bierze udział w każdym kolejnym proteście wymierzonym w politykę rządu, stając się czołowymi twarzami walki z reżimem. Jako iż głos aktorów jest głosem merytorycznie istotnym, jest nagłaśniany przy okazji każdego kolejnego protestu, co zachęca dzielną trójkę do kolejnych wystąpień.

TUSK – oczekiwany przez nas wybawca, który wróci z Brukseli i w wyborach rozgromi Adriana, a następnie odsunie pis od władzy.

TVP – cokolwiek byśmy na ten temat napisali, to paski w „Wiadomościach" i tak będą zabawniejsze.

UCHODŹCY – im bardziej ich tu nie ma, tym bardziej za nimi tęsknimy. Niestety, jako największy lęk przeciętnego janusza przeciętny uchodźca nie trafi do tego kraju. Jednocześnie stanowisko tego kraju w tej sprawie postawiło pod ścianą unijną, wspólną i zjednoczoną politykę wobec osobouchodźczyń oraz osobouchodźców.

ULICA – jeden z głównych filarów oporu wobec rządu. Of kors bardziej mamy tu na myśli jakieś modne ulice w rodzaju Nowego Światu, a nie ulicę Rzeszowską w Leżajsku xD.

ZAGRANICA – pełna oburzenia przygląda się sytuacji w tym kraju. Zarówno bliska zagranica w postaci brukselskich guyów, jak i zagranica dalsza, w postaci USA, która też najwyraźniej traci do tego kraju cierpliwość. Trump w końcu przyleciał tu tylko raz. A dlaczego nie więcej? Z tego wszystkiego cieszy się tylko pan Putin, iż – jak wiadomo – przypomnijmy dla porządku, polityka konfliktu z Rosją nieuchronnie wpycha nas w objęcia Putina. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

WYDAWNICTWO SZARA GODZINA PRZEDSTAWIA

Książki dostępne w salonach Empiku i w dobrych księgarniach

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE MÓWIĆ, LECZ WYGLĄDAĆ!

Blogerka modowa Macademian Girl to jedna z bystrzejszych w tej branży. Nie jest to trudne, bo jej koleżanki do tytanów intelektu raczej nie należą. – Ubiór jest powiedzeniem, kim jesteś, zanim się odezwiesz. Tak mawiała i mawia nadal słynna stylistka gwiazd Rachel Zoe. Ona jest dla mnie najlepszym przykładem takiej kobiety, która ubiorem wyraża całą siebie – powiedziała ostatnio Macademian Girl, zapytana o to, czym jest dla niej moda. Filozofię, że „ubiór jest powiedzeniem, kim jesteś, zanim się odezwiesz", mogliby zacząć wyznawać nasi celebryci. Najlepiej w wersji rozszerzonej. Nie mówić nic, tylko wyglądać. No co? Pomarzyć zawsze można.

POMYSŁ NA BIZNES

„Super Express" donosi, że Małgorzata Rozenek pozazdrościła Kindze Rusin i też chce wypuścić na rynek własną markę kosmetyków. Po prostu pewnego pięknego dnia stwierdziła, że dlaczego ma zarabiać grosze na polecaniu kosmetyków jakichś firm, skoro może zarabiać o wiele więcej na polecaniu własnych. – Kobiety cały czas zadają mi pytania na Instagramie, jak o siebie dbam – przyznaje w tabloidzie Rozenek. – Przynajmniej trzy razy w tygodniu nakładam naturalną oliwkę na włosy. Robię naturalne pilingi z kawy – dodaje. Od teraz ta sama oliwka i kawa, sygnowane nazwiskiem Rozenek, zamiast 20 zł będą kosztować 200 zł. I założymy się, że od razu dadzą lepsze efekty. Przynajmniej te biznesowe.

MILCZĄCY SPRZECIW

Maja Ostaszewska znów udzieliła wywiadu o tym, jak to zły PiS wiedzie nasz kraj ku totalitaryzmowi. Tym razem aktorka mówi, że nie jest tak, że nie podoba jej się tylko PiS, bo poprzednia władza PO-PSL też się jej nie do końca podobała. – Ja nie jestem politykiem i to, co robię, nie ma zabarwienia politycznego. Wolałabym nie musieć tak często zabierać głosu, ale skala naruszeń jest ogromna. Do poprzedniej władzy miałam również wiele zastrzeżeń – mówi Maja. Tylko wtedy po prostu jakoś nie było czasu ani okazji, by o nich opowiadać w wywiadach. Nas przekonała!

SZCZEROŚĆ NIE ZAWSZE POPŁACA

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

Aktorka Anna Korcz podpadła mocno całemu show-biznesowi. Czym? Swoim zbyt szczerym wyznaniem, że jest fanką naturalnych futer. Co więcej, wzięła też udział w pokazie mody projektantki, która zaprezentowała kreacje z prawdziwych futer i naturalnej skóry. I właśnie przy tej okazji Korcz zdradziła, że choć kocha zwierzęta, to nie wyobraża sobie noszenia sztucznych futer, bo „nie są tak miłe w dotyku". – Nie chciałabym się też narazić, ale ja kocham futra. No niby są ekologiczne, ale one nie są tak piękne i miękkie jak te prawdziwe. Jestem przeciwna zabijaniu zwierząt. I teraz pytanie: Jak to pogodzić? – stwierdziła aktorka. – Myślę, że wyjściem z sytuacji byłby odstrzał zwierząt, który jest niezbędny w przyrodzie, i robienie futer z tych zwierząt – dodała. I tak oto Korcz odstrzeliła się sama. Show-biznes ci wszystko wybaczy: gwałty, aborcje i całą masę innych okropieństw. Jednak noszenia naturalnych futer – nigdy!

FEMINIZM WYBIÓRCZY

Jest afera na lewicy. Otóż reporterka „Gazety Wyborczej" opisała, jak pisarz Janusz Rudnicki nazwał ją i jej koleżankę „k...wami". Pisarz zamieścił żartobliwą odpowiedź, że do mężczyzn też się czasem tak zwraca, i tłumaczył, że to była taka gra słowna. Najciekawsze jednak są reakcje na całe to wydarzenie. Otóż nieoczekiwanie Rudnickiego w obronę wzięły czołowe feministki – z Kazią Szczuką i Elizą Michalik na czele. Na pomoc ruszyła także Krystyna Kofta. Serio! Kobiety, które na co dzień wycierają sobie usta walką o prawa i godność kobiet, stanęły po stronie faceta, który ordynarnie kobiety obraził. Kofta stwierdziła, że dziennikarka niepotrzebnie wzięła „to tykanie k...mi do siebie", a Michalik tłumaczy, że Rudnickiemu chodziło nie tylko o dziennikarki (sic!). Najlepsza jednak była Kazia Szczuka. – Po prostu trudno mi zobaczyć to w jednym worku z przemocą seksualną i nienawiścią do kobiet – stwierdziła. Pani Kazimiero, proszę głębiej sięgnąć do tego worka. Gdzieś tam na dnie leży wiarygodność pani i pani koleżanek. ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

TANKUJESZ - POMAGASZ

Co roku tysiące ptaków drapieżnych ulega wypadkom. Do ośrodków rehabilitacji trafiają także ptaki postrzelone i otrute.

PKN ORLEN przywraca je naturze w ramach programu ORLEN dla Orłów.

Ty także możesz pomóc! Wystarczy, że przekażesz swoje punkty VITAY na rehabilitację i leczenie ptaków drapieżnych w Polsce.

Więcej dowiesz się na stronie **www.vitay.pl/katalog-Vitay** oraz **www.facebook.com/orlendlaorlow**.

ORLEN **Najbliżej**

CLUB VITAY

Laureaci, goście i patroni nagrody na scenie (od lewej): Michał M. Lisiecki, prezes PMPG Polskie Media; prof. Piotr Gliński, wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego; Marek Kuchciński, marszałek Sejmu; Maciej Radziwiłł, Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy"; prof. Jarosław Marek Rymkiewicz; prof. Krzysztof Jasiewicz, Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej 1945 Roku.; Eulalia Łazarska, koordynator projektu „Recovering Forgotten History"; Piotr Woźniak, prezes PGNiG; Maria Wieloch, Stowarzyszenie „Rodzina Ponarska"

Maciej Radziwiłł, laureat nagrody w kategorii „Mecenas"

Na gali obecni byli marszałek Sejmu Marek Kuchciński oraz wicepremier i minister kultury prof. Piotr Gliński

Ludzie zakochani w

eprasa.pl e6d6dc5680

Nagrodę Strażnik Pamięci 2017 w kategorii „Twórca" otrzymał poeta, prof. Jarosław Marek Rymkiewicz

Polsce

Wojciech Wybranowski

„Tworzą Państwo elitarne grono patriotów" – napisał prezydent Andrzej Duda w liście do laureatów nagrody Strażnik Pamięci, którą po raz piąty przyznał tygodnik „Do Rzeczy". Nagrody wręczono na Zamku Królewskim w Warszawie

„A to mam szczęście, że w tym momencie żyć mi przyszło w kraju nad Wisłą" – utwór z tymi słowami zaśpiewany przez Janusza Radka, znanego wykonawcę polskiej poezji śpiewanej i aktora scen muzycznych, przywitał uczestników uroczystej gali Strażnika Pamięci 2017, zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy".

– Przyjemność zajmowania się polską historią mam już bardzo długo i muszę państwu powiedzieć, że redagowanie takiego tygodnika jak „Do Rzeczy" jest naprawdę bardzo przyjemne. I też rzeczą bardzo przyjemną jest obserwowanie sporów historycznych, bo Polacy nie tylko czczą, stawiają pomniki, lecz także potwornie się kłócą. Ale dlaczego się kłócimy o historię? Bo jest ona dla nas niezmiernie ważna – mówił podczas gali Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy".

Wagę przyznawanych przez nasz tygodnik wyróżnień podkreślał marszałek Sejmu RP Marek Kuchciński, który objął uroczystość swoim patronatem. – Przede wszystkim należą się dubeltowe gratulacje zarówno autorom, jak i redakcji „Do Rzeczy" za pomysł nagrody, który już kolejny raz jest realizowany – powiedział marszałek Kuchciński. – Strażnik Pamięci jest najlepszym przykładem na to, czym powinna być polityka historyczna dla każdego państwa, a w szczególności dla Polski – dodawał.

Gala, którą poprowadzili publicysta „Do Rzeczy" Rafał A. Ziemkiewicz i jego żona – aktorka Aleksandra Ciejek – zaczęła się od odczytania listu, który do laureatów nagrody Strażnik Pamięci wystosował prezydent Andrzej Duda.

„Tworzą Państwo elitarne grono patriotów, którzy, zafascynowani historią naszej ojczyzny, rozumieją i – jestem o tym przekonany – głęboko przeżywają zależności między wydarzeniami z przeszłości a obecną rzeczywistością społeczną Polski i Europy" – napisał prezydent. Jego list odczytał doradca prezydenta Tadeusz Deszkiewicz.

Na gali obecni byli przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa

eprasa.pl e6d6dc5680

Nagrodę w kategorii „Mecenas" przyznano Fundacji PGNiG za projekt „Recovering Forgotten History". Odebrali ją koordynator projektu Eulalia Łazarska i prezes PGNiG Piotr Woźniak

Narodowego – wicepremier prof. Piotr Gliński oraz sekretarz stanu Jarosław Sellin i wiceminister Wanda Zwinogrodzka. Jarosław Sellin zauważył, że Polacy chcą przeżywać swoją historię, celebrować zwycięstwa i czcić bohaterów naszej wolności na sposób tradycyjny. – Nie chcą maszerować za czekoladowym orłem i puszczać w powietrze różowych baloników – powiedział Sellin. – I myślę, że to, iż tak zdrowo i konserwatywnie chcemy celebrować naszą historię, jest zasługą tych ludzi i tych instytucji, które wyszukuje tygodnik „Do Rzeczy" i nagradza już od pięciu lat jako Strażników Pamięci – dodał.

RYMKIEWICZ – TWÓRCA 2017

Nagrodę Strażnika Pamięci, począwszy od 2013 r., kiedy to miała miejsce pierwsza edycja naszego konkursu, przyznajemy w trzech kategoriach: „Twórca", „Instytucja" oraz „Mecenas".

W kategorii „Twórca" w tym roku nagroda została przyznana prof. Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi, wybitnemu poecie, eseiście i krytykowi literackiemu. Kapituła konkursu postanowiła uhonorować go „za całokształt twórczości ożywiającej i reinterpretującej polską historię".

– „Bez pamięci nie istniałaby ani żadna teraźniejszość, ani też żadna przyszłość. Gdyby nie pamięć, nie mielibyśmy żadnego języka, którym moglibyśmy porozumiewać się ze światem, rozpoznawać świat – a więc nie mielibyśmy żadnego świata". Takie słowa mogły paść tylko z ust prawdziwego Strażnika Pamięci. Przedstawiam państwu tego poetę, tego strażnika. Przedstawiam państwu cały świat. Ten świat zowie się Jarosław Marek Rymkiewicz – mówił w laudacji Piotr Gociek, publicysta tygodnika „Do Rzeczy".

Przywitany gorącymi owacjami laureat wygłosił mowę, w której przypomniał, że często myśli o swoich korzeniach, o swoim pochodzeniu i o tym, że nie ma w nim – jak mówił – ani kropli polskiej krwi.

– Czym więc jest polskość? Ona nie jest ani biologiczna, ani genetyczna, ona nie bierze się z krwi [...]. Nie bierze się z pochodzenia. Polskość to straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera, ona chce nas mieć. Nie należy pytać o geny, pochodzenie, należy po prostu oddać się tej sile – mówił poeta.

INSTYTUCJA I MECENAS

Statuetkę Strażnika Pamięci dla podmiotu publicznego lub komercyjnego, który w najlepszy sposób prowadził mecenat nad dbałością o pamięć historyczną, otrzymała Fundacja PGNiG za projekt „Recovering Forgotten History – Przywracanie zapomnianej historii. Wyobrażenia o Europie Środkowo-Wschodniej w anglojęzycznych podręcznikach akademickich: 2006–2017".

Zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Piotr Gabryel, uzasadniając przyznanie nagrody Fundacji PGNiG, mówił, że wielu Amerykanów i Europejczyków, nie tylko zwykłych zjadaczy chleba, lecz także tych wywodzących się z elit naukowych krajów Zachodu, nie zna polskiej historii, nie wie, że były niemieckie obozy śmierci, a nie „polskie obozy", nie wie też, że agresja ZSRS na Polskę 17 września 1939 r. nie była żadną „próbą ochrony ludności". I podkreślił, że to właśnie do elit nauko-

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI (2), RADOSŁAW NAWROCKI (4), BEATA CZARNECKA/SPORTOGRAFIA.PL (2)

Nagrodę w kategorii „Instytucja" dla Stowarzyszenia „Rodzina Ponarska" odebrała Maria Wieloch

Wiceminister kultury Jarosław Sellin podkreślał, że zasługą takich ludzi jak nagrodzeni Strażnicy Pamięci jest zdrowe i konserwatywne przeżywanie i celebrowanie polskiej historii

Michał M. Lisiecki, prezes PMPG Polskie Media, odebrał list od prezydenta z rąk doradcy Andrzeja Dudy – Tadeusza Deszkiewicza

wych zachodniego świata postanowił dotrzeć prof. Andrzej Sulima Kamiński, pomysłodawca projektu „Recovering Forgotten History", zapraszając co roku do Polski najlepszych i najważniejszych anglojęzycznych historyków na świecie oraz ich wydawców i organizując konferencje naukowe.

– Nawet znakomite – a więc takie jak ten – pomysły do ich sprawnej realizacji wymagają pieniędzy. I to właśnie w tym miejscu pojawia się pole do popisu dla znakomitego mecenasa; znakomitego – bo tylko znakomity mecenas jest w stanie poznać się na znakomitym pomyśle. W przypadku projektu prof. Kamińskiego owym znakomitym mecenasem jest dziś fundacja jednego z największych polskich koncernów – Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, która od niemal dwóch lat prowadzi nowatorski program „Rozgrzewamy polskie serca" – mówił Piotr Gabryel.

Równorzędną nagrodę Strażnika Pamięci w kategorii „Mecenas" otrzymał Maciej Radziwiłł za „finansowanie z prywatnych środków wielu inicjatyw – w Polsce i poza jej obecnymi granicami – związanych z historią rodu Radziwiłłów, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Pierwszej Rzeczypospolitej".

– Laureat przez lata gromadził pamiątki przeszłości swojego rodu, która zarazem jest naszą wspólną przeszłością, przeszłością I Rzeczypospolitej [...]. Niewiele jest osób, które, ocalając pamiątki rodzinne, w tak dużym stopniu ocalają zarazem materialne świadectwa historii I Rzeczypospolitej, jej wielkości, wspaniałości, a także, co ogromnie dziś ważne, różnorodności – mówił Łukasz Warzecha, publicysta „Do Rzeczy", uzasadniając przyznanie wyróżnienia.

Nagrodę Strażnik Pamięci 2017 w kategorii „Instytucja" otrzymało Stowarzyszenie „Rodzina Ponarska", które od lat dba o upamiętnienie ofiar straszliwego mordu w Ponarach. W latach 1941–1944 w ponarskim lesie Niemcy wspierani przez litewskich kolaborantów wymordowali ok. 100 tys. osób, w tym co najmniej 20 tys. Polaków.

– Jest grupa Polaków, która od lat walczy o to, by pamięć o Ponarach trwała. Ludzie ci regularnie jeżdżą na miejsce zbrodni, wydają książki, prowadzą badania. Modlą się i zapalają lampki na bezimiennych mogiłach. To Stowarzyszenie „Rodzina Ponarska", grupujące potomków naszych zgładzonych pod Wilnem rodaków – przedstawiał w laudacji Piotr Zychowicz, redaktor naczelny miesięcznika „Historia Do Rzeczy".

Pierwsza edycja konkursu Strażnik Pamięci tygodnika „Do Rzeczy" odbyła się jesienią 2013 r. Przez pięć lat istnienia tygodnik „Do Rzeczy" wspiera i promuje ludzi dbających o polską historię.

– Każda instytucja czy postać wyróżniona Strażnikiem Pamięci siłą rzeczy przechodzi do historii jako pewien kamień milowy naszej świadomości narodowej – ocenia Marek Kuchciński, marszałek Sejmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PATRONAT HONOROWY
SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
PARTNERZY STRATEGICZNI
ORLEN
Energa
PARTNER GŁÓWNY
PGNiG
MECENAS
PWPW
PATRON MEDIALNY
TVP
WSPÓŁORGANIZATORZY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NARODOWE CENTRUM KULTURY
PARTNERZY WYDARZENIA
LOTTO
PZU
Poczta Polska
GAZ system
FUNDACJA KSIĄŻĄT LUBOMIRSKICH

eprasa.pl e6d6dc5680

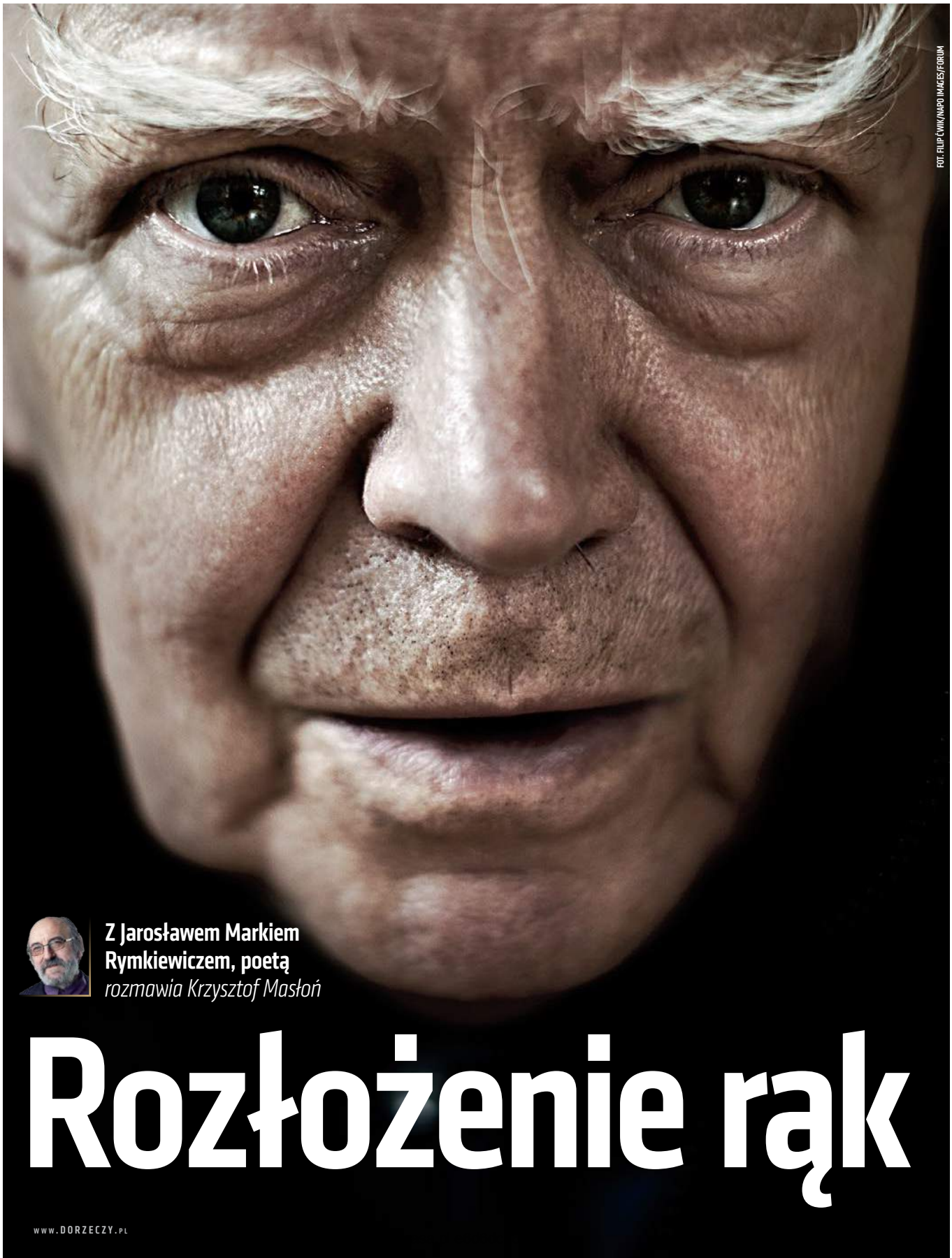

FOT. FILIP ĆWIK/NAPO IMAGES/FORUM

Z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, poetą
rozmawia Krzysztof Masłoń

Rozłożenie rąk

KRZYSZTOF MASŁOŃ: W wierszu „Już wszystko przeczytane" z najnowszego pańskiego tomu „Metempsychoza. Druga księga oktostychów" czytamy: „Martwy księżycu powiedz co jest za mogiłą / W książkach które czytałem nic o tym nie było". Czyli literatura nie potrafiła odpowiedzieć panu na najważniejsze pytania, powiedzieć o tym, co fundamentalne?

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ: Literatura, przynajmniej ta nasza, tutejsza, śródziemnomorska, odpowiada od wielu wieków na różne ważne pytania dotyczące naszego losu – i może nawet po to istnieje, po to właśnie Grecy ją kiedyś wymyślili, żeby odpowiadała, tak jak greckie wyrocznie, na pytania ostateczne. Te jej odpowiedzi bywają często bardzo ciekawe, a nawet fascynujące, ale kiedy posuwamy się w latach, kiedy jesteśmy coraz starsi, to wreszcie okazuje się (i dopiero wtedy zdajemy sobie z tego sprawę), że o tym, co najważniejsze – o własnym byciu tutaj – nie dowiedzieliśmy się niczego. Nie tylko literatura, także świat nie odpowiada (nawet, tak to oceniam, nie zamierza odpowiadać – jakby go to nie interesowało lub jakby nie znał odpowiedzi) na to najważniejsze pytanie dotyczące naszego ziemskiego losu: Dlaczego tu jesteśmy i dlaczego nas tu nie będzie? Ten oktostych, o którym pan wspomniał, mówi więc o moim starzeniu się, a także o mojej bezradności – powinienem wiedzieć coraz więcej, a wiem coraz mniej. Nie wiem, dlaczego zjawiłem się na świecie, i nie wiem, dlaczego zniknę. I dlaczego właśnie ja tu jestem, a nie, na moim miejscu, ktoś inny. Mam takie poczucie, że od dłuższego już czasu moja poezja krąży właśnie wokół tego pytania o istnienie. Skąd się bierze istnienie i gdzie znika? Jednak nie tyle krąży, ile raczej bezradnie kuśtyka. To jest stare pytanie romantyków, romantycznych filozofów i poetów. Słowacki większą część swojego krótkiego życia poświęcił na formułowanie i oglądanie, z różnych stron, tego pytania. Wreszcie uznał, że trzeba podejść do niego metempsychicznie, że metempsychoza, choć może nie wystarczająco, jakoś tłumaczy nasze tutejsze istnienie oraz nasze wszystkie uprzednie i następne wcielenia.

Powiedziałbym, że w pana przypadku dzieje się tak od zawsze, bo zresztą nie ma ważniejszych pytań dla literatury.

Jednak akurat ten konkretny oktostych, o którym tutaj mówimy, zdradza raczej moją kompletną bezradność wobec takich pytań, które lubi stawiać literatura i które ja też kiedyś lubiłem stawiać. Kiedyś, w młodości, zdawało mi się, że coś wiem – że świat, jego istnienie, da się wytłumaczyć, a więc i moje istnienie jest jako tako wytłumaczalne. Myślałem wtedy historycznie, nawet uprawiałem radykalny historyzm, byłem historykiem literatury i swoje istnienie traktowałem jako fakt historyczny, tłumaczyłem je historycznie. To mi wystarczało. Teraz, jeśli coś wiem, to tylko to, właśnie tylko to, że odejdę stąd, nie rozumiejąc, po co tutaj przyszedłem, po co tutaj byłem. Nie widzę żadnego sensu w fakcie mojego pojawienia się na świecie i – co za tym idzie – nie widzę żadnego sensu w pojawieniu się na świecie każdego innego istnienia. Nie ma w tym żadnej konieczności, coś może być lub nie być i z tego bycia lub niebycia nic nie wynika. Ktoś powie, że to jest deklaracja radykalnego nihilizmu. Jednak ja nie jestem nihilistą, bo pytam i domagam się odpowiedzi, a świat mi odpowiada – nie będziesz wiedział, bo właśnie takie jest twoje przeznaczenie. Jest więc tak, że z nas dwojga to świat jest nihilistą, a nie ja.

Z drugiej strony tom otwiera wiersz zaczynający się słowami: „Bóg porusza naturą każdym listkiem rusza...". To też jest deklaracja.

Jednak trochę śmieszna, trochę też ironiczna. Ach, to taki żarcik o Spinozie, żukach, dobrotliwym Bogu, który dobrotliwie traktuje spinozjańskie oraz metempsychiczne pomysły i nawet uznaje je za swoje własne. Jednak ten oktostych – „Deus sive natura" – też mówi o tym, że w gruncie rzeczy nie da się pojąć sensu istnienia, nie da się go zrozumieć.

Ktoś powiedział niedawno – i ja się z tym zgadzam – że w pana twórczości właśnie to, czego pan nie wie, jest ciekawsze od tego, co pan wie.

To bardzo pochlebna opinia. Jednak to, czego nie wiem, jest właściwie niewypowiadalne – nie da się nazwać, nie da się uchwycić.

A jednak o tym niewypowiadalnym pisze pan wiersze.

To jest coś w rodzaju rozłożenia rąk. Takie rozłożenie rąk. Powiadam: jest jak jest, ale nie wiem, dlaczego tak jest, i już się nie dowiem.

Z jakiego powodu już drugi kolejny zbiór pańskich wierszy składa się z samych oktostychów? Przywiązał się pan do tej właśnie formy poetyckiej?

A tego to nie wiem. Jednak spróbuję to przemyśleć. Jestem teraz trochę ślepy, nawet ćwierć- czy półślepy. Widzę, choć słabo, litery na ekranie komputera, ale tych na papierze już nie widzę. To nieprzyjemne upośledzenie, bo nie mogę czytać książek. Otóż oktostych to forma króciutka, ledwie ośmiowierszowa. To zaledwie trzy lub cztery zdania – da się go więc napisać bez pomocy oczu i rąk, a za pomocą jakichś połączeń czy przepływów w komórkach mózgu. Mówiąc prościej, oktostych można skuteczne napisać w pamięci, a potem poprawiać i przerabiać, coś z niego wyrzucać i coś do niego dodawać również w pamięci – i dopiero potem zapisać efekt ostateczny na ekranie komputera. To przyjemna i wciągająca robota. Można przy niej chodzić po ogrodzie, można też leżeć, a nawet drzemać na tapczanie. Jednak oczywiście jest też z pewnością jakaś głębsza, jakaś istotniejsza przyczyna tego, że w ostatnich latach pisałem tylko oktostychy. Może historycy literatury zechcą się tym zająć. Im też zostawiam odpowiedź na pytanie, dlaczego Jarosław Iwaszkiewicz zaczął swoją twórczość poetycką od oktostychów, a ja na oktostychach ją kończę.

Jarosława Iwaszkiewicza przywołuje pan w „Metempsychozie", i to nawet dwukrotnie.

Także w poprzednim tomie oktostychów, „Końcu lata w zdziczałym ogrodzie", jest oktostych zatytułowany „Rok 1918 – początek gatunku", w którym mowa jest o tym, jak to się w XX w. zaczęło – młody Iwaszkiewicz przyjeżdża do Warszawy i przywozi swoje oktostychy; idzie do kawiarni Pod Pikadorem i tam spotyka Słonimskiego oraz Lechonia. Jednak to nie Iwaszkiewicz wprowadził do polszczyzny tę formę, nie on ją tu przywiózł, ona była znana od dawna.

Uprawiał ją bodaj Piotr Kochanowski, bratanek sławnego Jana...

Tak, oktostychy, forma włoska, pojawiły się u nas po raz pierwszy pod koniec XVI i na początku XVII w. Iwaszkiewicz, na początku XX w., udowodnił, że można się nią nadal skutecznie posłużyć. Osiem wersów, a w środku coś z francuskiej poezji, coś z Gautiera, Verlaine'a czy nawet z Baudelaire'a – tak to początkowo wyglądało. Chociaż Iwaszkiewicz wyszedłby na tym lepiej, lepiej by mu to posłużyło, gdyby – wprowadzając do modernistycznej polszczyzny,

eprasa.pl e6d6dc5680

około roku 1918, oktostychy – częściej czytał wówczas Baudelaire'a, a rzadziej Verlaine'a. Jednak widocznie znalazł u Verlaine'a coś takiego, co mu się spodobało – może jego płaczliwość, jego podejrzaną czułostkowość. To bardzo oktostychom Iwaszkiewicza zaszkodziło. Mam wobec niego dług wdzięczności, bo czytałem go przez lata i wiele się od niego nauczyłem. Iwaszkiewicz – teraz widać to coraz wyraźniej – to niewątpliwie największy poeta z „wielkiej piątki skamandrytów". Te moje tu pochwały nie dotyczą jednak jego oktostychów, które raczej coś zamykały, niż otwierały – zamykały epokę modernizmu, można nawet powiedzieć, że były jej ostatnim okrzykiem (raczej jękiem rozpaczy), były jej zwieńczeniem. Kończyła się właśnie epoka Młodej Polski, epoka Kazimierza Przerwy Tetmajera (uważanego wtedy za wielkiego poetę), ale Iwaszkiewicz jakoś tego nie dostrzegł – właśnie tego, że język, którego używa, jest językiem końca, a nie początku. Moje oktostychy, poza tym, że są również ośmiowierszami, z Iwaszkiewiczowską formą nie mają nic wspólnego.

Igor Strawiński, Joseph Haydn, Aleksander Skriabin... Obecność tych postaci w pańskich oktostychach wskazuje na to, że muzyka wciąż odgrywa ważną rolę w pana życiu.

Muzyka jest jedną z najważniejszych przygód w moim życiu, jedną też z najpiękniejszych. Jest też taką przygodą, której nie potrafię sobie wytłumaczyć i która wciąż mnie dziwi. Bo jest tak, że ja nie mam żadnych uzdolnień muzycznych, nie mam też żadnego muzycznego wykształcenia i nie gram na żadnym instrumencie. Nawet nie mógłbym grać, nie mógłbym się nauczyć, bo słuch mam też dość nędzny – nie potrafię zaśpiewać najprostszej piosenki. To znaczy – potrafię, ale rozpaczliwie fałszując. Może dlatego jestem takim pokornym słuchaczem. A ponieważ wraz z biegiem lat coraz trudniej mi obcować ze słowem pisanym czy drukowanym, muzyka musi mi zastępować także literaturę. Codziennie z Ewą czegoś słuchamy. Codziennie przez dwie, trzy godziny – i tak jest od lat. Zaczęliśmy słuchać jeszcze w Łodzi, gdzieś pod koniec lat 50., kiedy zamieszkaliśmy przy ul. Spornej. Wtedy słuchaliśmy na adapterze, któremu zmieniało się igły. Pamiętam nawet, choć to lata minęły, od czego zaczęło się to słuchanie – od koncertów skrzypcowych Bacha i od „Mitów" Szymanowskiego. Od lat też próbuję w tym słuchaniu zaprowadzić jakiś porządek, ale kompletnie mi się to nie udaje, raczej wybieram płyty, kierując się jakimś odruchem czy jakimś olśnieniem – dziś koniecznie to lub tamto, dziś koniecznie Brigitte Fassbaender będzie śpiewać „Winterreise"; ale dlaczego właśnie Schubert z „Winterreise" jest mi koniecznie potrzebny, tego nie wiem. Bez tego codziennego słuchania muzyki byłbym bardzo nieszczęśliwy. Jest tak, jakby to świat przychodził do mnie ze swoją muzyką i mówił mi: „Słuchaj!".

A czy ma pan jakiś skończony zestaw muzyczny? Pytam o to, bo przypomniało mi się, jak kiedyś Paweł Hertz powiedział mi, gdy oglądałem jego księgozbiór: „Nowych książek tutaj pan nie znajdzie, gdyż się ich pozbywam. Ja już wszystko, co ważne, przeczytałem".

Odpowiem trochę jak Paweł Hertz. Nowych płyt już nie kupuję, bo to, co mam na regałach, wystarczy mi do końca życia, niekiedy tylko dostaję jeszcze coś w prezencie. Niedawno dostałem taki piękny prezent – płytę z dziecięcymi i młodzieńczymi polonezami Chopina i z jego pierwszą sonatą, której nie miałem. Rozkoszna muzyka! Przesłuchałem tę płytę kilkanaście razy i postawiłem na półce – może jeszcze do niej wrócę, ale może nie. Tyle rzeczy jest jeszcze raz i jeszcze raz do przesłuchania – wszystkie kwartety i sonaty Beethovena, wszystkie sonaty Schuberta, wszystkie koncerty fortepianowe Mozarta, cała muzyka fortepianowa Bartoka, cały Debussy, cały Monteverdi i – jak to teraz się mówi (coraz częściej słyszę ten dziwny i dający do myślenia zwrot językowy w telewizji) – i tak dalej, i tak dalej. A w dodatku nie wiem przecież, po co słucham. Dla czystej przyjemności słuchania? Dla skontaktowania się z czymś lub z kimś? Czy może jest to rodzaj narkotyku? Coś w rodzaju narkotycznej obecności zaświatów?

Jak pan traktuje pamięć, w której twórczość pańska osadzona jest – jak się wydaje – wyjątkowo mocno?

Istniejemy – i zdajemy sobie sprawę z tego, że istniejemy – tylko dlatego, że pamiętamy. Pamiętamy, że tutaj jesteśmy. Ujmując to inaczej – każdy z nas, każdy człowiek istnieje w swojej pamięci i dzięki pamięci. Jest w samym jej środku i nie może się z niej wydostać. Gdyby się z niej wydostał, to natychmiast przestałby istnieć, bo nie wiedziałby nic o swoim istnieniu. Tak więc to pamięć i tylko ona stwarza nasze tutejsze życie – powołuje je do istnienia. Bez niej nie istniałaby ani żadna teraźniejszość, ani też żadna przyszłość. Istnieje zatem tylko przeszłość – stwarzająca cały nasz tutejszy świat.

Jest zapewne tak – choć o tym nic nie możemy wiedzieć, to jest rzecz domyślna – że pamięcią, jakimś rodzajem pamięci, czymś w rodzaju pamięci obdarzone jest całe tutejsze istnienie. Wiewiórki, jeże, dęby i sosenki – o te, które widać za oknem – też mają swoją pamięć, coś w rodzaju pamięci. Bez tego rodzaju pamięci, jaki posiadamy, bylibyśmy zupełnie inni – bylibyśmy czymś innym. Gdyby nie ona, nie mielibyśmy żadnego języka, którym moglibyśmy porozumiewać się ze światem, rozpoznawać świat – a więc nie mielibyśmy żadnego świata. To pamięć pozwala nam zadawać podstawowe, istnieniowe pytania: Co to jest? Co to takiego to, co jest wokół? Rozpoznajemy to dzięki pamięci i jedynie dzięki niej. W tym sensie każdy jest strażnikiem swojej własnej pamięci i strażnikiem całego świata.

Świat we łzach tonie

Świat we łzach tonie – płaczą wierzby szare
Płaczą te które wokół wierzb krążą opary

Płaczą przekwitłe osty kwitnące pokrzywy
Świat we łzach tonie – nie wie – jest martwy czy żywy?

Płaczą zmarli – milijon lat stąd – pogrzebani
Płaczą przegniłe deski i całuny szare

I z tego łez kosmosu – z naszych łez otchłani
Nagi Chrystus wychodzi z krwawiącym sztandarem

Wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza z najnowszego tomu „Metempsychoza. Druga księga oktostychów"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TOTALIZATOR SPORTOWY

W 2016 roku z Funduszu Promocji Kultury wydano

159 414 122,50 zł

Dzięki części z tych środków został zrealizowany projekt Miejsca Pamięci Narodowej, z którego dotacje trafiły do

16 muzeów i 5 samorządowych instytucji kultury w całej Polsce

#razemdlakultury

LOTTO

Średnio pół miliona złotych dziennie trafia dzięki graczom LOTTO na Fundusz Promocji Kultury Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl e6d6dc5680

Łukasz Warzecha

Samiec twój wróg

Akcja #MeToo miała położyć kres niecnym praktykom wobec kobiet. Tymczasem skończyć się może tym, że przed zaproszeniem koleżanki na kawę trzeba będzie podpisać szczegółową umowę. Jesteśmy właśnie świadkami kolejnej fali lewackiej paranoi

Słuchaj, może umówiłabyś się z nim na randkę?

– Nie znam człowieka. Poza tym jest ode mnie sporo starszy.

– Poznaliście się tutaj, w parlamencie, przelotnie. Przystojny człowiek. Wiesz, że dobrze sytuowany.

– Tak, słyszałam.

– No właśnie. Wpadłaś mu w oko.

– Co ty powiesz? Ale on mnie nie.

– Zastanów się. Może być przyjemnie. A ja też mogę coś zyskać. On mnie prosił, żebym cię namówił na spotkanie. Obiecał się odwdzięczyć, pomoże mi w moich sprawach.

Tak mogła wyglądać rozmowa brytyjskiego konserwatywnego posła Daniela Kawczynskiego z asystentką innej posłanki torysów. Kawczynski jest kolejną ofiarą postępującego szaleństwa. Komisja dyscyplinarna Izby Gmin oskarża go o niestosowne zachowanie, które przez lewicę jest już całkiem otwarcie nazywane „stręczycielstwem". Kawczynski miał kilkakrotnie namawiać asystentkę klubowej koleżanki na spotkanie z dobrze sytuowanym biznesmenem, rzekomo sugerując, że mogą z tego wyniknąć dla niego jakieś korzyści. Poseł zaprzecza, żeby zrobił coś niewłaściwego.

Ze zdroworozsądkowego punktu widzenia ma rację, ale zapewne i tak polegnie, bo walec zbyt się już rozpędził. Niektórzy rezygnują na wszelki wypadek. Tak uczynił brytyjski minister obrony Michael Fallon. Nie oskarżono go o gwałt, obmacywanie kogokolwiek czy „stręczycielstwo", tak jak Kawczynskiego. Zaczęły się jedynie pojawiać sugestie, że pozwalał sobie na flirty z kobietami. Składając dymisję, Fallon wyjaśnił, że nie jest w stanie zagwarantować, iż jego zachowanie było zawsze właściwe. Clou

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. FOTOLIA

sprawy jest znaczenie słowa „właściwe" – ale nad tym już nikt się nie zastanawia. Walec się toczy.

LANS „NA GWAŁT"

Wszystko zaczęło się od oskarżeń wobec Harveya Weinsteina. „The New York Times" opublikował tekst, w którym przedstawił relacje 29 kobiet, które miały być przez producenta „molestowane". Od tego momentu ruszyła lawina, wspierana w mediach społecznościowych hasztagiem #MeToo („Ja także"). Tyle że nawet w sprawie samego Weinsteina – jeśli odsiać warstwę politycznej poprawności – pojawia się wiele wątpliwości. Weźmy choćby relację norweskiej aktorki Natassii Malthe. Opowiedziała ona, że Weinstein po wręczeniu nagród Bafta w 2008 r. w Londynie „wdarł się" do jej hotelowego pokoju, po czym usiadł na łóżku, obnażył się i „zmusił" aktorkę do seksu. Każdy, kto w tej sprawie zachowuje jeszcze zdrowy rozsądek, zapyta: Jak Weinstein, siedzący na łóżku ze zdjętymi gaciami, mógł kogokolwiek „zmusić" do seksu? Zresztą sama Malthe, opowiadając o sprawie, nie używała słowa „gwałt", a jedynie „seks bez zgody" (non-consensual sex). Tyle że gdyby zgody nie było, Norweżka powinna była po prostu wyrzucić producenta z pokoju, zadzwonić po pomoc, po policję, narobić hałasu. Nic takiego się nie stało.

Dzisiaj Weinsteinowi grozi jedno oskarżenie o gwałt. Chodzi o sprawy z 2010 r. Producent miał zgwałcić aktorkę Paz de la Huerta. Czy oskarżenie się ostoi – zobaczymy. Jak w każdej sprawie, gdzie w grę wchodzą pieniądze – a w tym przypadku chodzi o ogromne sumy, zaangażowane w przemysł filmowy – sceptyk nie może opędzić się od podejrzenia, że Weinstein niczym nie wyróżniał się w swoim środowisku, a jego zachowanie wobec kobiet było hollywoodzkim standardem, ale widocznie komuś podpadł i to, co innym uchodziło płazem, postanowiono wykorzystać przeciwko niemu.

Wypływające kolejno oskarżenia gwiazd Hollywood o to, że gdzieś ktoś kiedyś a to złapał je za pośladki, a to powiedział gruby żart, zrobił niestosowną propozycję albo – w najgorszym przypadku – „skłonił do seksu bez zgody" (jak pokazuje przykład norweskiej aktorki, to bardzo wątpliwa kategoria), abstrahują od faktu, że nie mówimy o ochronce prowadzonej przez zakonnice, ale o miejscu, gdzie dość swobodna obyczajowość jest normą. Wysyp pań, które skarżą się, że panowie nie zachowywali się tam jak kamedulscy pustelnicy, wygląda albo na skrajną głupotę, albo skrajną hipokryzję. Szczególnie gdy panie te przypominają sobie nagle, że ktoś położył im dłoń na kolanie podczas kolacji 12 lat wcześniej.

Wszystko to nie znaczy oczywiście, że należy patrzeć przez palce na gwałt par excellence. Problem w tym, że akcja międzynarodowej lewicy – bo taką stała się inicjatywa #MeToo – jest w istocie skierowana przeciwko ofiarom prawdziwych gwałtów. Manipulacja pojęciami, typowa dla politycznej poprawności, oraz podciąganie pod pojęcie molestowania coraz to nowych kategorii zachowań sprawia, że kobiety, które padły ofiarami autentycznej przemocy, giną w tłumie celebrytek natrętnie lansujących się na #MeToo.

OBIEKTYWIZM FEMINISTEK

Jedną z charakterystycznych cech lewicy jest dążenie do skodyfikowania wszystkich możliwych dziedzin życia. Do hiperregulacji. Tam, gdzie konserwatysta widzi pole do działania naturalnych mechanizmów – zaufania, niewymuszonego przepisami potępienia, porozumienia – tam lewica pragnie wkraczać z zakazami i nakazami. W sferze relacji damsko-męskich jest nie inaczej. Jednym ze sposobów jest poszerzanie pojęcia molestowania poza granice zdrowego rozsądku.

Wiele szumu narobił w ubiegłym roku raport na temat przemocy seksualnej w Polsce, przygotowany przez fundację Ster. Koordynatorką projektu była skrajnie lewicowa aktywistka, zaangażowana feministka Agnieszka Grzybek, działaczka Partii Zielonych. To ważne, bo raport miał potwierdzać lewicową tezę o tym, że przemoc wobec kobiet jest powszechna. Autorzy badania (przeprowadzonego na próbie raptem 451 kobiet w zaledwie trzech województwach nie przez profesjonalny instytut badawczy, ale przez trzy lewicowe fundacje) przyjęli całkowicie arbitralne definicje molestowania seksualnego, do których zaliczono następujące sytuacje: „mężczyzna obnażył się przed Panią w miejscu publicznym lub w innej sytuacji, w której Pani sobie tego nie życzyła", „mężczyzna robił obraźliwe uwagi dotyczące Pani ciała lub seksualności (również za pomocą e-maili, SMS-ów i w Internecie)", „mężczyzna opowiadał Pani nieprzyzwoite dowcipy albo rozmawiał z Panią w sposób, który

eprasa.pl e6d6dc5680

odczuła Pani jako natarczywy i mający seksualny podtekst (również za pomocą e-maili lub w Internecie)", „mężczyzna zachowywał się w sposób obsceniczny, sugerujący aktywność seksualną lub próbował wymusić kontakt fizyczny (ocieranie się, wyzywające gesty i postawa ciała)", „mężczyzna sugerował seks w niestosownym kontekście (również za pomocą e-maili lub w Internecie)", „mężczyzna dotykał Panią w sposób seksualny lub próbował pocałować wbrew Pani woli", „mężczyzna zagroził negatywnymi konsekwencjami w pracy lub na studiach/w szkole, jeśli nie zgodzi się Pani na seks z nim".

Jak łatwo dostrzec, większość z opisanych sytuacji nie podlega obiektywnej weryfikacji. To wyłącznie kwestia oceny osoby pytanej. A że badanie przeprowadzały trzy feministyczne fundacje, można spokojnie założyć, że dotarły do kobiet, które skłonne były wyjść naprzeciw oczekiwaniom lewicowych ankieterów. Szczególnie że dopuszczono rekrutację badanych kobiet poprzez znajomości. Jak opisuje raport, „korzystając z kontaktu zainicjowanego przez osoby znajome – ta forma rekrutacji wymagała, aby ankieterki nie znały osób, z którymi miały przeprowadzić ankiety. Obowiązywała zasada przynajmniej »dwóch stopni oddalenia« (osoba zaproszona do badania mogła być znajomą znajomej/znajomego ankieterki, lecz nie mogła być osobą znaną wcześniej)". Skoro ankieterki wywodziły się ze środowiska skrajnej lewicy, to nietrudno sobie wyobrazić, jakie poglądy miały „znajome znajomych". Taki dobór próby (przynajmniej dwukrotnie za małej) nie spełnia oczywiście żadnych profesjonalnych kryteriów.

Spójrzmy na definicje molestowania. Mamy tam np. kwestię „obraźliwych uwag dotyczących ciała lub seksualności". O tym, czy coś odbieramy jako obraźliwe, czy nie, decydujemy sami. Nie jest to żadne obiektywne kryterium, ale też od dawna na tym lewica opiera pokrętną logikę poprawności politycznej. Do zakazania danego zachowania lub określenia ma wystarczyć, że ktoś czuje się nim obrażony. Dlatego mamy np. nie mówić o Murzynach czy Cyganach – choć to w języku polskim całkowicie neutralne słowa.

Dla jednej z kobiet stwierdzenie „niezła z ciebie laska" będzie komplementem, inna uzna, że ją to obraża. Jedna kobieta nie zwróci uwagi na to, że kolega położy jej dłoń na ramieniu, inna stwierdzi, że to „próba wymuszenia kontaktu fizycznego". Stąd prosta droga do paranoi, w której ramach nawet przepuszczenie kobiety w drzwiach może zostać uznane za obsceniczne, a każda rozmowa ze współpracowniczką powinna się odbywać w przeszklonym pomieszczeniu, pod obiektywem kamer, przy otwartych drzwiach i w obecności dwojga świadków. Każdy komplement będzie dla mężczyzny groźny, bo jeżeli kobieta przypomni sobie o nim za 10 lat, to może go oskarżyć o molestowanie. I wytłumaczyć, że robi to dopiero po dekadzie, bo – po pierwsze – bała się, a po drugie – dopiero teraz jest w stanie przezwyciężyć traumę, jaką pozostawiły w niej słowa: „Masz świetne nogi".

To prosta droga do paranoi, w której ramach nawet przepuszczenie kobiety w drzwiach może zostać uznane za obsceniczne

RANDKA KONTRAKTOWANA

Świat relacji damsko-męskich, szczególnie w ich początkowej fazie – co wie każdy dorosły – z zasady opiera się na niedopowiedzeniach, domysłach, a niepewność reakcji drugiej strony jest jego immanentną częścią. Lewicowe podejście do tej sfery życia grozi odarciem jej z całej magii i napięcia. Wyobraźmy sobie, że przed próbą zaproszenia znajomej na randkę musimy najpierw dać jej do podpisania oświadczenie, że zgadza się, abyśmy złożyli jej taką propozycję. Gdy oświadczenie jest już podpisane, możemy zaproponować miejsce i czas. Jednak na początku spotkania – lub jeszcze lepiej dzień wcześniej – musimy usiąść wspólnie do negocjacji kontraktu randkowego. Powinniśmy zatem dokładnie określić, jakie gesty będą dozwolone – np. jest zgoda na położenie swojej dłoni na dłoni koleżanki, ale już nie na jej kolanie. W kolejnym punkcie uzgadniamy zakres języka, jakim będziemy się posługiwać (czy dopuszczalne są aluzje o charakterze potencjalnie erotycznym), na koniec – jak spotkanie się zakończy i czy w razie sprzyjającej atmosfery możemy zmieniać warunki na bieżąco. I jeszcze jedno: specjalne hasło, które on lub ona może wypowiedzieć, gdyby uznali, że sprawy idą za daleko. Hasło nie musi mieć związku z sytuacją. Może to być np. „arbuz". Podpisujemy dokument, najlepiej u notariusza, i voilà – możemy rozpoczynać męsko-damską przygodę. Tyle że cały romantyzm i napięcie już dawno szlag trafił, bo w trakcie spotkania skupiamy się głównie na tym, żeby nie przekroczyć wyznaczonych w kontrakcie granic (dokument mamy oczywiście przed sobą).

– Masz śliczne oczy…

– Arbuz!

I w tej cudownej atmosferze schodzi nam wieczór.

Brzmi absurdalnie? Jednak do tego prowadzi lewackie szaleństwo.

Zaczyna ono zresztą zjadać własne dzieci. Żeby stać się obiektem akcji #MeToo na tym etapie, nie trzeba bowiem już nikogo obmacywać czy proponować mu seksu. Wystarczy być zwyczajnie chamowatym. To spotkało obracającego się w kręgach bliskich „Wyborczej" eseistę Janusza Rudnickiego (zresztą laureata nagrody Nike). Dziennikarka „Wysokich Obcasów" opowiedziała następujące zdarzenie z udziałem Rudnickiego: „Rozmawiamy miło, kafejka pełna ludzi, aż tu nagle w drzwiach pojawia się ów kolega, a pisarz [Rudnicki] woła do niego: »Chodź, k…y już są!«". Za swoje zachowanie Rudnicki kajał się już i w „Wysokich Obcasach", i w rozmowie z Agnieszką Kublik. To, co w normalnych warunkach powinno zostać załatwione na poziomie zwykłych międzyludzkich kontaktów – chamowi można zawsze powiedzieć, że nie chce się z nim mieć do czynienia – jest teraz omawiane na publicznym forum. Jak ma się do tego faktyczny gwałt, wypełniający przesłanki przestępstwa z Kodeksu karnego? Nijak.

Jeśli się jednak zastanowić, to może to nie jest takie złe? O ile skutki akcji ograniczą się do jej gorących zwolenników na lewicy. Niech oni niszczą swoje normalne międzyludzkie relacje, niech spisują randkowe kontrakty i niech wyciągają sobie koszarowe dowcipy sprzed 15 lat – ich sprawa. Niech się sami wykańczają. Jednak niech trzymają się ze swoimi fobiami z daleka od normalnych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

Z Magdaleną Korzekwą-Kaliszuk, dyrektor CitizenGO Polska
rozmawia Agnieszka Niewińska

Niesmaczny żart to nie gwałt

FOT. ANDRZEJ HULIMKA

eprasa.pl e6d6dc5680

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Opublikowała pani w mediach społecznościowych jakiś post z hasztagiem #MeToo?

MAGDALENA KORZEKWA-KALISZUK: Nie, nie opublikowałam.

Nie spotkała się pani nigdy z żadną formą molestowania? Nie zagwizdał za panią mężczyzna na ulicy? Nie słyszała pani uwag na temat wyglądu?

Nie w tym rzecz. Ta akcja, nawet jeśli brzmi dobrze co do celów i rzeczywiście może uwrażliwiać niektórych ludzi na problem przemocy seksualnej, jednocześnie go spłyca. Moim zdaniem może nawet działać na niekorzyść ofiar przemocy seksualnej, bo jeśli na równi stawia się opowiedziany przez kogoś niesmaczny żart i molestowanie czy nawet gwałt, to coś tu nie gra.

Akcja #MeToo to odpowiedź na seksualny skandal w USA z udziałem producenta Harveya Weinsteina, którego już kilkadziesiąt kobiet oskarża o molestowanie, a nawet o gwałty. Aktorka Alyssa Milano zaapelowała do kobiet o opowiedzenie w sieci własnych historii związanych z przemocą seksualną i wyrażenie w ten sposób swojej niezgody na nią. #MeToo miało chyba przełamać tabu wokół przemocy seksualnej.

I pokazało, że nie ma tu żadnego tabu. Ogromna liczba kobiet podzieliła się swoimi świadectwami, wiele pań wręcz chciało opowiedzieć, że doświadczyły jakiegoś zachowania, które mogłoby być uważane za molestowanie seksualne. Pojawiła się wręcz moda na wstawianie hasztagu z hasłem #MeToo. Tak działają media społecznościowe. Robimy to co inni, bo chcemy być członkami grupy, czuć się akceptowanymi osobami. Stąd moim zdaniem wynika to, że niekiedy na siłę szukano historii o molestowaniu. Niektóre te świadectwa były nawet nieco absurdalne.

Tak jak to aktorki Heather Lind, która dopiero po trzech latach przypomniała sobie i zidentyfikowała zachowanie George'a Busha seniora jako molestowanie? Opowiedział jej „nieprzyzwoity" żart i dotknął ją – nie bardzo wiadomo, w jakim charakterze, tyle tylko że „z tyłu"?

Ja zwróciłabym uwagę raczej na to, że wśród przytaczanych świadectw było dużo skrajności. Część była krzywdząca dla mężczyzn. Na przykład takie, w których propozycję spotkania ktoś zaczął opisywać jako formę przemocy seksualnej.

Ponieważ trudno chyba wyznaczyć granicę. Komplement w miejscu pracy jedne panie mogą odebrać jako wyraz sympatii, inne jako molestowanie.

Granica jest wyznaczona przez przepisy. Kodeks karny jasno mówi, jakie zachowanie człowieka na tle seksualnym podlega karze. Artykuł 197 i kolejne wprost definiują to, jakie zachowania są przestępczymi i jakiej podlegają karze.

Co na przykład z niewybrednymi komentarzami tzw. żula, który często pojawiał się w świadectwach pań, czy z dowcipami kolegów z pracy z seksualnym kontekstem?

To zachowania, które trzeba napiętnować w sferze publicznej. Warto budować taką kulturę społeczną, by było ich jak najmniej. Chcę jednak podkreślić, że nie mieszczą się one w definicji molestowania i jestem przeciwna wrzucaniu ich do jednego worka z najgorszymi przestępstwami seksualnymi. To uwłaczające dla ofiar tych przestępstw.

#MeToo nabrała jednak globalnego rozpędu i zalała media. Wyrazy wdzięczności popłynęły do aktorek, które przemówiły i opisały swoje doświadczenia. Pani odczuwa taką wdzięczność za podjęcie tematu?

Nie powiedziałabym o wdzięczności. Mnie najbardziej nurtuje pytanie, dlaczego w sytuacji, kiedy doszło do ciężkiego przestępstwa, takiego jak molestowanie czy zgwałcenie ze strony znanej w Hollywood postaci, dowiadujemy się o tym dopiero po wielu latach.

Kontrakty hollywoodzkich gwiazd, które padły ofiarą Weinsteina, nie dawały możliwości krytyki producenta. Aktorki mogłyby za to słono zapłacić.

Może zatem problem jest gdzie indziej, czyli w zastraszaniu ofiar albo w takim prawie, które może wyżej stawiać kontrakt od możliwości obrony samej siebie. Może też być tak, że kobiety świadomie czekały na jakiś moment, aby powiedzieć o swojej domniemanej krzywdzie.

Nie wiem, czy to był lęk czy czysto merkantylne powody. Współpraca ze znanym producentem to jednak szansa na karierę w Fabryce Snów. Amerykańskie media donoszą także, że milczenie aktorek było sowicie opłacane.

Takie wyrachowane traktowanie swojej krzywy? Jeśli rzeczywiście tak było, to ofiarom należałoby współczuć. Nie dość, że zostały skrzywdzone, to jeszcze nie skorzystały z szansy do obrony.

Dostrzega pani pozytywną stronę akcji #MeToo?

Wierzę w szczere intencje jej inicjatorów. Jeśli celem było zwrócenie uwagi na problem, to to się udało. Na portalach społecznościowych nie brakowało przecież pozytywnych reakcji. Ja jednak dostrzegam płytkie potraktowanie tematu. Samo publiczne wyznanie, że miało się do czynienia z przemocą seksualną, czy mobbingiem na tle seksualnym, nie rozwiązuje problemu. Trzeba zastanowić się nad przyczynami przemocy seksualnej i walczyć z nimi. Tymczasem mamy do czynienia z pewnym paradoksem. Z jednej strony, próbuje się napiętnować różnego rodzaju niepożądane zachowania wobec kobiet – i dobrze, że to się dzieje. Z drugiej strony, mamy przyzwolenie na wszechobecną pornografię, seksualizowanie wizerunku kobiety w reklamach, w czasopismach, w szeroko pojętej przestrzeni publicznej. Jakby tego było mało, mamy wręcz do czynienia z obroną pornografii. Pomysły jej ograniczenia w Internecie zazwyczaj napotykają wielki opór. Tymczasem to właśnie m.in. seksualizacja przestrzeni publicznej, nieograniczony dostęp do pornografii przyczyniają się do pojawiania się przemocy seksualnej. Bardzo bym chciała, żeby dyskusja obróciła się w szukanie przyczyn przemocy na tle seksualnym i pomysłów na zwalczanie ich, a nie w analizę zachowań bardzo dalekich od tego, co Kodeks karny definiuje jako przestępstwo.

Wśród przytaczanych świadectw było dużo skrajności. Część była krzywdząca dla mężczyzn. Na przykład takie, w których propozycję spotkania ktoś zaczął opisywać jako formę przemocy seksualnej

eprasa.pl e6d6dc5680

Liberałowie i lewica znaleźli przyczynę molestowania – brak edukacji seksualnej w Polsce. Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej w dyskusji z panią na antenie TVN mówiła nawet, że ten, kto wyprowadza edukację seksualną ze szkół, jest współwinny gwałtom.

Tyle że w polskiej szkole mamy wychowanie do życia w rodzinie, które jest edukacją seksualną typu A. Oznacza to, że jednym z celów tego przedmiotu jest uwrażliwienie na potrzebę budowania szacunku do drugiego człowieka i do własnego ciała. Przedmiot uczy, jak odpowiedzialnie podejmować relacje z drugim człowiekiem. W tych krajach, w których jest taka edukacja seksualna, o jaką walczy lewica ideologiczna – typu B, czyli biologizująca sferę seksualną człowieka, czy typu C – która wręcz zachęca młodzież do podejmowania współżycia seksualnego, jest dużo wyższy wskaźnik przemocy wobec kobiet, niższy wiek inicjacji seksualnej nastolatków i chorób wenerycznych niż w Polsce. Krzyki lewicy o tym, że brak permisywnej edukacji seksualnej jest powodem przemocy seksualnej, są sprzeczne z faktami. Badania Agencji Praw Podstawowych z 2014 r., których lewica bardzo nie lubi, pokazują jasno, że w krajach, w których mamy do czynienia z permisywną edukacją seksualną, takich jak np. państwa skandynawskie, odsetek kobiet doświadczających przemocy, w tym przemocy seksualnej, jest dużo wyższy niż w Polsce. W Danii dotyczy to 52 proc. kobiet, w Finlandii – 47 proc., w Szwecji – 46 proc. Unijna średnia to 33 proc. W Polsce to 19 proc.

Ponieważ Polki boją się zgłaszać przemoc.

Bardzo często pojawia się ten zarzut, tyle że w tych badaniach sprawdzano statystyki policyjne, zbadano, jaka grupa kobiet raportuje przypadki przemocy. Okazało się, że Polki nie tylko rzadziej doświadczają przemocy, ale jeżeli już jej doświadczają, to procentowo częściej ją zgłaszają niż kobiety np. w krajach skandynawskich czy w Europie Zachodniej.

Odzew Polek na akcję #MeToo był zatem pani zdaniem przesadny?

Nie użyłabym słowa „przesadny". Jeśli 19 proc. kobiet doświadcza przemocy, to jest o 19 proc. za dużo. Nie umniejszałabym wagi tych wyników. Każda forma przemocy seksualnej to patologia społeczna i trzeba jej skutecznie przeciwdziałać. Potrzebujemy jednak pochylić się nad prawdziwymi przyczynami przemocy, a są to kryzys człowieka, kryzys jego dojrzałości przejawiający się w alkoholizmie i innych uzależnieniach, seksualizacja wizerunku kobiety w przestrzeni publicznej szeroki dostęp do pornografii. Potrzebujemy walczyć z prawdziwymi przyczynami przemocy, a nie wprowadzać rozwiązania, które nie sprawdziły się w innych krajach.

Potrzebujemy pochylić się nad prawdziwymi przyczynami przemocy, a są to kryzys człowieka, jego dojrzałości, seksualizacja wizerunku kobiety w przestrzeni publicznej czy szeroki dostęp do pornografii

Z patriarchatem nie chce pani walczyć?

To lewica krzyczy, jakoby powodem przemocy miały być patriarchat, a nawet religia. Tymczasem to właśnie kultura chrześcijańska, która tyle mówi o szacunku dla kobiet, chroni nas. Chrześcijaństwo chroni kobiety i mężczyzn przed przemocą oraz nawołuje do wzajemnego szacunku.

Profesor Magdalena Środa pewnie by się z panią nie zgodziła.

To proszę popatrzeć na to, co wydarzyło się 2 tys. lat temu. Nikt tak nie zmienił podejścia do kobiet jak Jezus Chrystus. Zakazał np. zabijania kobiet za cudzołóstwo. Wcześniej kobietę przyłapaną na cudzołóstwie zabijano, a mężczyzna szedł wolno. Jezus Chrystus podejmował rozmowy z kobietami, przyjaźnił się z nimi, co w tamtej kulturze wydawało się czymś niemożliwym. Nikt tak pozytywnie nie wpłynął na postrzeganie kobiet jak Jezus i chrześcijaństwo.

Wróćmy do przestępstw seksualnych. CitizenGO zbiera podpisy pod petycją do resortu sprawiedliwości o zaostrzenie kar za gwałt. Wysokość kary coś zmieni?

Dyskusja na ten temat pojawiła się po wstrząsających doniesieniach na temat gwałtu na polskiej turystce w Rimini, ale ten temat interesował mnie już wcześniej, na studiach prawniczych. Kara, jaką jest zagrożony gwałt – od dwóch do 12 lat więzienia – nawet czysto intuicyjnie wydaje się niewielka. Górny wymiar kary jest bardzo rzadko orzekany. Kary dla sprawców gwałtów bywają minimalne, bo niekiedy stosuje się dodatkowo ich złagodzenie ze względu na różne okoliczności. Jest oczywiste, że sama wysokość kary nie jest czynnikiem, który znacząco zmniejszy liczbę przestępstw. Musi iść w parze z nieuchronnością kary, o czym uczy się każdy student prawa. Warto jednak zwrócić uwagę, że w terminologii prawnokarnej przestępstwa, za które grożą co najmniej trzy lata pozbawienia wolności, są określane mianem zbrodni. Proponujemy właśnie, by najniższy wymiar kary za gwałt to były trzy lata, a nie tak – jak dotychczas – dwa. Każdy gwałt powinien być traktowany jak zbrodnia, bo nie ulega wątpliwości, że jest to jedno z najcięższych przestępstw, powodujące cierpienia na lata. Chcemy też zwiększyć maksymalny wymiar za gwałt do 25 lat pozbawienia wolności. Nasze postulaty znalazły spore poparcie. Petycję podpisało do tej pory ponad 22 tys. osób.

Nie popierają ich jednak posłanki opozycji. Propozycję ministra by zaostrzyć kary skrytykowała nawet jedna z liderek Strajku Kobiet.

Ataki na tę propozycję nie miały zazwyczaj wymiaru merytorycznego, ale czysto polityczny, bo z podobnym postulatem wyszedł nielubiany przez pewne grupy minister sprawiedliwości. Niektórzy są zdania, że nawet najbardziej słuszny postulat, jeśli jest zaproponowany przez wroga politycznego, należy krytykować. Nam propozycja wydała się głęboko słuszna, więc uznaliśmy, że warto ją wzmocnić petycją z podpisami obywateli, by pokazać poparcie kobiet i mężczyzn dla tej inicjatywy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk jest prawnikiem i psychologiem, autorką książek i artykułów prasowych. Kierowana przez nią społeczna organizacja CitizenGO Polska działa na rzecz obrony życia, rodziny oraz podstawowych praw i wolności.

eprasa.pl e6d6dc5680

Rafał A. Ziemkiewicz

Rząd na wybory

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

W zapowiedziach rekonstrukcji pozbycie się najsłabszych ministrów wcale nie jest najważniejsze

Takie rzeczy się robi, a nie mówi o nich" – komentują politycy trwające od kilku tygodni spekulacje na temat rekonstrukcji rządu. I sugerują, że PiS świadomie rozpuszcza plotki o mających nastąpić zmianach dla różnych drobnych korzyści wizerunkowych. Jest w tym oczywiście sporo prawdy – prezes Kaczyński nie zwykł opowiadać mediom o swoich politycznych zamierzeniach, a inne źródła „przecieków" raczej nie mogą być dobrze zorientowane. Mimo wszystko krążących pogłosek nie należy jednak zupełnie lekceważyć. Świadczą one o zrozumiałym fermencie w obozie władzy, który w połowie kadencji musi poukładać się na nowo, pod kątem nadchodzących wyborów.

ROSNĄCY APETYT

Aby co najmniej nie stracić samodzielnej większości, PiS musi nie tylko dostać więcej głosów niż w ostatnich wyborach (na co bieżące sondaże dają dużą nadzieję), lecz także sprawić, aby w dzieleniu sejmowego tortu uczestniczyło jak najmniej podmiotów. Innymi słowy – tak rozbić opozycję, by próg wyborczy przekroczyli tylko nieliczni.

Teoretycznie PiS może jeszcze spróbować pomóc szczęściu, zmieniając pod kątem maksymalizacji zysków zwycięzcy ordynację wyborczą. Jednak takie zagranie byłoby ryzykowne. Prostszą, a na pewno nieniosącą ryzyka drogą do maksymalizacji przyszłego wyniku wyborczego jest poszerzanie elektoratu i spychanie przeciwników do nisz. I właśnie pod tym kątem warto spojrzeć na zapowiedzi i spekulacje dotyczące rekonstrukcji.

Istota sprawy jest w tym, że PiS podzielony jest zasadniczym sporem co do tego, jaka droga wiedzie do sukcesu. Rozsądek i elementarna logika demokracji podpowiadają, że poszerza elektorat ten, kto łagodzi przekaz, kto zgodnie z żelazną zasadą marketingu stara się wyborców przede wszystkim do siebie nie zniechęcać. Jednak PiS-owska „żelazna brygada" czy też „zakon" – jakkolwiek nazwiemy najwierniejszych pretorian Komendanta, którzy wytrwali przy nim w najtrudniejszych latach i którzy cieszą się dziś jego największym zaufaniem – wcale nie rozumuje w taki sposób. W ich logice, logice rewolucyjnej, wyprowadzonej z doświadczeń oporu przeciwko PRL i późniejszego „trwania w prawdzie" przeciwko, jak określił to sam Prezes, „monowładzy" układu Okrągłego Stołu, legitymację do władzy stanowią nie zmienne nastroje wyborców, ale przede wszystkim słuszność i moralna wyższość. A tę ostatnią określa niezłomność. Należy więc twardo realizować słuszne cele, a na masy się nie oglądać – prędzej czy później same zobaczą, co dla nich dobre, i dołączą.

Takie rozumowanie nie jest wcale wyłączną cechą radykalnej prawicy, identyczna była przecież filozofia „obozu reform" w latach 90., ale PiS-owscy „jakobini" żyją dziś w przekonaniu, że rozwój sytuacji potwierdza ich determinację do „konsekwentnego zaprowadzenia zmian i oczyszczenia życia publicznego". Zdobycie władzy w roku 2015 interpretują, wbrew faktom, bynajmniej nie jako sukces taktyki wysunięcia przez partię nowych frontmanów, niekojarzących się z radykalizmem, ale jako premię uzyskaną u społeczeństwa za upór w powtarzaniu przez wiele lat swojej diagnozy stanu państwa. Logicznie więc dalszą drogę dla PiS widzą w formule: „Walka musi się zaostrzać tym bardziej, im bliżej do zwycięstwa".

PiS-owscy „jakobini" znacznie lepiej niż politycy umiarkowani komunikują się z Jarosławem Kaczyńskim, który z racji swoich doświadczeń, cech osobowościowych i piłsudczykowskich fascynacji swego inteligenckiego środowiska generalnie preferuje taki właśnie sposób myślenia, przedkładający słuszność nad pragmatyzm. Przez moment wydawało się, że u władzy skłoni się jednak ku zasadniczej zmianie politycznego behawioru swej partii. Na zjeździe w Przysusze zapowiedział, że partia w drugiej połowie kadencji złagodzi styl, tak by skrót PiS odtąd oznaczał „pieniądze i spokój". Nic z tej zapowiedzi nie wynikło, przeciwnie – niemal natychmiast po jej złożeniu zaczęła się polityczna jatka.

KUSZENIE RADYKAŁÓW

Z perspektywy czasu można uznać, że jedno było przyczyną drugiego. Ilekroć Komendant zdaje się skłaniać ku narracji umiarkowanej, tylekroć „jakobini" reagują stwarzaniem faktów, które prowokując wroga, zmuszą PiS, a przede wszystkim jego lidera, do powrotu w radykalne koleiny, wyżłobione w czasach niezłomnej opozycji. Powtórką sytuacji, potwierdzającą tę prawidłowość, jest wzmożenie Antoniego Macierewicza w ogłaszaniu dowodów

eprasa.pl e6d6dc5680

wybuchu (czyli zamachu) po tym, jak Jarosław Kaczyński zapowiedział zakończenie obchodzenia „miesięcznic smoleńskich" i ogłosił, że „być może nigdy nie poznamy prawdy" o przyczynach tej tragedii.

Bronią „jakobinów" jest demonstracyjne przywoływanie Prezesa, by to on osobiście stawał na czele – zrozumiałe, zważywszy, że zwykle przyznaje rację ich narracji. Tak należy rozumieć puszczenie w obieg plotki o dymisji Beaty Szydło z funkcji premiera i objęcie tego urzędu przez samego Kaczyńskiego. Nie przypadkiem uczynił to tygodnik „Sieci", rywalizujący w radykalizmie z bliską Antoniemu Macierewiczowi „Gazetą Polską". Rzekomy przeciek, w istocie będący zachętą, przypomina inną sensację tego samego tygodnika, że to Kaczyński stawi czoła układowi jako kandydat PiS na prezydenta, ogłoszoną w czasie, kiedy Komendant wahał się, czy iść za swoim politycznym instynktem, czy posłuchać głosu rozsądku, na szczęście dla PiS firmowanego wówczas przez – będącego dla wychowanka żoliborskiej inteligencji autorytetem – zasłużonego historyka, patriotę i profesora UJ Andrzeja Nowaka. Wtedy rozsądek przeważył, czego owocem było zdobycie władzy. Jak będzie teraz? Mimo zaprzeczeń pogłoska o objęciu premierostwa przez Kaczyńskiego powtarzana jest dość uporczywie. Jednak może dlatego, że oczekiwania radykałów zbiegają się tutaj z nadziejami „totalnej opozycji". Jedni i drudzy marzą o frontalnym starciu, wielkiej bitwie, która rozgrzeje do maksimum emocje tożsamościowej wojny polsko-polskiej i kompletnie odsunie w cień sprawy merytoryczne, w których władza nie wypada wcale tak jednoznacznie, jak stara się o tym przekonać telewidzów. Radykałowie kuszą, podobnie jak czynili to podczas poprzednich rządów: nie oglądajmy się na sondaż, rozbijmy do końca układ, a ujawnimy „porażającą prawdę", która ostatecznie przekona wszystkich raz na zawsze.

Jarosław Kaczyński raz już jednak temu kuszeniu uległ i pamięta, że skończyło się to zmobilizowaniem przeciwko PiS wielkiej części społeczeństwa oraz utratą władzy, mimo świetnych wyników ekonomicznych. Dlatego dał zielone światło – może w przekonaniu, że „jeśli nawet to nie pomoże, to nie może zaszkodzić" – Jarosławowi Gowinowi do próby zagospodarowania obszaru na prawo od PiS, owej „piwonii" (prawica wolnościowa i narodowa), o znaczeniu której w nadchodzących wyborach pisałem już kilka miesięcy temu. Akcja PiS w tym kierunku jest skoordynowana na zasadzie kija i marchewki. Z jednej strony mamy mnożące się oferty politycznej korupcji i intrygi rozkruszające klub Kukiz'15 (np. zmuszenie do usunięcia się z klubu Sylwestra Chruszcza), niestety, jak się zdaje, wspierane od wewnątrz przez grupę bliskich Kukizowi działaczy, czy uruchomione śledztwo prokuratorskie mające „umoczyć" Kukiza w kwestii wykupionego przed laty, z ogólnie obowiązującą dla wieloletnich lokatorów zniżką, mieszkania w Warszawie. Z drugiej – powołanie pod patronatem Jarosława Gowina partii Porozumienie to oczywista oferta dla działaczy wszystkich istniejących na obszarze „piwonii" organizacji, umęczonych i zirytowanych nieustającym skłóceniem, niweczeniem ich pracy oraz kolejnych szans przez chimery, miniwodzostwo czy celebryckie wygłupy liderów. Oferta nawet nie tyle korupcyjna – choć oczywiście partia władzy, zwłaszcza z tak krótką ławeczką personalną jak PiS, ma dużo stanowisk do rozdania, a organizacje Republikanów czy Wolnościowców wychowały już wielu ekspertów, którzy chcieliby, aby ich wiedza przełożyła się wreszcie na coś więcej niż tylko jałowe i bezsilne protesty – ale przede wszystkim oferta, że wreszcie z tych wolnościowych ruchów wyniknie coś więcej niż oburzenie mediów kolejną wypowiedzią Korwin-Mikkego czy pikieta tu albo tam. Jednak to, co stanowi siłę tej propozycji – wspomniane stanowiska – decyduje także o jej słabości, bo wyborcy „piwonii" gołym okiem widzą, że powstająca partia jest skazana na marginalność, nie będzie w stanie postawić warunków sile, której zawdzięcza istnienie i beneficja, skazana jest więc na odgrywanie roli listka figowego dla socjalistycznego i etatystycznego do szpiku PiS.

Partia Gowina jest potencjalnym punktem oparcia w PiS dla ambicji Andrzeja Dudy, gdyby ten wytrwał w swoim zamiarze zmieniania Polski inną drogą niż wyznaczona przez „jakobinów" wielka czystka i obsadzenie państwa ludźmi „swoimi", a przynajmniej posłusznymi. Jeśli więc Prezes dał tej inicjatywie zielone światło, to trzeba uznać, że albo sam nie wróży jej wielkiego powodzenia, albo powiększenie wpływów prezydenta oraz zrównoważenie nimi Ziobry i Macierewicza uważa za wskazane. Jeśli tak jest naprawdę, to powinno to znaleźć wyraz podczas zapowiedzianej na połowę listopada rekonstrukcji. Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że Prezes odda któremuś z ludzi prezydenta politykę zagraniczną, której ani sobie nie ceni, ani na której się nie zna. Nie brak oczywiście pogłosek dalej idących – zgodnie z nimi Prezes miałby zgodzić się na objęcie konstytucyjnej kontroli przez prezydenta także nad MON. Antoni Macierewicz miałby w tym wariancie dostać „kopniaka w górę" i zostać awansowany na jakieś teoretycznie wyższe, ale mniej znaczące stanowisko, z argumentacją, że jako człowiek do „akcji specjalnych" zrobił swoje, czyszcząc MON, ale teraz resort ten potrzebuje administratora, lepiej dogadującego się z kadrą w codziennych sprawach.

Wydaje się to jednak bliższe marzeń obozu belwederskiego niż rzeczywistych planów Komendanta – tak daleko idące wzmocnienie prezydenta byłoby z jego strony ruchem równie radykalnym, choć krańcowo przeciwnym w skutkach, tak jak objęcie samemu premierostwa.

KTO WYPADNIE?

Najmniej chodzi w zapowiedziach rekonstrukcji o to, o czym się mówi najgłośniej – pozbyciu się z rządu ministrów najsłabszych bądź stanowiących dla niego wizerunkowe obciążenie. Jeśli Witold Waszczykowski czy Jan Szyszko stracą stanowiska, to z powodów frakcyjnych, a nie merytorycznych. W przypadku tego drugiego przesłanką do dymisji jest to, że środowisko Radia Maryja w obecnej sytuacji bardzo straciło na znaczeniu i nie ma potrzeby Ojca Dyrektora dowartościowywać. Jednak brak też własnego frakcyjnego zaplecza, czyniący ją niepotrzebną w „poukładaniu" partii do wyborów, może być powodem usunięcia Anny Streżyńskiej, która akurat merytorycznie jest jednym z najlepszych ministrów tego gabinetu.

Analogicznie chęć poszerzenia zaplecza władzy może sprawić, że odwołany zostanie albo minister rolnictwa (któremu zresztą, jak się zdaje, mogłoby to sprawić autentyczną ulgę), albo minister zdrowia. W połowie kadencji PiS wyraźnie nastawił się na polityczną korupcję, podobnie jak czyniła to w czasach potęgi PO, „zasysając" bieżeńców z prawa i z lewa. O pracy nad kolejnymi transferami na wzór przejścia wprost na ministerialny stołek Andżeliki Możdżanowskiej z PSL sporo się w sejmowych kuluarach plotkuje, ale nie sposób odróżnić tu prawdy od zmyśleń i celowej dezinformacji.

Wszystko zresztą wyjaśnić się ma już niebawem – w połowie miesiąca. Z tego, jak ostatecznie przebiegnie rekonstrukcja, łatwo będzie odczytać zamierzenia PiS na drugą połowę kadencji i nadchodzący wyborczy maraton.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

Zimna wojna o Banderę

Maciej Pieczyński

Na froncie polityki historycznej moralna racja jest po stronie Warszawy. To jednak nie oznacza, że uda się zmusić Kijów do rezygnacji z kultu morderców Polaków. Kultu, który dziś jest antyrosyjski

Partnerstwo z Ukrainą pozostaje kluczowym zadaniem polityki zagranicznej naszego państwa" – zapewniał niedawno Witold Waszczykowski w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej". To miał być wyraźny krok w kierunku ocieplania relacji między krajami. Jednak w tej samej rozmowie szef MSZ mówił m.in. o potrzebie dyskusji na trudne tematy, takie jak „rozliczenie ludobójstwa OUN/UPA". Z polskiej perspektywy to postulat oczywisty, dla obecnych władz w Kijowie – atak na symbole narodowe.

BEZ NIUANSÓW

Od trzech lat Ukraińcy, upominani przez Warszawę w kwestii historii, zaciekle się bronią, stosując szantaż moralny i argumentując: „Prowadzimy wojnę z naszym wspólnym wrogiem, bronimy was przed Rosją, a wy nam nóż w plecy wbijacie!". Faktem jest, że ostrze współczesnego banderyzmu skierowane jest na wschód. Nad Wisłą zbyt często się o tym zapomina. Banderowcy najpierw mordowali polską ludność cywilną Wołynia i Galicji, następnie zaś walczyli z Sowietami. I to ten drugi okres jest dla Ukraińców powodem do dumy. Natomiast wiedza o rzezi wołyńskiej jest nad Dnieprem bardzo znikoma. „Antypolską akcję" tamtejsi badacze przedstawiają jako jeden z wielu epizodów „wzajemnej rzezi" dwóch narodów. „Symetria win" jest w polityce historycznej Kijowa aksjomatem. W Polsce niedawno oburzenie wywołał wywiad z Wiktorem Juszczenką, w którym były prezydent Ukrainy postawił na równi UPA i AK, Banderę i Piłsudskiego. To nie jest opinia radykała. Taką symetrię wyznają nawet „światli prozachodni intelektualiści", tacy jak feministka Oksana Zabużko czy sympatyzujący z polskimi liberałami Jurij Andruchowycz. Uogólniając: według tej narracji UPA walczyła o niepodległość tak samo jak AK i żołnierzom obu formacji zdarzały się zbrodnie. Krytykując wypowiedź Juszczenki, prezes IPN dr Jarosław Szarek zaznaczył, że Armia Krajowa „nigdy nie mordowała ludności cywilnej". Tymczasem Ukraińcy lubią wypominać nam nie tylko akcje odwetowe, lecz także tzw. rewolucję hrubieszowską, czyli atak oddziałów polskiego podziemia na ukraińskie wsie na Lubelszczyźnie, którego ofiarami byli cywile. Jednak dowództwo okręgu AK tę akcję potępiło. Ponadto, jak stwierdza prof. Motyka, celem „rewolucji" było uprzedzenie planowanego ataku UPA.

Te niuanse nie mają jednak znaczenia dla wojującej polityki historycznej Kijowa. A jeśli już historycy nad Dnieprem są zmuszeni skonfrontować się z tematem antypolskiej akcji, to często tłumaczą ją jako „sprawiedliwość społeczną", jako zrozumiały bunt chłopów przeciw swoim ciemiężycielom, „polskim panom". Jednocześnie Ukraińcy są mocno uczuleni na stosowaną czasem przez Polaków retorykę wyższościową. Burzę nad Dnieprem wywołała wypowiedź Jana Żaryna o tym, że „Ukraina zachowuje się jak barbarzyńca", który „nie chce należeć do rzymskiej cywilizacji". To nic, że chodziło o zatrzymanie ekshumacji – Ukraińcy zinterpretowali to tak, jakby znowu „polski pan" pouczał „dziki naród".

BEZ KOMPROMISÓW

„Bohaterom Ukrainy Karpackiej rozstrzelanym przez polskich i węgierskich okupantów w marcu 1939 r." – głosi napis na pomniku poświęconym żołnierzom Siczy Karpackiej, jednostki podległej OUN. Polskie MSZ słusznie zaprotestowało. Po pierwsze, nie ma dowodów na to, że w przeprowadzonej przez Węgrów masowej egzekucji siczowców brali udział Polacy. Po drugie, mamy tu znów do czynienia ze wzmacnianiem mitu „Polaków okupantów". Co znamienne, w odsłonięciu tego pomnika uczestniczyła Iwanna Kłympusz-Cyncadze, wicepremier Ukrainy ds. Integracji Europejskiej. Ukraińcy naprawdę są przekonani, że wbrew ostrzeżeniom Jarosława Kaczyńskiego i Witolda Waszczykowskiego wejdą do Europy nie tylko

eprasa.pl e6d6dc5680

Szef MSZ Witold Waszczykowski podczas wizyty na Ukrainie 5 listopada odwiedził cmentarz Łyczakowski we Lwowie FOT. PAP

z Banderą, lecz także w glorii męczennika polskiej okupacji.

To właśnie bezkompromisowość, z jaką Kijów traktuje kult UPA, wywołała największy od lat dyplomatyczny kryzys w relacjach polsko-ukraińskich. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej wstrzymał wydawanie pozwoleń na ekshumacje oraz na legalizację polskich upamiętnień na Ukrainie w odpowiedzi na demontaż pomnika UPA w Hruszowicach. – Przez ostatnie trzy lata byliśmy świadkami zniszczenia 15 ukraińskich pomników, także tych nagrobnych, na terytorium Polski. Żaden z nich nie został odnowiony, podczas gdy zniszczony w Hucie Pieniackiej pomnik polskich ofiar odbudowała własnymi siłami lokalna społeczność – mówi „Do Rzeczy" Wołodymyr Wjatrowycz, szef UIPN. Pomija przy tym fakt, że odbudowany monument został przy okazji ocenzurowany. Wjatrowycz proponuje polskiej stronie automatyczną legalizację wszystkich upamiętnień po obu stronach granicy. – To rozwiązanie korzystne dla Warszawy, bo na terenie Ukrainy znajduje się ok. 150 nielegalnych polskich pomników, czyli trzykrotnie więcej niż nielegalnych ukraińskich pomników na terenie Polski – argumentuje. – Rozumiem, że nasz pomysł nie został zaakceptowany, ale w takim razie czekam na kolejne propozycje ze strony polskiej – dodaje. Na pytanie, czy zgodziłby się na układ: nie ruszać pochówków, zburzyć pomniki, odpowiada wymijająco, że to „może być przedmiotem rozmów".

– Obie strony polsko-ukraińskiego konfliktu o historię okopały się na swoich pozycjach. Żadna z nich nie ustąpi, bo to by oznaczało przyznanie się do porażki przed swoim elektoratem. Punktem zapalnym były Hruszowice – jeśli w tej sprawie nie będzie kompromisu, to Kijów najprawdopodobniej nie zmieni swojej decyzji – ocenia Jevgenij Bilonozhko, redaktor naczelny polsko-ukraińskiego portalu Polonews. – Takie argumenty jak „nasze pomniki są ważniejsze, bo Polacy byli ofiarami, a Ukraińcy katami" absolutnie nie przemówią do strony ukraińskiej. Sytuację pogarsza fakt, że Polska próbuje zakaz budowy polskich pomników omijać poprzez działania Polonii – dodaje.

– Pomniki postawione niezgodnie z polskim prawem powinny zostać zburzone, bo to państwo polskie ma być monopolistą w sferze symbolicznej. Natomiast legalne monumenty muszą być pod ścisłą ochroną. Mam nadzieję, że państwo będzie w tej sprawie działać skuteczniej – mówi prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, politolog, członek gabinetu ministra Waszczykowskiego, komentując zarzuty Wjatrowycza odnośnie do niszczenia ukraińskich pomników na terenie Polski. – Potrafimy wyciągać naukę z błędów i zaniedbań. W zeszłym roku doszło do antyukraińskich incydentów podczas procesji greckokatolickiej w Przemyślu. W tym roku było już spokojniej.

PODSZEPTY

Niedawną wizytę wicepremiera Glińskiego na Ukrainie tamtejsze media oceniają jako próbę rozwiązania „konfliktu pomnikowego" na poziomie wyższym niż IPN. Witold Waszczykowski zaostrzył swoją retorykę, zapowiadając zakaz wjazdu dla ukraińskich urzędników odpowiedzialnych za wstrzymanie ekshumacji. Wołodymyr Wjatrowycz tę zapowiedź skomentował jako „absolutnie nieodpowiedzialną". Być może w chwili, gdy czytają państwo ten artykuł, szef ukraińskiego IPN jest już na tej „czarnej liście". Warto pamiętać, że podobne metody stosowali Ukraińcy wobec polskich działaczy.

Wątpliwe jednak, czy presja okaże się skuteczna. Jeśli Ukraińcy dwukrotnie w XXI w. sprzeciwili się rosyjskiej dominacji, to trudno oczekiwać, że nagle ulegną Polsce pod wpływem kilku ostrych słów ministra Waszczykowskiego. Rząd PiS ma bardzo słabe notowania nad Dnieprem. Polska prawica, zdominowana dziś przez ruch kresowy, nie ma pomysłu na Ukrainę. A przecież można byłoby różnymi, bardziej dyplomatycznymi drogami próbować podsuwać Kijowowi bardziej akceptowalnych niż Bandera bohaterów – np. Tarasa Bulbę-Borowcia, dowódcę pierwszej UPA, który sprzeciwił się antypolskim czystkom. – Faktem jest, że z obecnymi elitami ukraińskimi wciąż dobry kontakt ma środowisko polskiej opozycji. Nad Dnieprem pracowali albo pracują przecież tacy ludzie jak Nowak czy Balcerowicz. Wydaje się, że to za ich podszeptami Kijów postrzega polski rząd jako nacjonalistyczną quasi-dyktaturę, izolowaną w świecie, a więc bezwartościową jako sojusznik na arenie europejskiej, jako rząd sezonowy, który i tak lada moment zostanie obalony przez jakiś majdan w Warszawie. Dlatego oligarchiczna władza ukraińska, nie doceniając Polski, oddaje politykę historyczną we władanie nacjonalistów – komentuje prof. Żurawski vel Grajewski, przyznając, że polskiej prawicy brakuje efektywnych środków soft power na Ukrainie. – Krótko rządzimy, nie zdążyliśmy jeszcze zbudować sobie tam pozycji – tłumaczy.

Mimo wszystko wciąż aktualne są, niesłyszane na Ukrainie, słowa Waszczykowskiego o strategicznym partnerstwie. Żurawski vel Grajewski wylicza pozytywy wzajemnych relacji: – Polsko-ukraińsko-litewska brygada uzyskała zdolność operacyjną, mamy umowę na dostawę optyki wojskowej dla ukraińskich wozów bojowych, ukraińskich żołnierzy szkolą polscy specjaliści. 54 proc. zagranicznych studentów w Polsce to Ukraińcy. Jest ich u nas 30 tys., płacą czesne, wspierają nasze szkolnictwo wyższe, a jednocześnie tym samym budujemy nowe kadry ukraińskiej inteligencji, która mentalnie i kulturowo będzie związana z Polską. To tylko niektóre z wielu punktów. Poza tym – wbrew temu, co sądzą władze w Kijowie – to Ukraina bardziej nas potrzebuje niż my jej. I to do niej należy decyzja, czy ważniejsze jest strategiczne partnerstwo, czy polityka historyczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

K. jak Kaczyński

Andrzej Horubała

Pomysł miał Paweł Demirski bardzo dobry: napisać dramat polityczny na podstawie książki Roberta Krasowskiego „Czas Kaczyńskiego. Polityka jako wieczny konflikt”

Książka Krasowskiego bowiem – jak mało która diagnoza polityczna – nadaje się do przeniesienia na deski teatralne: najnowsze dzieje Polski przedstawia jako arenę zmagania się dwóch toksycznych jednostek, które swymi fobiami, kompleksami, chorymi emocjami zatruły, skaziły nasz kraj.

Kaczyński i Tusk – mściwi, bezwzględni w walce o władzę, zdradzający najbliższych współpracowników, budujący partie wodzowskie – przedstawiani są przez Krasowskiego przez pryzmat kapitalnych anegdot, efektownych zdań wyłuskiwanych z przeróżnych wywiadów, przecieków i niedyskrecji, naprędce czynionych psychologicznych portretów.

Krasowski, marzący o wyrazistej publicystyce, kreowaniu mitów porządkujących całe skomplikowane, pełne meandrów życie polityczne, narzucaniu sugestywnych obrazów, ukazywaniu najnowszej historii jako dziejów nieprzeciętnych jednostek, po falstarcie, jakim była książka „Po południu. Upadek elit solidarnościowych po zdobyciu władzy” (2012), w której ogłosił Lecha Wałęsę najwybitniejszym politykiem okresu transformacji, w ostatniej części trylogii poświęconej historii III RP intronizował Jarosława Kaczyńskiego, twierdząc, że to właśnie prezes trafnie uchwycił i zdefiniował istotę krajowej polityki, zrozumiał jej reguły i narzucił swoją wizję całej klasie politycznej. A przy tym Kaczyński wzbudził swój cień, swoje lustrzane odbicie – Donalda Tuska, który podjął wyzwanie i obaj walcząc zaciekle, umeblowali czy też zdemolowali polską scenę polityczną.

Obrał więc Demirski, autor o wrażliwości raczej lewicowej, na swego przewodnika pisarza dość nieoczekiwanego, ale przecież przez wyraźną fascynację makiawelicznym obliczem polityki, przez personalizowanie konfliktów, przez próby nadania im wymiaru osobistego, świetnie nadającego się na patrona scenicznej opowieści.

No tak, tylko Demirski postanowił nie tyle pogłębiać opowieść Krasowskiego: czy to kreśląc głębsze portrety psychologiczne wielkich adwersarzy, czy

eprasa.pl e6d6dc5680

Demirski postanowił nie tyle pogłębiać opowieść Krasowskiego, ile obudować ją grą niezdyscyplinowanych skojarzeń i pobocznych wątków FOT. MAGDA HUECKEL

to podejmując dyskusję o kontekście społecznym sporu Tusk – Kaczyński, o tym, co wyniosło ich do władzy i jak ta władza zwichrowała Polaków, ile obudować akcję „Czasu Kaczyńskiego" różnymi dygresjami i frędzlami, grą niedyscyplinowanych skojarzeń i mnogością pobocznych wątków.

WYBORY 2019

Akcję swej sztuki osadził Demirski świetnie: w październikowy wieczór i w noc wyborczą roku 2019, kiedy to nastroje społeczne rzeczywiście mogą osiągnąć swe apogeum.

Moment przełomowy, gdy społeczeństwo ma usłyszeć wyrok na kolejne cztery lata. Moment straszny: wzmożonych nadziei, lęków, obaw. Moment przesądzający.

W sztabach wyborczych niepokój, na ulicach demonstracje przeradzające się w rozruchy, ludzie gromadzą się pod Sejmem i pod telewizją, zapowiada się majdan, mnożą się prowokacje, a przeciągające się ogłaszanie wyników potęguje napięcie. Są akty przemocy, podpalenia, pierwsze ofiary.

Atmosfera grozy: emocje podzielonej Polski zostają rozgrzane do białości, a sprzeczne komunikaty dotyczące wyników wyborów miotają ludzi od euforii do wściekłości.

Na tym tle dwaj wielcy protagoniści wygłaszają kwestie, występują w scenkach zręcznie wykrojonych z książki Krasowskiego.

Są też inni bohaterowie. Liczący na wyborczego fuksa zdezorientowany lider powołanej ad hoc partii Komicy dla Kraju oraz wspomagająca go dziewuszka z Internetu, rówieśniczka wolnej Polski. Gdzieś idzie ulicą – „za pomocą taksówki, oczywiście" – zabłąkana zwolenniczka Unii Wolności i na swoje pytanie, gdzie należy szukać sztabu wyborczego jej partii, dostaje brutalną odpowiedź: Na Powązkach! (Świetny jak zawsze jest Demirski w szyderstwach z elity). Sprzedajni politycy i dziennikarze nie wiedzą, czy już zmieniać klubowe barwy, czy jeszcze się wstrzymać.

Prognozy wyborcze skłaniają bohaterów do odsłaniania swych prawdziwych zamiarów. Tusk zapowiada wsadzanie do więzień pisowców. Ktoś próbuje uruchomić – jak w czasie pamiętnej nocy czerwcowej roku 1992 – dawno rozwiązane Jednostki Nadwiślańskie. Wdowa po Unii Wolności apeluje o wznowienie „Gazety Wyborczej", no i większe zainteresowanie się przez Platformę „klasą ludową". Zdezorientowany pretorianin z PiS rozpoczyna przewrót w partii i oblewa Kaczyńskiego benzyną.

W formie intermezza przy muzycznym temacie Andrzeja Kurylewicza z serialu „Polskie drogi" oglądamy scenki z pierwszych lat wolnej Polski: narady z udziałem Wałęsy i Geremka, sztandar wyprowadzić, omdlenie Mazowieckiego, pijackie ekscesy Kwaśniewskiego, bufonadę Rokity. Polskie waśnie, rywalizacja, knucie, nienawiść i kojąca muzyka – czy nie ma być to ekwiwalent historiozofii Krasowskiego, który w podsumowaniu swych dziejów III RP zwracał uwagę, że krajowe spory, którymi się zajmował, nie miały w zasadzie aż tak wielkiego znaczenia, gdyż wielka transformacja ustrojowa i tak była częścią globalnych procesów i we wszystkich dawnych demoludach dała podobne wyniki.

TRUDNE DO STRAWIENIA

To wszystko – opowiadane przeze mnie – brzmi w miarę klarownie, ale stwierdzić trzeba, że zarówno Demirskiemu, jak i Strzępce tym razem wyraźnie zabrakło dyscypliny. Demirski dostarczył tekst rozlazły, niekonsekwentny, a jego predylekcja do nieujętej w mocne ramy groteski, lekceważenia prawdopodobieństwa, wykrzywiania rzeczywistości, która przecież doprowadziła do klęski ich poprzedniego widowiska o polskiej klasie politycznej (czteroodcinkowy teatralny serial „Klątwa. Odcinki z czasów beznadziei") i tutaj zaowocowała rzeczą trudną do strawienia.

Owszem, duet naszych obrazoburców udaje, że przedstawia nam sztukę brutalnie zaangażowaną: dominantą scenografii jest wykrzywiona w krzyku twarz, potężna ściana gitarowego dźwięku wali od czasu do czasu po nogach i brzuchach publiczności, czyniąc z fragmentów spektaklu kino co najmniej 5D. Do tego krew na twarzach i ciałach bohaterów, gówno w wiadrze i na ubraniu, wyrwane trupom demonstrantów wątroby. Tusk i Kaczyński warczą na siebie, ujadają, biją się, padają w śmiertelnych uściskach. Epatowanie śmiercią – demonstrantów, polityków, żarciki z płonących ludzi jako koksowników – niebezpiecznie zaczyna rymować się z samobójczym aktem Piotra Szczęsnego, budząc raczej niesmak niż poczucie podziwu dla profetycznych talentów Demirskiego. I ten pozór buntu irytuje. Bo nie ma w „K." żadnego oryginalnego politycznego komunikatu, żadnej diagnozy. Zaangażowanie sprowadza się do krzyku i przerysowania.

Strzępka próbuje niezborną, pełną dygresji opowieść jakoś wziąć w ryzy, ale niespecjalnie jej się to udaje. Aktorzy pozostawieni w drugim planie czasem wyraźnie nie wiedzą, co mają odstawiać, i stają się biernymi słuchaczami bełkotów z planu pierwszego. Sztuka wyraźnie się rozłazi. Owszem, gdy Demirski udziela głosu Krasowskiemu, brzmi mocno, czy gdy przywołuje opowieści o kompleksach obu liderów, czy gdy każe słuchać opinii publicysty o bohaterze opowieści: „Najciekawszym zjawiskiem na scenie politycznej był Jarosław Kaczyński – słuchamy fragmentu »Po południu«. – Skalą talentu przewyższył

eprasa.pl e6d6dc5680

wszystkich, z Millerem i Kwaśniewskim włącznie. To był prawdziwy fenomen. Postać wszechstronna: wirtuoz gry politycznej, błyskotliwy demagog, świetny analityk, porywający ideolog…"

I dalej: „Głównym orężem był czarny PR. Oponentów niszczył insynuacjami, w których kreślił portrety ludzi skrywających ponure tajemnice. Większość negatywnych informacji, jakie posiadła opinia publiczna na temat Michnika, Kuronia, Geremka, Wachowskiego, Wałęsy, Mazowieckiego, a potem Tuska czy Sikorskiego, pochodziła od Kaczyńskiego. To od niego dowiadywaliśmy się, kto miał przodka w KPP, kto się wychował na podwórku, kogo bił ojciec, kto za dużo pije, z kim pije, z kim jest na ty. […] Gdy Kaczyński wraz z grupą polityków pojechał w 1993 r. zobaczyć wojnę w Jugosławii, zaledwie dzień po powrocie poinformował całą Polskę, że Kuroń i Michnik ciągle pili wódkę. Kaczyński tkał swoje czarne legendy z rozmachem, z jakim pisarze budują kolejne wątki swoich powieści".

No tak, ale to jest Krasowski, który do Kaczyńskiego odczuwa przedziwną hassliebe i z satysfakcją odkrywa cyniczne oblicze polityki. Epatowanie chłodem i zawieszeniem osądu moralnego to przecież znak firmowy publicysty.

MOTYW ZEMSTY

Demirski do końca nie wie, co z tym zrobić. Fascynuje go narracja Krasowskiego, czemu trudno się dziwić – jest to autor obdarzony bardzo dobrym piórem i mocnym głosem, potrafiący zahipnotyzować nie tylko osobników o słabych głowach.

Dziwna sprawa: nasz duet, obsadzając w roli Kaczyńskiego – wbrew warunkom – Marcina Czarnika, który swą wielką karierę zaczynał rolą Hamleta w „H." Jana Klaty, rozgrywanym w zrujnowanej Stoczni Gdańskiej, kompletnie nie wykorzystuje tropów, jakie niosłoby zestawienie „H." z „K.".

Motyw zemsty i związana z nim toksyczna relacja z matką, będąca jednym z wątków Hamleta, tu przedstawiana jest jedynie w sposób prześmiewczy: Demirski fantazjuje, że matka Jarosława wciąż żyje i chroni go – tak jak w dzieciństwie – przed światem zewnętrznym, nie pozwalając na samodzielne opuszczanie mieszkania. A i Jarosław strzeże ją przed rzeczywistością, ukrywając prawdę, jak w kwietniu 2010 r. Ale to takie podśmiechujki.

Kaczyński w ujęciu Czarnika nie jest postacią, której mielibyśmy w jakikolwiek sposób współczuć. Aktor, który ocieplał wizerunek Feliksa Dzierżyńskiego w haniebnej „Bitwie Warszawskiej 1920" Demirskiego i Strzępki, tutaj z błąkającym się na ustach uśmiechem zdradza nam co najwyżej kompleksy swego bohatera, wypowiadając kwestie skrzętnie wynotowane przez Krasowskiego. Mamy więc opowieści o nikczemnym wzroście, o poczuciu odtrącenia („czułem się jak na nieswoim przyjęciu urodzinowym"), o dziwnych relacjach z bratem bliźniakiem. Na próżno szukać w Czarniku charyzmy, jaką dla wielu Polaków nosi w sobie prezes, na próżno szukać chwil uniesień, gdy polityk czuje się mścicielem podejmującym misję w imieniu narodu. Jest cynik, chełpiący się tym, że udało mu się narzucić swoje kompleksy całemu narodowi: „Moja tajemnica polega na tym, że udało mi się moje całkowicie prywatne emocje, odczucia, relacje towarzyskie, intymne wprowadzić tak w życie, że wszyscy nimi żyją…". Jest mały, mściwy osobnik, który marzy o kolejnym triumfie nad Tuskiem.

Dziwnie jednowymiarowa to postać, w zasadzie nie za bardzo wiadomo kto.

Zgoda, pomysł otwierający spektakl, gdy kurtyna opada, zasłaniając scenografię i oglądamy jakiś błazeński stand-up, w którym Jakub Papuga wciela się w opowiadającego swój sen Kaczyńskiego, jest ciekawym preludium, pokazującym, że takich śmiechów Demirski nie chce serwować poznańskiej publiczności. Niesmaczne dowcipy ze śmierci brata bliźniaka, prześmiewcze naśladowanie maniery prezesa – to wszystko zostaje wzięte w nawias, gdyż okazuje się, że mieliśmy do czynienia z próbką występu lidera Partii Clownów, a nie ze sceniczną postacią lidera PiS. Ale przecież kreacja Czarnika, choć bardziej stonowana, niewiele odbiega diagnozą od tego, co szyderczo przedstawił Papuga. Niesamodzielny osobnik, kompletnie nieznający realnego życia, chowany pod kloszem samotnik…

PAWEŁ DEMIRSKI „K." REŻ. MONIKA STRZĘPKA, TEATR POLSKI W POZNANIU, PREMIERA: 4 LISTOPADA 2017 R.

ROBERT KRASOWSKI „CZAS KACZYŃSKIEGO. POLITYKA JAKO WIECZNY KONFLIKT" WARSZAWA 2016

A Tusk? Jacek Poniedziałek z wdziękiem ogrywa tę postać, ale cóż, znów niespecjalnie złożona to osobowość. Poniedziałek świetnie wygrywa teflonową gładkość Donalda, zręcznie podaje anegdoty ze skarbczyka Krasowskiego, upewnia nas, że i lider PO to niezły psychol, choć groźniejszy, bo skrywający się pod maską spokoju. Wypowiada swój podziw dla Kaczyńskiego: „Strasznie zazdroszczę temu małemu. Ja takiej odwagi uderzania w narodowy dzwon nie miałem, choć przecież spokojnie mógłbym". I dalej coś o ruchaniu przez Kościół… No i wiadomo – Tusk: leniwy, chłopak z podwórka, ale lubiący ludzi i siebie, zadowolony z koszul, z dopasowanych garniturów, spokojnie mógłby zasilić „Ucho prezesa" Roberta Górskiego.

Obaj politycy budzą wściekłość młodej dziewczyny, która od apatii i rezygnacji przechodzi do ataków furii. Rówieśniczka III Rzeczpospolitej z rozpaczą kwituje obraz klasy politycznej: „Budzą się, wkładają garnitury i idą deptać ludzi, wycinają się nawzajem!". No i rzeczywiście ma to wszelkie znamiona paranoi, bo „to, kurwa, tyle trwa, wciąż wśród tych samych ludzi, jakby żyć z ludźmi z podstawówki". Młoda buntuje się, wścieka, internetowy slang miesza się z bluzgami, Demirski sugeruje, że o jej rówieśnikach wie coś więcej. Ale nie wie nic.

Ani o procesach społecznych, ani o młodym pokoleniu, ani o tym, co będzie dalej. Nie udaje się przedrzeć Demirskiemu ze Strzępką do innych pokładów rzeczywistości. Jeśliby chcieli traktować krajowych polityków jak nieświadome czasem marionetki globalnych sił, to gdzie jest diagnoza megatrendów? Jeśliby chcieli sprawdzić, na jakim paliwie ciągną liderzy, dlaczego nie odwrócili perspektywy i zadowolili się karykaturalnymi reprezentantami ludu?

Niestety, ich „K." to jedynie świadectwo przerażenia, rozwlekła opowieść pozbawiona głębi i ostrości. Zamiast teatru politycznego – mało zabawna, krzykliwa farsa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Thor, kolega z pracy

eprasa.pl e6d6dc5680

Piotr Gociek

„Thor: Ragnarok" to nie tylko spektakularne widowisko. To także najlepsza komedia roku

W ciągu zaledwie sześciu lat kinowe opowieści o Thorze przeszły długą drogę. Spójrzmy na początek – w fotelu reżysera Kenneth Branagh, a na ekranie historia lekka, lecz dość konwencjonalna i mocno trzymająca się ziemi (oraz Ziemi). Film z roku 2011 przedstawiał co prawda we wstępie zaziemski świat zwany Asgardem oraz jego władców, ale to, co najważniejsze, rozgrywało się tu i teraz, bo aroganckiego Thora zesłano za karę na Ziemię. Była to zatem wariacja na dobrze znany temat – tak właśnie wyglądały filmy o komiksowych zaziemskich superherosach od czasów pierwszego „Supermana": przybysz z daleka pojawia się pod naszym dachem, w ślad za nim przybywa kosmiczne niebezpieczeństwo, a relacje między obcym a ludźmi są nie tylko źródłem zagrożenia, lecz także komizmu.

Dwa lata później, w filmie „Thor: Mroczny świat" (2013), dostaliśmy większy ładunek fantazji. Już nie pustkowia Nowego Meksyku, ale dużo fantastycznych pejzaży Asgardu i innych dalekich światów. Znów jednak chodziło o zwalczenie kosmicznego zagrożenia dla samej Ziemi, a finałowe sceny rozgrywały się w Londynie. Jednocześnie Marvel rozwijał konsekwentnie całe swoje kinowo-telewizyjne uniwersum, więc blondwłosy mięśniak z młotem mógł wystąpić gościnnie w filmach „Avengers" (2012) oraz „Avengers: Czas Ultrona" (2015).

NIECHĘTNI KUMPLE

Film najnowszy, czyli „Thor: Ragnarok", katapultuje widza w krainę czystej fantazji i przesuwa klimat opowieści w kierunku humoru, szaleńczej akcji i dzikiej zabawy w stylu „Strażników Galaktyki". Nie bez powodu. Na horyzoncie majaczy już bowiem film „Avengers: Infinity War", który trafi do kin w roku 2018. W nim zaś okaże się, że by ocalić wszechświat, zespół superbohaterów z Ziemi musi połączyć siły z kosmicznymi awanturnikami, czyli Strażnikami Galaktyki właśnie, a wszystkie historie i tropy rozrzucane po filmach Marvela od roku 2008 (od premiery pierwszego „Iron Mana"), połączą się ze sobą w wielkiej kulminacji.

Niezależnie od tych wszystkich dodatkowych znaczeń „Thor: Ragnarok" broni się jako wielkie rozrywkowe widowisko, w dużej mierze dzięki robocie aktorskiej, bo efekty specjalne na odpowiednim poziomie to po prostu standard, jakiego dziś oczekujemy od każdej superprodukcji. Pokazać można wszystko, chodzi więc o to, kto i jaki zrobi z tego użytek. Twórcy nowego „Thora" błaznują nieźle i zatrudnili właściwych aktorów. Chris Hemsworth udowodnił już wcześniej, że do roli Thora pasuje znakomicie – łączy nienaganną prezencję z godną nordyckiego boga bufonowatością i poczuciem humoru. Znów na ekranie pojawia się jego przebiegły brat Loki, a grający go Tom Hiddleston ponownie roztacza swój urok złoczyńcy z odrobiną skrupułów. Największą niespodzianką jest jednak to, ile ze swojej postaci potrafi wykrzesać Mark Ruffalo występujący podwójnie: jako delikatny, niepewny siebie naukowiec Bruce Banner i jako jego alter ego, którym jest nieokrzesany zielony siłacz Hulk. Rozmówki Thora z Hulkiem to czysta przyjemność w najlepszym hollywoodzkim stylu – znacie tę kliszę doprowadzoną w amerykańskim kinie do perfekcji: niechętni kumple.

„Thor: Ragnarok" katapultuje widza w krainę czystej fantazji i przesuwa klimat opowieści w kierunku humoru, szaleńczej akcji i dzikiej zabawy w stylu „Strażników Galaktyki"

WIDOWISKOWO I ZABAWNIE

Akcja toczy się równolegle w dwóch bardzo różnych od siebie miejscach. Po pierwsze, w Asgardzie, który pada ofiarą podboju pięknej i niebezpiecznej bogini śmierci. Hela, żyjąca dotąd na wygnaniu bogini śmierci, siostra Thora i Lokiego, powraca, by siać śmierć i zniszczenie. Wydaje się nie do powstrzymania, skoro bez trudu niszczy młot Thora, a jego samego wysyła na krańce wszechświata. Tam zaś – i tu przechodzimy do drugiego miejsca akcji – na planecie Sakaar Thor zostaje schwytany przez handlarzy żywym towarem i zmuszony do walki na arenie.

W obydwu wątkach pojawia się cudowna wartość dodana dzięki świetnym aktorom. Boginią śmierci jest Cate Blanchett, nie do poznania w nowej wersji: włosy ma ufarbowane na czarno i nosi obcisłe skórzane stroje, które mogą przyprawić o atak serca nawet wytrawnego fetyszystę. Hela emanuje złem, ale nie zamienia się w karykaturę, pozostaje kobietą utalentowaną, ambitną, groźną, lecz niegdyś skrzywdzoną. Przy tej sugestywnej kreacji blednie Angelina Jolie z „Czarownicy".

Planeta Sakaar należy do Jeffa Goldbluma (dosłownie i w przenośni). Gra on przezabawną i złowrogą jednocześnie postać. Jego Grandmaster to ktoś na kształt kosmicznego Nerona, tyle że zawsze łagodny, z ciepłym uśmiechem na twarzy; uśmiechem, który nigdy nie zwiastuje niczego dobrego. Ten sympatyczny tyran i bon vivant rządzi niepodzielnie miastem, którego centralnym punktem jest wielka arena. Reszta planety to kosmiczne śmietnisko, po którym włóczą się śmieciarze i łowcy nagród. Grandmaster uwielbia krwawe widowiska, a jego ulubioną zabawką od dwóch lat jest nie kto inny jak zielony mięśniak z Ziemi – Hulk. Znana ze zwiastunów scena, w której Hulk i Thor niespodziewanie spotykają się na arenie, a uszczęśliwiony Thor woła: „My się znamy! To kolega z pracy!", nie tylko jest jedną z zabawniejszych w filmie, lecz także idealnie oddaje nastrój panujący przez większość czasu ekranowego.

„Thor: Ragnarok" sprawdza się nie tylko jako widowisko, lecz także po prostu jako komedia. Pyszna jest scena z początku, kiedy Thor powraca do Asgardu i obserwuje przedstawienie teatralne, którego wraz z Lokim jest bohaterem, tyle że akcenty w opowieści postawiono zupełnie inaczej. Przezabawne jest spotkanie Thora z Doktorem Strange'em (Benedict Cumberbatch), ozdobą środkowych partii filmu są dialogi Thora z Hulkiem (nie tylko na temat tego, kto jest silniejszy), znakomicie bawi wspomniany Grandmaster, czyli Jeff Goldblum. Nawet zwykła wizyta u fryzjera (no dobra, niezwykła, bo na

eprasa.pl e6d6dc5680

planecie Sakaar) jest okazją do podwójnego gagu – nie dość, że to cameo Stana Lee, który pozbawia Thora większości włosów, to jeszcze zabiera się do tego z dziwacznym urządzeniem w dłoni, które bardziej przypomina wymyślne czteroramienne narzędzie tortur niż cokolwiek z warsztatu fryzjerskiego rzemieślnika. Co ciekawe, zmiana image'u służy Hemsworthowi. Nowa, przystrzyżona wersja bardziej pasuje do wygnańca wśród gladiatorów niż bosko-monarsza blondgrzywa.

Seria o Thorze mocno nam się także w tej odsłonie feminizuje. Nie dość, że najbardziej fascynującym i najpotężniejszym bohaterem (kwestię pionu moralnego odkładam na bok) jest wspomniana złowieszcza bogini Hela, to jeszcze po stronie Thora nic nie ruszyłoby z miejsca, gdyby nie piękna, umięśniona i spożywająca zdecydowanie zbyt wiele alkoholu Walkiria (Tessa Thompson). To ona dostarczy herosa zepsutemu Grandmasterowi i to ona przyczyni się do uratowania Thora z opresji. Wydaje się również, że jest to postać na tyle udana (i na tyle udało się wyjaśnić jej zakorzenienie w mitologii tego fikcyjnego uniwersum), że na dłużej zagości na ekranie. Wedle nieoficjalnych informacji ma zagrać także w „Avengers: Infinity War".

POTĘGA SŁOWA

Pierwszorzędne kino drugorzędne – „Thor: Ragnarok" spełnia warunki takich przedsięwzięć z naddatkiem. Patrząc na techniczną biegłość, z jaką jest zrobiony, wzdychałem trochę wspominając B-klasowe filmy fantastyczne z lat 80. O ileż więcej mielibyśmy z nich frajdy, gdyby twórcy takich zapomnianych klasyków jak „The Last Starfighter" albo „Spacehunter: Adventures In The Forbidden Zone" czy „Battle Beyond The Stars" mieli do dyspozycji takie zabawki jak reżyserzy dzisiejszych hitów Marvela!

Tamta dekada przypomniała mi się z jeszcze z jednego powodu. Pomyślcie, co zostało wam w głowie po wielkich przebojach kinowych z owych czasów. Chociaż nieodzownym ich elementem były karkołomne pościgi, efektowne karambole samochodowe oraz wysadzanie w powietrze i podpalanie dosłownie wszystkiego, to pamiętamy je z powodu dobrze nakreślonych bohaterów, błyskotliwych słownych szermierek, celnych „one-linerów", które nieraz przechodziły do języka potocznego.

Słynne: „Pamiętasz, że obiecałem zabić cię na końcu? Kłamałem" Arnolda Schwarzeneggera z filmu „Kommando" zapamiętaliśmy lepiej niż niezliczone trupy, które padły w tym filmie z ręki Arniego. Kino rozrywkowe może zachwycać obrazem, ale bez potęgi słowa jest tylko przeglądarką kolorowych slajdów. Kinowi macherzy Marvela zapamiętali tę lekcję dobrze – po dwóch godzinach dobrej zabawy szybko wylecą wam z głowy kolejne apokaliptyczne bitwy. Zostaną za to zabawne odzywki i sympatyczni bohaterowie. I tak właśnie być powinno. Reszta to tylko dekoracje.

★★★★★☆

REŻ. TAIKA WAITITI
„THOR: RAGNAROK"
USA 2017

wyst. Chris Hemsworth, Tom Hiddleston, Cate Blanchett, Jeff Goldblum

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · RMF Classic · Dziennik Bałtycki · wprost · Rzeczy · PANI · Twój STYL · LA VIE · T3 · WP · trojmiasto.pl · cgm.pl · DlaWas.info · Multikino · VIXON

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Biegnij, Jurek, biegnij!

★★★★☆☆

REŻ. ŁUKASZ PALKOWSKI
„NAJLEPSZY"
POLSKA 2017

wyst. Jakub Gierszał, Kamila Kamińska, Adam Woronowicz

Nasze kino przez lata hołubiło nieudaczników. Typowy bohater polskiego filmu, alter ego reżysera, idealista o wielkich możliwościach i jeszcze większych ambicjach, chciał zmieniać świat. Wypowiadał wojnę złu, wybiegał na ring, lecz padał na deski już w pierwszej rundzie. Kobiety go nie rozumiały, koledzy zdradzali, władza próbowała złamać lub skorumpować. W tle rozbrzmiewała smutna muzyka. Ekranowi wieczni młodzieńcy przetrwali nawet zmianę ustroju. Zmienił się tylko ich wróg i sprawca klęski. Zdegenerowanego komunistę zastąpił zdemoralizowany kapitalista. Oglądało się to z przykrością, lecz przynajmniej nikt nie mógł zarzucić naszym reżyserom małpowania amerykańskich produkcji, w których bohater brał się z życiem za bary i wygrywał. Nawet jeśli miał przeciw sobie armię uzbrojonych po zęby i pozbawionych skrupułów szubrawców.

„Cóż to za idiotyczne bajki?!" – zżymali się krytycy, wyzuta z patriotyzmu publiczność oklaskiwała zaś herosów zza oceanu, omijając szerokim łukiem kina, w których wyświetlano fabuły o szlachetnych rodakach zmierzających do nieuchronnej klęski. Oczywiście zdarzali się nad Wisłą śmiałkowie, kręcący filmy w amerykańskim stylu, jednak efekty nie były zbyt zadowalające. Aż do czasu „Bogów".

Któż mógł się spodziewać, że pierwszy wiarygodny portret Polaka wojownika stworzy właśnie Łukasz Palkowski? Wcześniej jego kariera przebiegała w sposób typowy. Po chwytającym za serce, debiutanckim „Rezerwacie" nastąpił gwałtowny zjazd. „Wojna żeńsko-męska" miałaby szanse na tytuł najgłupszej komedii dekady, a trzeba przyznać, że konkurencja na tym polu jest u nas wyjątkowo duża. Reżyser odbił się od dna, zupełnie jak bohater jego nowego filmu. Wciąż jednak ma skłonność do obsadzania, nawet w epizodach, bardzo znanych aktorów.

„Najlepszy" jest podobny do „Bogów", ale zaczyna się jak „Trainspotting" – od ucieczki przed policją. Co prawda zza kadru zamiast „Lust for Life" słychać „Born to Be Wild", lecz Jakub Gierszał wygląda jak młody Iggy Pop. Podobieństw jest więcej. Ojciec chrzestny punk rocka ćpał na potęgę, podobnie jak dolnośląski triatlonista Jerzy Górski, w którego Gierszał udatnie się wcielił. Niby prawdziwa historia, lecz sprawia wrażenie zaczerpniętej z poradnika hollywoodzkiego scenarzysty, z obowiązkowymi punktami zwrotnymi, upadkiem, nawróceniem oraz kobietą udzielającą moralnego wsparcia. Nie ma tu czarnych charakterów. Nawet oficer MO da się lubić. Jeżeli „Najlepszy" sprzeda się słabiej niż „Bogowie", to przede wszystkim dlatego, że Górski jest mniej rozpoznawalny niż Religa. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „LIGA SPRAWIEDLIWOŚCI"

Nareszcie razem – Batman, Wonder Woman, wyczekiwany przez fanów Aquaman plus kilka drobniejszych postaci. Tak na duży ekran wkracza Liga Sprawiedliwości – specjalny zespół stworzony, by bronić Ziemi pod nieobecność Supermana. Jednak spokojnie, nie tak łatwo zabić „Człowieka ze stali", gdy przyjdzie czas, powróci i on. Największa, oprócz „Thor: Ragnarok", tegoroczna produkcja o komiksowych superbohaterach. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***„Liga Sprawiedliwości" („Justice League"), reż. Zack Snyder, wyst. Ben Affleck, Gal Gadot, Jason Momoa, Henry Cavill, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Najlepszy", reż. Łukasz Palkowski, Polska 2017***
- ***„Tunel" („Teo-neol"), reż. Seong-hoon Kim, Korea Południowa 2016***
- ***„Sprawa Chrystusa" („The Case for Christ"), reż. Jon Gunn, USA 2017***

eprasa.pl e6d6dc5680

Zima nadchodzi

Rodzina jako źródło nieszczęść, traumy przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Z takim przekazem można wygrać festiwal w Gdyni, lecz nasi filmowcy wcale nie mają monopolu na familijne psychodramy. W czeskiej „Kobiecie z lodu" każde spotkanie w trójkącie matka – dorośli synowie – ich żony i dzieci, staje się pretekstem do karczemnej awantury. Ivan, liberał i człowiek sukcesu, ma brata za skończonego łajzę, sam jednak jest fatalnym mężem i ojcem. Konserwatysta Petr inwestuje w książki (w dzisiejszych czasach trudno o większy dowód na nieodpowiedzialność) i lubi zaglądać do kieliszka. Hanę potomkowie traktują jak służącą, co ta znosi bez słowa skargi. Do czasu, gdy przypadkowo nawiązuje znajomość z grupą amatorów zimowych kąpieli. Morsy nie są pierwszej młodości, co daje naszej emerytce do myślenia. Czyżby miała jeszcze szansę na nowy początek? Sláma ma wyraźną słabość do ludzi obdarzonych talentem do komplikowania sobie życia i – jak to Czech – nie potrafi się nad nimi pastwić. Z drugiej strony jest realistą. Dlatego „Kobieta z lodu" szybko zniknie z kinowych ekranów. Nie pomoże jej nawet kura Adela, która wpadła w depresję, bo ubzdurała sobie, że jest człowiekiem.

★★★★☆☆

REŻ. BOHDAN SLÁMA
„KOBIETA Z LODU" („BÁBA Z LEDU")
CZECHY 2017

wyst. Zuzana Kronerová, Pavel Nový, Václav Neužil

©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAJTRUDNIEJSZA GODZINA

„Zwyczajna dziewczyna" to film o wielkim wysiłku wojennym – pokazuje go na kilku planach. W tle trwa wojna z Niemcami, Londyn jest bombardowany, dopiero co uratowano wojska otoczone pod Dunkierką. W brytyjskich fabrykach kobiety zastępują mężczyzn. Jedną z nich jest główna bohaterka, trafia jednak do fabryki nietypowej: do działu propagandy, gdzie pracuje się nad filmami, które mają umocnić podupadające morale Brytyjczyków. Catrin okaże się bystrzejszą scenarzystką od męskiej konkurencji, jest to więc także opowieść o emancypacji. Ona również będzie musiała ponieść ofiarę. Jaką? Nie mogę zdradzić. Praca na planie propagandowej produkcji, której siłą mają być „optymizm i autentyczność", jest też okazją do igrania z tematem „życie a fikcja". Nie od dziś wiadomo, że fakty tylko przeszkadzają w kręceniu wciągających opowieści. W roli głównej rewelacyjnie wypada Gemma Arterton, drugi plan należy niepodzielnie do Billa Nighy'ego jako starzejącego się, zadufanego w sobie aktora.

★★★★☆☆

REŻ. LONE SCHERFIG
„ZWYCZAJNA DZIEWCZYNA" („THEIR FINEST")
WIELKA BRYTANIA 2016, BEST FILM

wyst. Gemma Arterton, Sam Claflin, Bill Nighy

STARY CZŁOWIEK – I MOŻE!

Stare jest piękne, a bankowcy to świnie. Trzech staruszków, których emerytury zniknęły wskutek machlojek dawnego pracodawcy, bierze odwet na systemie i planuje skok na bank. Trudno nie kibicować, gdy zabiera się za to takie trio jak Michael Caine, Alan Arkin i Morgan Freeman. Rzecz zagrana jest więc bardzo dobrze, bo weterani ekranu potrafią tchnąć życie nawet w gagi niespecjalnie oryginalne. Niemająca nic do stracenia trójka stara się też bardzo zachować moralny pion – chcą ukraść tylko tyle, ile im wcześniej odebrano. Jest tylko jeden kłopot: nie mają zielonego pojęcia, jak zabrać się za przestępstwo, a ich pozyskani w dziwnych okolicznościach wspólnicy nie wzbudzają zaufania. W tej opowieści o siwych Robin Hoodach jest wiele serca i sporo zabawy z dodatkiem zadumy. Czyż nie powinniśmy oceniać społeczeństwa po tym, jak traktuje swoich seniorów? ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★★☆☆☆

REŻ. ZACH BRAFF
„W STARYM STYLU" („GOING IN STYLE")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Morgan Freeman, Michael Caine, Alan Arkin, Richie Moriarty

GRA TYGODNIA: „WOLFENSTEIN II: THE NEW COLOSSUS" ★★★★★☆

„Wolfenstein" to gra legenda. Od kiedy przygody W.J. Blazkowicza zagościły na twardych dyskach pecetów, pierwszoosobowe strzelanki nie były już takie same. Mówimy jednak o roku 1992, kiedy każda produkcja w 3D robiła wrażenie. Czy dzisiaj kolejna odsłona walki z III Rzeszą, która wygrała wojnę, prezentuje się równie dobrze? I tak, i nie. „Wolfenstein II" to nadal produkcja na wysokim poziomie, z efektowną grafiką, niesamowitą bronią i dużą dawką humoru. Początek jest jednak za wolny, za dużo w nim reminiscencji, a za mało akcji. Po ok. pięciu godzinach robi się jednak jak za dawnych lat. Hitler ma się kogo obawiać. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE/Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Bethesda/Cenega*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl e6d6dc5680

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Specyfika wileńska

Piotr Kępiński w Wilnie mieszkał przez cztery lata, dogłębnie – jak się zdaje po lekturze jego wydanego właśnie zbioru esejów „Litewski spleen" – poznawał litewskie środowisko intelektualne i, co też widoczne, dystansował się od wileńskich Polaków. To nie zarzut, a stwierdzenie faktu. Tym ciekawsza jest zresztą jego nowa książka, znajdziemy w niej bowiem przykłady optyki litewskiej, jakże często w ogóle nieobecnej w dyskursie wileńskim prowadzonym nad Wisłą i Odrą. Należy też jednak przypomnieć, że dwa lata temu ta sama co obecnie oficyna wydała Kępińskiemu napisaną przez niego wspólnie z litewskim pisarzem Herkusem Kunčiusem „Rozmowę Litwina z Polakiem", z posłowiem zmarłego wkrótce potem Leonidasa Donskisa i przedmową – a jakże! – Adama Michnika.

Najciekawsza w lekturze „Litewskiego spleenu" była dla mnie stosunkowo szeroka prezentacja współczesnej kultury litewskiej, dzieł i twórców – filozofów, historyków, filmowców, pisarzy. Wśród tych ostatnich najgłośniej było ostatnimi czasy w Polsce o Kristinie Sabaliauskaitė, autorce powieści „Silva rerum". O jej sukcesie pisze Kępiński rzeczowo, bez tej nieznośnej nuty egzaltacji przydającej względnie udanym utworom powstającym za naszą wschodnią granicą znamion bez mała genialności: „W przeciwieństwie do Olgi Tokarczuk, która doszukała się w »Silva rerum« atmosfery marquezowskiej, i do wileńskich krytyków nazywających Sabaliauskaitė Mozartem i Salmanem Rushdiem prozy – twierdzę, że lepiej zostawić Sabaliauskaitė z Sabaliauskaitė (albo z Sobolewską, bo pisarka ma pochodzenie polskie i tak w naszym języku brzmi jej nazwisko). W jej powieści jest tyle Marqueza co kot napłakał, a Mozarta w ogóle nie ma. Trzeba jednak podkreślić, że jest to powieść perfekcyjnie napisana i ciekawie skonstruowana".

FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI/AGENCJA GAZETA

No i całkowicie wystarczy. Jednak, oczywiście, problematyka „Litewskiego spleenu" nie zamyka się w sferze kultury. Trudno i darmo, w naszych wzajemnych stosunkach najwięcej jest resentymentów i stereotypów. Piotr Kępiński próbuje swoją książką udzielić negatywnej odpowiedzi na postawione pytanie: Czy już do końca historii będziemy skazani na bezowocne kłótnie dotyczące minionego? Nie bardzo mu się to udaje i nie mogło być inaczej. „Polskie zainteresowanie tym krajem – narzeka autor – wyhamowało po roku 1945 i na tym hamulcu stoi do dzisiaj. Za mało Litwy żywej w Polsce, zbyt wiele historycznej".

Oczywiście, że jest tak właśnie. Żywa Litwa interesuje mnie w niewiele większym stopniu niż żywy Luksemburg. A historyczna? Jest w mojej krwi, w moim mózgu i sercu, w modlitwie oraz wierszach zapamiętanych na zawsze.

Nie znaczy to, bym lekceważył słowa wypowiedziane przez Alfredasa Bumblauskasa, współautora „Historii Litwy", który rozmawiając z Piotrem Kępińskim, stwierdził, że „trzeba pamiętać, iż tak naprawdę Wilno było polskie tylko dwadzieścia lat, w okresie międzywojennym. Wcześniej było stolicą Wielkiego Księstwa. Tego Polacy muszą się nauczyć".

Przyjmuję to z pokorą, ale „Wilna nie da się wyeliminować z dziejów kultury polskiej, a to ze względu na Mickiewicza, na filomatów, Słowackiego, Piłsudskiego" – przyznawał nawet niebezpiecznie flirtujący z litewskością, swoją i cudzą, Czesław Miłosz. Litwini uważają jednak inaczej i z zapałem stanowczo godnym lepszej sprawy eliminują z przestrzeni swojej stolicy ślady polskości. Żeby nie być gołosłownym, przypomnę zniszczenie zabytkowych tablic na Uniwersytecie Wileńskim (dawnym Uniwersytecie Stefana Batorego, o czym dziwnie się zapomina), polskich napisów w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, „przeniesienie" Celi Konrada z klasztoru Bazylianów czy „remont" kaplicy Ostrej Bramy. Od biedy można sobie wyobrazić, że w przyszłości po polskim Wilnie pozostanie tyle co dziś po Wilnie tatarskim czy żydowskim. A przecież nazywano to miasto Jerozolimą Północy. Kiedy jednak po wojnie można było np. odbudować budynek Starej Synagogi, sowieckie władze wolały zrównać go z ziemią, co też uczyniły w roku 1948. „Dzisiaj w miejscu synagogi – pisze Kępiński – znajduje się przedszkole. Wokół pusty plac". ©℗

★★★★☆☆
PIOTR KĘPIŃSKI „LITEWSKI SPLEEN"
KOLEGIUM EUROPY WSCHODNIEJ IM. JANA NOWAKA-JEZIORAŃSKIEGO 2017

eprasa.pl e6d6dc5680

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Powrót do ogrodu wspomnień

Oto spotkałem się z dawno niewidzianymi przyjaciółmi – niektórych nie widziałem od wielu, wielu lat. Tom „Azyl" gromadzi rozproszone dotąd opowiadania Jarosława Grzędowicza, czyli te, które nie trafiły do znanych dobrze i wznawianych tomów „Księga jesiennych demonów" oraz „Wypychacz zwierząt". Przede wszystkim teksty najstarsze, w tym młodzieńcze opowiadania jeszcze z lat 80. Pamiętam jak jedno z nich – „Twierdza trzech studni" – odbijaliśmy z kolegami z klubu miłośników fantastyki na ksero. Fanzin opublikowany był w maleńkim nakładzie, a każdy chciał mieć własny egzemplarz.

„Postanowiłem ich za bardzo nie zmieniać. Nie przerabiać, nie dodawać im powagi ani nie ulepszać" – pisze Grzędowicz we wstępie. „Są moje. Kiedyś je napisałem, a potem trafiły na listę zaginionych. Opowiadania nie powinny ginąć. Nawet te stare. Napisałem je. Niech więc żyją dalej". Nie wszystkie są takie stare, dodajmy. Zamykająca zbiór „Chwila przed deszczem" pochodzi z wydanej w 2009 r. antologii „Bajki dla dorosłych".

Monumentalny cykl „Pan Lodowego Ogrodu" przesłania trochę inne dokonania Grzędowicza, ale to w opowiadaniach najlepiej widać, co go wyróżniało i wyróżnia. Przede wszystkim to fantastyka na poważnie, żadnych wycieczek w kierunku czystej fantasy albo intertekstualnych zabaw z przymrużeniem oka. Pisał niewiele, ale wtedy, kiedy coś go naprawdę zaintrygowało albo zabolało, pozostawał też z dala od mód. Stąd tylko jedno opowiadanie w duchu polskiej fantastyki socjologicznej lat 70. i 80. („Przespać piekło"), choć przecież w takiej się wtedy rozczytywaliśmy.

Bardziej widać, jak wychowywał się Grzędowicz na dobrej amerykańskiej fantastyce, którą Lech Jęczmyk wkładał do kolejnych tomów antologii „Kroki w nieznane". Ponadto patronuje mu słynne zdanie Strugackich: „Jaki człowiek jest, to wiadomo od dawna, pytanie, co z nim dalej zrobić". Tyle że polski pisarz odległy jest od marzeń o inżynierii społecznej, czemu niejednokrotnie dawał wyraz i w opowiadaniach, i w powieściach. „Twierdza trzech studni", niesłusznie uznawana za pierwsze polskie opowiadanie fantasy, to właściwie zapowiedź „Pana Lodowego Ogrodu", a obydwa wspomniane dokonania to dalekie dzieci „Trudno być bogiem" Strugackich. ©℗

★★★★☆☆
JAROSŁAW GRZĘDOWICZ
„AZYL"
FABRYKA SŁÓW
2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dziewiętnasty tom serii o detektywie Harrym Boschu, spopularyzowanej w ostatnich latach przez serial telewizyjny wyprodukowany przez Amazon Studios. Amerykański kryminał w najlepszym wydaniu, niegłupi i dobrze napisany.

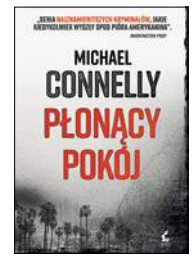

MICHAEL CONNELLY
„PŁONĄCY POKÓJ"
SONIA DRAGA

Duch czarownicy sprzed stuleci, grupa nastolatków i miasteczko w głuszy – to nie powieść Kinga, lecz książka holenderskiego pisarza próbującego swych sił w specyficznym amerykańskim podgatunku horroru. Z powodzeniem.

THOMAS OLDE HEUVELT
„HEX"
ZYSK I S-KA

Podtytuł wyjaśnia: tematem jest „Projekt polityczny ruchu społecznego »Solidarność«". „Projekt aideologiczny i eklektyczny, ale spójny" – zauważa autor, próbujący opisać, o jakim ustroju marzyli twórcy pierwszej „S".

KRZYSZTOF MAZUR
„PRZEKROCZYĆ NOWOCZESNOŚĆ"
OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

W pierwszej części autorka przygląda się fenomenowi wypraw krzyżowych, w dwóch kolejnych zajmuje się polskimi śladami. Najpierw rodakami, którzy ruszali na odsiecz Ziemi Świętej, potem także zwykłymi pielgrzymami. ©℗

poleca Piotr Gociek

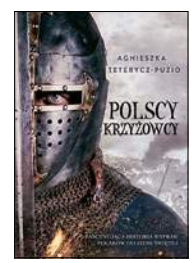

AGNIESZKA TETERYCZ-PUZIO
„POLSCY KRZYŻOWCY"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***David Lagercrantz „Mężczyzna, który gonił swój cień" (Czarna Owca) – piąty tom cyklu „Millennium"; drugi, którego autorem nie jest Stieg Larsson.***
2. ***Katarzyna Michalak „Błękitne sny" (Znak) – bestseller literatury kobiecej, trzeci tom „Leśnej Trylogii", zapoczątkowanej powieścią „Leśna polana".***
3. ***Remigiusz Mróz „Oskarżenie" (Czwarta Strona) – szósty tom cyklu kryminalnego o prokurator Joannie Chyłce.***
4. ***Małgorzata Gutowska-Adamczyk „Ciastko z wróżbą" (Prószyński i S-ka) – pierwszy tom drugiej serii „Cukierni pod Amorem", popularnego cyklu powieści dla pań.***
5. ***Piotr Zychowicz „Niemcy" (Rebis) – trzeci (po „Sowietach" i „Żydach") tom opowieści niepoprawnych politycznie znanego autora „Do Rzeczy".***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Book Book)

eprasa.pl e6d6dc5680

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Nowa siła

Gra Pimpono Ensemble

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Festiwal Jazz Jamboree najwyraźniej łapie nowy oddech. Po zawirowaniach, w których mieszają się wątki skandaliczne, towarzyskie i prawne, a których rzetelne opisanie zajęłoby sporo miejsca, po próbach ożywienia kultowej marki można mieć nadzieję, że zakończona w niedzielę 5 listopada tegoroczna edycja potwierdza sentencję: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni".

Festiwal żyje, rozbrzmiewa różnorodną muzyką i – w co chciałbym wierzyć – zaczyna ujawniać swoją nową tożsamość. I ma publiczność. Sale – studia Lutosławskiego, Stodoły i Bemowskiego Centrum Kultury – były wypełnione po brzegi.

Zdaję sobie sprawę, że program takiej imprezy jest wypadkową wielu zmiennych: wyobraźni kierownictwa, budżetu i dostępności wymarzonych artystów. W plątaninie tych często sprzecznych sił ostateczny kształt zwykle odbiega od pierwotnej wizji.

Tak czy inaczej Mariuszowi Adamiakowi udało się zaprezentować dobry program, który obok wspaniałych koncertów uznanych artystów, takich jak choćby Adam Bałdych Brothers, pokazał nowe siły polskiego jazzu. W latach 80. mieliśmy Tie Break i Young Power, potem na scenę wtargnęli szaleńcy spod znaku jassu z Tymańskim i Trzaską. Dzisiaj już wiemy, że na naszych oczach wykluło się zupełnie nowe środowisko. Czy coś ich łączy? Chyba to, że są bardzo utalentowani, mają po dwadzieścia kilka lat, są świetnie wykształceni, lub jeszcze studiują, na zagranicznych akademiach muzycznych (Kopenhaga!!!), są bezkompromisowi i – co najważniejsze – nie mają kompleksów. Zapowiedzią było pojawienie się kilka lat temu formacji Power of the Horn, ale ta orkiestra raczej okazjonalnie łączy młodych, ambitnych z różnych środowisk. Teraz słuchając Kuby Więcka, Kamila Piotrowicza, Pimpono Ensemble czy Jędrzeja Łagodzińskiego, słyszę głos pokolenia, które z młodzieńczą energią, ale już w dojrzały sposób, świadomie przekazuje nam swoją własną opowieść.

To dobra prognoza dla polskiego jazzu i dla odmłodzonego zasłużonego festiwalu. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kosmiczna podróż

Ania Rusowicz (tak jak David Bowie 45 lat temu) zmieniła swoje artystyczne oblicze. On przeistoczył się w androgenicznego kosmitę. Ona stała się dziewczyną bez twarzy, która przemierza przestrzeń w poszukiwaniu miejsc, „do jakich człowiek ucieka, albo tych, w których się gubi".

niXes to jej alter ego, tak jak Ziggy Stardust dla Bowiego. Glamourowa okładka stanowi kolejną więź między nimi, lecz muzycznie są to inne opowieści. Możliwe, że tworząc płytę, wokalistka w ogóle nie myślała o najsłynniejszym rockowym kameleonie. Dotychczas Ania czerpała inspirację z polskiego bigbitu lat 60. Teraz podsłuchuje australijskie grupy Tame Impala i Pond, które zauroczone są… hippisowską psychodelią.

Album „niXes" nie jest powrotem do przeszłości, ponieważ muzyka na płycie jest oparta na brzmieniach współczesnego instrumentarium. Producent Kuba Galiński doskonale wywiązał się z zadania. Wokale Ani rozszerzył pogłosami, zbudował współczesne dźwiękowe przestrzenie i stworzył nowego ducha starych czasów. Elektronika spotyka się z elektrycznymi gitarami i z żywą perkusją, a całość porywa nas w kosmiczną podróż.

Psychodeliczny pop nie był szczególnie popularny na naszym terenie. Dlatego decyzja o wykonaniu wszystkich piosenek po angielsku zdecydowanie ogranicza krąg odbiorców. Ania pięknie śpiewa w obcym narzeczu, więc każdy, kto da szanse tej płycie, powinien być usatysfakcjonowany. ©℗

★★★★★★

NIXES
„NIXES"
WYDAWNICTWO AGORA

★★★★★★

VARIETE
„NIE WIEM"
WYDAWNICTWO AGORA

Mroczne nastroje à la Joy Division dawno minęły i dzisiejsze Variete pięknie funkowo jazzuje. Grzegorz Kaźmierczak świetnym poetą jest, a i śpiewa spokojniej niż przed 35 laty. Kapitalna podróż muzyczno-egzystencjalna.

★★★★★★

BECK
„COLORS"
CAPITOL

W latach 90. nadawał ton ambitnemu popowi. Na 13. albumie serwuje fajne prywatkowe piosenki o czerpaniu radości z każdej chwili. Płyty słucha się wyśmienicie, tyle że po jej zakończeniu utwory wyparowują natychmiast z głowy.

eprasa.pl e6d6dc5680

SUPER HISTORIA.pl

DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

14 LISTOPADA

CZĘŚĆ VI Z CYKLU
„POWSTAŃCY WARSZAWSCY"

„ZOŚKA"

BATALION "ZOŚKA" WYZWOLIŁ KL WARSCHAU 348 PRZEBYWAJĄCYCH TAM ŻYDÓW.
BOHATERAMI SĄ ZARÓWNO WYZWOLICIELE, JAK I ŻYDZI, KTÓRZY PRZYŁĄCZYLI SIĘ DO POWSTANIA.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl e6d6dc5680

finansowa machina Sorosa
RAPORT DO RZECZY

18 miliardów Sorosa

Olivier Bault

Amerykański miliarder zasilił swoją fundację ogromną kwotą. Do jakiej akcji szykuje się Open Society Foundations?

George Soros, słynny amerykański 87-letni miliarder pochodzący z Węgier, przekazał swojej fundacji Open Society Foundations 18 mld dol. Pierwszy napisał o tym „Wall Street Journal". To ogromna darowizna, zważywszy, że majątek filantropa progresisty jest wyceniony na ok. 25 mld. To również bardzo dużo, jeśli porównamy kwotę ostatniej darowizny do ok. 14 mld wydanych przez fundację Sorosa na przestrzeni ostatnich 35 lat albo do budżetu OSF na 2017 r., wynoszącego 940,7 mln dol. Już dzisiaj budżet ten czyni ją drugą najbogatszą fundacją amerykańską po fundacji Bill & Melinda Gates Foundation, z którą dzieli niektóre cele (chociażby promocję aborcji na świecie). Specyfiką OSF jest natomiast to, że stworzyła sieć podmiotów zajmujących się rozprowadzeniem dotacji na całym świecie, ze szczególnym naciskiem na Stany Zjednoczone i Europę Środkowo-Wschodnią.

SIEĆ FUNDUSZY

Została założona w 1984 r. w celu wspierania powstawania państw demokratycznych – i jak się później okazało, lewicowo-liberalnych – w bloku wschodnim. Mająca 47 oddziałów w 38 krajach Open Society Foundations jest obecna w ok. 60 krajach za pośrednictwem różnych organizacji. Poza własnymi fundacjami, które cieszą się dużą samodzielnością, sieć Sorosa obejmuje różne organizacje utworzone przez OSF i zasilane w różnym stopniu funduszami. Jest to np. Uniwersytet Środkowoeuropejski (CEU) w Budapeszcie, który jest przedmiotem jednego z konfliktów między rządem Viktora Orbána a węgierską opozycją, Sorosem i Brukselą. Są to też różne wpływowe think tanki typu Institute for New Economic Thinking czy European Council on Foreign Relations.

Są również organizacje, będące stałymi beneficjentami dotacji OSF,

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. CHIP EAST/REUTERS/FORUM

np. organizacje obrony praw człowieka, takie jak Human Rights Watch czy Amnesty International. Współzałożyciel HRW Aryeh Neier był dyrektorem Open Society Institute (tak się wcześniej nazywała Open Society Foundations) w latach 1993–2012. O tych powiązaniach należy pamiętać przy czytaniu krytycznego wobec rządów PiS raportu opublikowanego przez HRW 24 października tego roku.

W Polsce działa jeszcze np. Fundacja Batorego, którą Soros założył w 1988 r. za zgodą komunistycznych władz i która finansowana jest przez OSF. W czerwcu 2016 r. fundusz inwestycyjny Media Development Investment Fund – zasilany finansowo przez OSF i przez jeszcze inny fundusz Sorosa – zainwestował także w grupę medialną Agora, właściciela Radia TOK FM i „Gazety Wyborczej".

Ateista Soros stara się także oddziaływać wewnątrz samego Kościoła katolickiego, na co wskazuje dokument Open Society, który wyciekł do mediów przed wizytą papieża Franciszka w Stanach Zjednoczonych w 2015 r. Inny dokument ujawniony przez DCLeaks w 2016 r. pokazuje, jaką wagę George Soros przywiązuje do europejskich instytucji, które mają pomóc mu osiągać jego cele: 177-stronicowy, wewnętrzny dokument Open Society Foundations zatytułowany „Reliable allies in the European Parliament (2014–2019)" zawiera listę 226 posłów do Parlamentu Europejskiego, którzy mogą potencjalnie wspierać postulaty OSF. Każdemu nazwisku towarzyszy opis zajmowanych funkcji, poglądów i zainteresowań oraz dane kontaktowe.

SPOKOJNY SEN BENEFICJENTÓW

Wielka darowizna dla OSF od George'a Sorosa zabezpiecza jego światową sieć na wypadek jego śmierci – choć i tak syn Alexander, który zarządza już dużą częścią finansowego imperium Sorosa, idzie w ślady ojca w dziedzinie filantropii. Na kampanię Hillary Clinton, którą również wspierał jego ojciec, wydał 4,5 mln dol. Ma jeszcze braci o podobnych, lewackich poglądach, a zatem liberalna lewica w Polsce i na świecie może spać spokojnie: nawet po śmierci George'a Sorosa, jego działalność naczelnego filantropisty liberalnej lewicy i skrajnej lewicy (w stylu rasistowskiej – w stosunku do białych – organizacji ultralewicowej Black Lives Matter) będzie nadal prowadzona.

Dla lewicowych publicystów George Soros robi po prostu to samo co inni miliarderzy wspierający różne inicjatywy w zależności od swoich przekonań, a to, że Soros jest Żydem, ma wyjaśniać to, że stał się ulubionym straszakiem konserwatywnej prawicy. Wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Frans Timmermans rzekomym antysemityzmem węgierskiego premiera tłumaczył w maju na łamach niemieckiego „Die Zeit" to, że Orbán często ostro krytykuje Sorosa. W odpowiedzi na pytanie niemieckiego dziennikarza Timmermans opowiadał o swoim niesmaku po „antysemickiej" wypowiedzi Orbána przed Parlamentem Europejskim – węgierski polityk skrytykował wtedy fakt, że liderzy europejscy spotykają się ze spekulantem Sorosem, którego działania „zrujnowały życie milionów Europejczyków".

Problem w tym, że Soros dorobił się fortuny właśnie poprzez spekulację na wielką skalę, zwłaszcza na walutach, i jest nawet znany z tego, że zarobił ponad miliard dolarów, zmuszając Bank Anglii do wyprowadzenia funta brytyjskiego z europejskiego systemu walutowego w 1992 r. Podobną niechlubną rolę odegrał w kryzysie finansowym, który dotknął Azję w 1997 r. Stwierdzenia Orbána, podobnie jak wiele oskarżeń pojawiających się w prawicowych mediach, są po prostu zgodne z prawdą.

KRYTYKOWANY NAWET PRZEZ IZRAEL

Można by też zapytać w takim razie, czy żydowski premier Izraela Beniamin Netanjahu jest antysemitą. Na tydzień przed oficjalną wizytą Netanjahu na Węgrzech w lipcu ministerstwo spraw zagranicznych Izraela wydało komunikat w obronie kampanii plakatowej węgierskiego rządu skierowanej przeciwko Sorosowi, twierdząc, że krytyka Sorosa jest uzasadniona także z punktu widzenia izraelskiego państwa, gdyż George Soros dąży do osłabienia demokratycznie wybieranych rządów izraelskich.

O próbę podkopania pozycji demokratycznie wybieranych rządów, które mu się nie podobają, Soros jest oskarżany regularnie także w Stanach Zjednoczonych, gdzie niektóre prawicowe media donosiły o opłacanych przez fundacje Sorosa manifestantach biorących udział w brutalnych protestach przeciwko demokratycznemu wyborowi Donalda Trumpa na prezydenta.

W Polsce Paweł Kukiz wspominał swego czasu o finansowaniu antyrządowych protestów KOD – za pośrednictwem Fundacji Batorego – przez „żydowskiego bankiera". Miał na myśli właśnie Sorosa.

Gdy Macedonia zamknęła w 2016 r. swoją granicę z Grecją, broniąc się przed dalszym napływem nielegalnych imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, rozpętały się protesty antyrządowe, teoretycznie niezwiązane z zablokowaniem drogi bałkańskiej. W tym przypadku także oskarżano George'a Sorosa i jego fundacje o przekazywanie pieniędzy na destabilizację demokratycznie wybranego rządu. I te oskarżenia bynajmniej nie pochodziły tylko od rosyjskich czy innych antyamerykańskich mediów. Sorosa oskarżyła o to amerykańska konserwatywna organizacja Judicial

eprasa.pl e6d6dc5680

Watch, zajmująca się kontrolą działalności amerykańskiego rządu – głównie poprzez działania prawne i sądowe. Można o tym przeczytać na ich stronie internetowej („U.S. Gives Soros Groups Millions to Destabilize Macedonia's Conservative Govt)". Judicial Watch kwestionuje przekazanie za pośrednictwem Open Society Foundations milionów dolarów z budżetu państwa na obalanie prawicowego, konserwatywnego rządu Macedonii. Przy okazji dowiadujemy się, że w latach 2012–2016 administracja prezydenta Obamy przekazała prawie 5 mln dol. na Open Society Foundation – Macedonia. Jak widać, fundacje Sorosa mogą być też instrumentami prowadzenia polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, a pamiętajmy, że od 2011 r. ważnym celem tejże polityki zagranicznej prezydentury Baracka Obamy – zbieżnym z celami OSF – było rozpowszechnianie za granicą „homomałżeństw" i innych „praw" LGBT.

CZYJ TO GŁOS W BRUKSELI

Sam George Soros zresztą nie kryje się ze swoimi życiowymi celami. We wrześniu 2015 r., po przyjęciu przez Radę UE planu relokacji kolejnych 120 tys. nielegalnych imigrantów wnioskujących o azyl i gdy przez Bałkany przedzierały się setki tysięcy kolejnych imigrantów zaproszonych do Niemiec przez Angelę Merkel, amerykański miliarder ujawnił na łamach MarketWatch własny plan („George Soros: Here's my plan to solve the asylum chaos"): Unia Europejska powinna przyjąć co najmniej 6 mln imigrantów wnioskujących o azyl w tempie miliona rocznie, należy utworzyć bezpieczne korytarze humanitarne, pozwalające imigrantom bezpiecznie przedostać się do wymarzonych krajów europejskich, omijające niebezpieczną drogę przez Morze Śródziemne. Trzeba też mobilizować europejskie zasoby w celu szybkiego integrowania tych milionów nowych przybyszów.

Znamienne jest to, że według doniesień „Tribune de Genève" komisarz europejski odpowiedzialny za imigrację – Grek Dimitris Awramopulos – 6 marca na Uniwersytecie Genewskim także wspomniał o tym, że „Europa będzie potrzebowała 6 mln imigrantów" i dlatego komisja zamierza „otworzyć biura na południowym wybrzeżu Morza Śródziemnego i w Afryce Zachodniej, bo to najlepsza metoda walki z przemytnikami".

Zbieżność liczb i celów nie jest tu przypadkiem: George Soros to wpływowy w Brukseli lobbysta, który w sprawie nowych przepisów węgierskich uderzających w wyżej wspomniany Uniwersytet Środkowoeuropejski spotykał się w kwietniu na szczycie z przewodniczącym Komisji Europejskiej Jeanem-Claude'em Junckerem, Fransem Timmermansem i kilkoma innymi unijnymi komisarzami.

Jeśli chodzi o pozarządową działalność fundacji Sorosa w zakresie wspierania masowej imigracji do Europy i tworzenia społeczeństw multi-kulti, to pieniądze od lat płyną szerokim strumieniem do lewackich organizacji zajmujących się przerzutem imigrantów do Europy. Wśród tych, które dostały – bezpośrednio lub przez inne organizacje – fundusze z OSF i trudniły się taką działalnością, znajdujemy np. Lekarzy bez Granic (MSF), Save the Children czy MOAS. Przykład pośredniego napływania pieniędzy od George'a Sorosa to organizacja MOAS. Jak można przeczytać na stronie Avaaz.org (organizacji założonej przez Moveon.org należącej do Sorosa), dostała ona 500 tys. euro od Avaaz na operacje prowadzone na Morzu Śródziemnym.

Masowa imigracja do Europy to niejedyny cel George'a Sorosa. Ważnymi tematami są też „homomałżeństwa", ideologia gender i aborcja

Masowa imigracja do Europy to niejedyny cel George'a Sorosa i jego Open Society Foundations. „Homomałżeństwa", ideologia gender i aborcja są też ważnymi tematami dla bogatego lewaka spekulanta. Na początku października głośno było w polskich mediach o raporcie Ordo Iuris ujawniającym finansowanie z zagranicy dla tzw. czarnych protestów przeciwko obywatelskiemu projektowi ustawy mającej lepiej chronić życie poczęte w Polsce. Jak można się dowiedzieć z raportu Ordo Iuris, większa część dotacji z zagranicy dla polskich organizacji feministycznych i LGBT stojących za tymi protestami pochodziła od organizacji wspieranych finansowo przez Open Society Foundations.

W 2016 r. wyciekł do mediów trzyletni plan OSF, w którym stawia się za cel zmiany prawa w krajach chroniących nienarodzone dzieci. Dokument został opublikowany na DCLeaks.com.

OPERACJA W IRLANDII

W Europie plan zakłada zmianę prawa aborcyjnego najpierw w Irlandii, ponieważ „w przypadku prawa należącego do najbardziej restrykcyjnych na świecie wygrana tam mogłaby wpłynąć na inne katolickie kraje w Europie, takie jak Polska, i dowiodłaby, iż zmiana jest możliwa nawet w bardzo konserwatywnych krajach". Plan ten zakłada liberalizację aborcji poprzez finansowanie kampanii na rzecz referendum w sprawie wykreślenia z irlandzkiej konstytucji artykułu chroniącego życie ludzkie od momentu poczęcia. Organizacje mające dostać na ten cel fundusze od OSF to Abortion Rights Campaign, Amnesty International Ireland oraz Irish Family Planning Association. Już udało się zorganizować referendum w sprawie konstytucyjnego zapisu. We wrześniu premier Leo Varadkar zarządził je na przyszły rok, jeszcze przed wizytą papieża Franciszka.

Organizacje pro-life narzekają na nierówną walkę pod względem zasobów finansowych. Chociaż społeczeństwo irlandzkie jest nadal, jak pokazują sondaże, w większości przeciwne wprowadzeniu aborcji na żądanie, to doświadczenie kampanii na rzecz „homomałżeństw" z 2015 r. pokazuje, że szeroki strumień pieniędzy płynących z Ameryki może zmienić układ sił i wynik konsultacji.

W 2015 r. główną rolę odegrało wsparcie nie z OSF, lecz z powiązanej z nią amerykańskiej fundacji Atlantic Philanthropies. Wszyscy obserwatorzy kampanii przed referendum przegranym przez obrońców rodziny byli zgodni, że zwolennicy zmiany definicji małżeństwa mieli nieporównywalnie większe możliwości finansowe i że to mogło odegrać istotną rolę co do końcowego wyniku referendum, a to stawia pod znakiem zapytania jego demokratyczny charakter.

Można się założyć, że George Soros nieprzypadkowo właśnie teraz zdecydował się na przekazanie 18 mld dol. swojej fundacji Open Society Foundations. Musiał uznać, że to dzisiaj ma się rozegrać ważna walka między dominującym lewicowo-liberalnym modelem społeczeństwa a ruchami na rzecz obrony życia, rodziny i narodów. Czyżby się bał konserwatywnej kontrrewolucji?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

POGODĘ NA INTERII SPRAWDZA
5 MILIONÓW POLAKÓW*
PROGNOZA NA 25 DNI DLA 3 MILIONÓW
MIEJSC W POLSCE I NA ŚWIECIE
TERAZ TAKŻE DANE SMOGOWE
DLA NAJWIĘKSZYCH MIAST
interia POGODA
SPRAWDZA SIĘ!
*Wg Gemius/PBI , lipiec 2017

Z prof. Ryszardem Legutką, filozofem, europosłem PiS
rozmawia Marcin Makowski

Polska to dla nich anomalia

MARCIN MAKOWSKI: George Soros w ciągu kilku ostatnich lat przeznaczył na działalność Fundacji Społeczeństwa Otwartego ponad 18 mld dol. To większość jego 23-miliardowego majątku. Co można zrobić z takimi pieniędzmi w wojnie o idee?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Soros jest człowiekiem znanym z dużego zaangażowania w gospodarkę światową, wystarczy wymienić choćby jego słynny atak na kurs funta sterlinga. Gdy już dorobił się majątku na spekulacjach finansowych, poszedł w innym kierunku – spekulowania polityką. W zeszłym roku wyszła na jaw lista europarlamentarzystów, w tym również Polaków, którzy mają bliskie relacje z fundacjami Sorosa. Wspierają je, a czasami korzystają z ich wpływów. Na co w takim razie zostaną przeznaczone te miliardy? Na jeszcze skuteczniejsze ingerowanie w kształt świata, które trudno będzie kontrować, ponieważ europejska prawica nie dysponuje nawet zbliżonymi budżetami. Może w Ameryce wygląda to nieco inaczej, ale na pewno nie w Europie Środkowej.

Chyba nawet w Ameryce szala się przechyla. W skali globalnej jedynie Fundacja Billa i Melindy Gatesów operuje większymi środkami. Czy pana zdaniem Polska odczuje na własnej skórze silniejsze próby ingerencji w politykę wewnętrzną?

Takiego scenariusza bym nie wykluczał. Oczywiście Polska jest trudniejszym terenem dla Sorosa niż np. Macedonia czy Węgry. Myślę, że Viktor Orbán jako pierwszy trafi na celownik wzmocnionej Fundacji Społeczeństwa Otwartego. W końcu Soros ma węgierskie korzenie, a w Budapeszcie funkcjonuje założony przez niego Central European University. Dlatego traktuje ten kraj bardzo osobiście i jest skłonny wiele poświęcić, aby promować swoją ideologię. W kontrze do węgierskiego rządu, który chce odebrać przywileje finansowanego z zagranicy uniwersytetu, zaangażował przecież pół Unii Europejskiej. Frans Timmermans powiedział nawet w europarlamencie, że ta uczelnia to „perła w koronie nauki węgierskiej". Bardzo mnie to rozśmieszyło. Cóż bowiem ten eurokrata wie o jakiejkolwiek uczelni i jakiejkolwiek nauce? Polska też zaczyna odczuwać silniejszą presję zewnętrzną, a działania Sorosa wpisują się w ogólnoświatowy klimat. To nie jest ekscentryczny miliarder, który kierowany obsesją pakuje pieniądze w nieopłacalne hobby. On trafił w ducha czasów. Sam pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie i moich znajomych w latach 90.

eprasa.pl e6d6dc5680

finansowa machina RAPORT DO RZECZY Sorosa

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Dał się pan uwieść Sorosowi?

Dałem, bo trudno było nie podziwiać kogoś, kto przychodzi do Polski po upadku komuny, zakłada działającą w zachodnich standardach Fundację Batorego i mówi o konieczności budowania społeczeństwa otwartego. Jakiego społeczeństwa mieliśmy chcieć? Zamkniętego?

Polscy intelektualiści byli naiwni? Nie wiedzieli, jakie idee kryją się za tymi słowami?

Trudno mówić w liczbie mnogiej, ale ja i wielu moich współpracowników zakładaliśmy, że chodzi o promocję idei wolnościowych. Wszyscy byliśmy tego spragnieni. Nikt wtedy nie dostrzegał, że przemyca się na nasz grunt inżynierię społeczną, a tzw. otwartość to ideologiczne oszustwo. Po niespełna trzech dekadach kłamstwo tego języka się odsłoniło. Teraz widzimy, że jest to język kompletnie zdeprawowany. „Demokracja" to dzisiaj rządy partii słusznych, „tolerancja" oznacza kulturowe chuligaństwo, „otwartość" rozumie się jako skrajny konformizm.

A pod „konwencję antyprzemocową" podkłada się zapisy o kulturowym definiowaniu płci.

Jak się temu sprzeciwić? Zagłosować na „nie" i usłyszeć, że jest się za biciem kobiet? Dlatego tak trudno walczyć z ludźmi pokroju Sorosa, którzy kamuflują swoje prawdziwe intencje, używając pojęć, których sens odwrócono. Jednocześnie tak jak komuniści funkcjonują oni skutecznie w przestrzeni politycznej. Dla nich kraje takie jak Polska i Węgry to anomalie, które za pomocą instytucji międzynarodowych należy spacyfikować przez tzw. unowocześnienie, czyli wymianę tożsamości na zupełnie nową, zgodną z dzisiejszą panującą ideologią. Wbrew pozorom nie uważam Sorosa za cynika. To raczej ktoś pokroju złowrogiego apostoła, który uczestniczy w wizji większej niż on sam. Europa przynajmniej od XVIII w. pogrążona była – oczywiście upraszczając – w sporze między ewolucyjnym konserwatyzmem a rewolucyjnym zerwaniem ciągłości. Chodzi o to, aby odciąć się od bagażu przeszłości, a ją samą wyzerować. Napływ imigrantów do Europy, na co ogromne fundusze łoży Fundacja Społeczeństwa Otwartego, to również taka próba „zerowania".

Jak pan ją rozumie?

Nowi ludzie, inne tradycje, inne kultury i religie, brak asymilacji, destabilizacja dotychczasowych nawyków i stylu życia,

eprasa.pl e6d6dc5680

zerwanie związków tożsamościowych. Tak dzisiaj w miastach, które przyjęły zbyt wielu imigrantów, wygląda codzienność autochtonów. Polska lewica w furiackiej frustracji zaczyna mówić otwarcie, o co jej naprawdę chodzi. Przecież mówi wprost, żeby wpuścić uchodźców i tę zaściankową katolicką Polskę przewietrzyć od środka. Rozcieńczyć, rozpuścić i przemodelować. W końcu na zachodzie Europy taki program się udał.

Czy można się w takim razie pokusić o tezę, że jesteśmy dzisiaj świadkami kolejnego etapu rewolucji obyczajowej 1968 r., tyle że prowadzonej przez dzieci i wnuków tamtych aktywistów?

Myślę, że tak. Trzeba pamiętać, że w zachodniej Europie rok 1968 stanowił wydarzenie formacyjne. Miliony ludzi zaangażowało się w wyzwolenie się z więzów tradycji i ucisku religii, a tak naprawdę z całej kultury europejskiej, która nagle okazała się represywna oraz politycznie niesłuszna. I później nie nastąpiła żadna radykalna zmiana, która by to odwróciła. Nie było ani restauracji, ani rewolucji konserwatywnej. Stąd m.in. dzisiejszy stosunek do Polski czy Węgier. Oba państwa wydają się lewicowym aktywistom rodzajem konserwatywnego skansenu, który trzeba marchewką, a częściej kijem przywołać do porządku. W samej Polsce próbowano kiedyś, jak to określił jeden z naszych liberałów, „spałować świadomość" Polaków, ale na szczęście ten plan się nie powiódł. Zachodnioeuropejska lewica – dodajmy – zawsze była nam nieprzychylna. Przed rokiem 1989 dość nieufnie podchodziła do ruchów antykomunistycznych w bloku sowieckim i raczej sympatyzowała z reżimami. Ostatecznie reżimy były wprawdzie nieprzyjemne, ale postępowe, natomiast narody wschodnioeuropejskie uważano za zacofane. I tak już pozostało.

Jak to wygląda z pana perspektywy? Czy w europarlamencie da się jeszcze wyczuć ducha rewolucji? Mam na myśli choćby pokłosie filozofii jednego z bohaterów tamtych czasów, czyli Rudiego Dutschkego, który postulował „długi marsz przez instytucje".

Owszem. Jest to duch rewolucji spełnionej. My w tej chwili nie mówimy o procesie, ale o faktycznym przejęciu instytucji unijnych. Ten marsz już się dokonał, a duża część prawej strony się poddała. Zaczęła się wstydzić swojej tożsamości, ograniczając aktywność do gospodarki i polityki. Oddanie moralności kosztowało nas przegranie sprawy aborcji, w wielu krajach legalizowanej zresztą przez rządy chadeków. Przecież to właśnie katolik Herman Van Rompuy – poprzednik Donalda Tuska – chwalił się jakiś czas temu, że zalegalizował przerywanie ciąży na życzenie w Belgii. Dlatego obecne Europa Zachodnia i Unia to nie tylko zrealizowana wizja spadkobierców 1968 r., lecz także coś więcej. Stworzono cały aparat represyjny, który ich władzę utrwala. Za krytykę zabijania dzieci nienarodzonych czy krytykę związków homoseksualnych jest się ciąganym po sądach. Za oceanem jest nie lepiej. W liberalnej Kanadzie można być ukaranym za niepoprawne użycie zaimka osobowego, a premier jest z tego nowego prawa dumny. Tak wygląda dzisiaj otwarte społeczeństwo, w którym kontrola mowy i myśli obejmuje także zaimki. Gdy już wszyscy będą mówili, myśleli i pisali tak samo, będziemy mieli otwartość absolutną.

Polska i Węgry wydają się lewicowym aktywistom rodzajem konserwatywnego skansenu, który trzeba kijem przywołać do porządku

Jeszcze zatem taki jeden obrazek, jeśli chodzi o wiarę. W 2013 r. dla upamiętnienia 50. rocznicy spotkania gen. Charles'a de Gaulle'a i Konrada Adenauera do katedry w Reims przybyli kanclerz Angela Merkel i prezydent François Hollande. Nie wzięli udziału we mszy, lecz w „momencie zadumy". W Parlamencie Europejskim nie ma nawet katolickiej kaplicy.

Jest za to „sala medytacji".

Mamy jednak ojców założycieli Unii, którzy tak jak de Gasperi i Schuman – nie kryli swoich chrześcijańskich motywacji. Nawet twórca unijnej flagi przyznał, że 12 gwiazd wywodzi się z inspiracji biblijnej. Jak mogliśmy zmarnować taki potencjał?

Trudno znaleźć jeden powód takiego stanu rzeczy. Prawica i chrześcijanie dali się zepchnąć na margines do tego stopnia, że trudno obecnie odróżnić chadeka od lewaka. Gdy w kampanii wyborczej Merkel polemizowała z Schulzem, fundamentalnych sporów między nimi nie zauważyłem. Może jedna strona chciała wielu imigrantów, a druga nieco mniej, ale już jeśli chodzi o małżeństwa homoseksualne, to proszę bardzo. Niby Angela Merkel wstrzymała się w głosowaniu w Bundestagu. Jednak cóż to za odwaga? Niestety, wraz z indoktrynacją lewicową Europa Zachodnia uległa fali sekularyzacji. Na żywym organizmie mogliśmy obserwować ten proces w Hiszpanii, która pod rządami José Zapatero religijnie osunęła się w przepaść. I nawet gdy później do władzy doszli konserwatyści, nie mieli przekonania, że coś trzeba fundamentalnie zmienić. Ta sama choroba dotknęła również Irlandii. Sekularyzacja spowodowała rewolucję umysłów przez odcięcie ich od klasycznej metafizyki i epistemologii. Klasyczna definicja prawdy nagle okazała się represywna, ponieważ uzależniała ją od twardego fundamentu rzeczywistości. Stąd bierze się ta deprawacja języka, o której mówiłem. Gigantyczną kulturową czystkę nazywa się „społeczeństwem otwartym", „wartościami europejskimi", „kulturą różnorodności". Język coraz bardziej odstaje od rzeczywistości. Europa, dokonując ideologicznego resetu, odcina się też powoli od zasad prawa rzymskiego. W świecie postępu – również w samej Unii – prawo zaczyna działać wstecz, oskarżony ma udowodnić swą niewinność, nie trzeba wysłuchiwać drugiej strony, a także można być sędzią we własnej sprawie.

Święty Jan Paweł II, gdy mówił o odrodzeniu moralnym Europy, twierdził, że nie może ono nastąpić, gdy Europa sama siebie nie odnajdzie. Gdy „nie odkryje swoich początków i nie tchnie życia w swoje korzenie". Benedykt XVI z kolei uważa, że „chrześcijańskie korzenie są dla Europy jak pokarm i tlen". Czy ma pan jeszcze wiarę w to, że Europa zacznie oddychać pełną piersią?

Ostatnie wybory w Austrii i Czechach pokazują, że monopol lewicy nie jest całkowity. Po Polsce i Węgrzech w centralnej Europie powstają kolejne wyłomy. To może być krzepiąca informacja, ponieważ udowadnia, że zaczął się jakiś ruch różnicujący. Jak dalece są to tendencje trwałe, które pchną Europę w dobrym kierunku? Tego nie wiemy. Zależy też, jaką przyjmiemy perspektywę czasową. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawało się, że stworzenie miękkiego despotyzmu przez demokrację liberalną będzie niemożliwe. Dzisiaj to nasz punkt wyjścia. Być może w przeciągu kolejnych kilku dekad nastroje się odmienią i Europa – dławiona narzuconym sobie konformizmem oraz znudzona jałowością, w jaką popadła, odchodząc od bogactwa swojego dziedzictwa – nagle zatęskni za nim. Historia czasami zaskakuje, co jest stwierdzeniem zawstydzająco banalnym, ale dla mnie jest to dzisiaj źródło nadziei.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

& tylko w empiku

~~174,90~~
119,99
pakiet

Carlos Ruiz Zafón
Pakiet Cmentarz Zapomnianych Książek

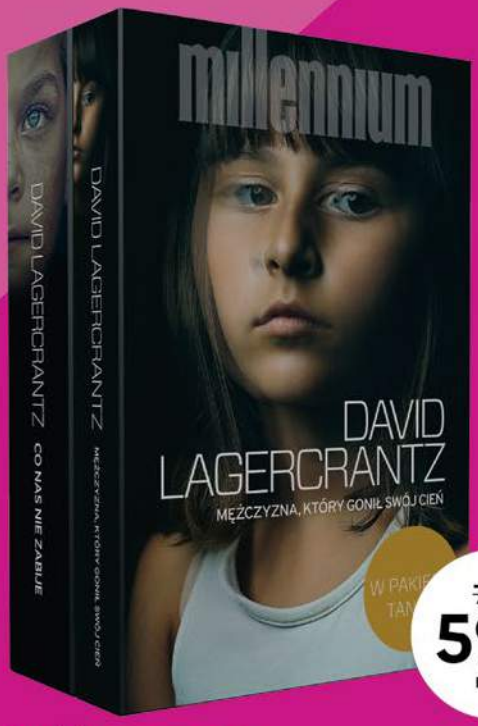

~~79,80~~
59,99
pakiet

David Lagercrantz
Pakiet Millennium: Mężczyzna, który gonił swój cień / Co nas nie zabije

~~69,98~~
49,99
pakiet

Meik Wiking
Pakiet: Hygge / Lykke

empik

eprasa.pl e6d6dc5680

Obie wojny światowe sprowadzono wyłącznie do behawioralnego przeżycia żołnierzy i cywilów, z całkowitym pominięciem kwestii, kto był agresorem, a kto się przed kim bronił

FOT. DOMINIQUE HOMMEL/EP

Eurowyrób historiopodobny

Piotr Semka

Masywny budynek z lat 30., w którym umiejscowiono Dom Historii Europejskiej, kojarzyć się musi ze stalinowskim MDM w Warszawie. Po wielu godzinach spędzonych na zwiedzaniu ekspozycji zrozumiałem, że analogie do socrealizmu dotyczą nie tylko gmachu muzeum

Pomysł Domu Historii Europejskiej pojawił się w lutym 2007 r. jako wisienka na torcie programu Hansa-Gerta Pötteringa, wówczas nowego szefa Parlamentu Europejskiego. Niemiecki polityk zaproponował stworzenie placówki muzealnej – miejsca „kształtowania się europejskiej tożsamości". Szybko powołano grupę historyków i muzealników pod kierownictwem Słowenki Tai Vovk van Gaal, która wraz z zespołem na czele z prof. Włodzimierzem Borodziejem przygotowała najważniejsze elementy europejskiego dziedzictwa zawarte w stu punktach. Potem nastąpiło osiem lat przygotowań do otwarcia ekspozycji, w trakcie których na temat Domu Historii Europejskiej panowała cisza. I wreszcie w maju 2017 r. muzeum otworzyło swe podwoje. Teraz, po pół roku działania, postanowiłem osobiście przekonać się, co uznano za wspólne dziedzictwo Unii Europejskiej.

Winda wjeżdża na pierwsze piętro. Sekcja „formowanie się Europy". Na początek artystyczne wariacje wokół mitu o porwaniu Europy przez Zeusa pod postacią byka. Satyryczny rysunek krowy z konturami państw europejskich zamiast łat. A tuż obok malarska płaskorzeźba z 1984 r. zachodnioniemieckiego malarza: „Europa na pocisku dalekiego zasięgu". Na obrazie zamek Neuschwanstein szalonego bawarskiego króla Ludwika wypychany jest w górę przez amerykańską rakietę. Ot, jedno z dzieł z epoki, gdy niemieccy pacyfiści pikietowali bazy US Army w RFN. Dzisiaj nie mówi nic. Dlaczego otwiera wystawę? Tuż obok w wielkiej gablocie ciąg eksponatów mających streścić dzieje kontynentu. Popiersie greckiego filozofa, fenicka tabliczka do pisania, średniowieczna rzeźba papieża z katedry w Utrechcie, kajdany niewolnika, murzyńska figurka z wyobrażeniem portugalskiego rycerza i wreszcie, jako zwieńczenie i znak jutrzenki swobody, encyklopedia oświeceniowa Denisa Diderota.

DZIECI ŚWIATŁA

Gdy wjeżdżam windą na kolejne piętro, początkowo cofam się w drzwiach, obawiając się, że wysiadłem za wysoko. Wielki ekran wyświetla Deklarację praw człowieka i obywatela z 1789 r. Jednak nie, wszystko jest w porządku. Ekspozycja zaczyna się od rewolucji francuskiej. Dlaczego? Nikt nie wyjaśnia. Lekką ręką pominięto XVII wieków po narodzeniu Chrystusa. Świat mroku i wszechwładzy Kościoła nie zasługuje na więcej niż parę artefaktów. Od tej chwili jednak muzeum zaczyna być dokładne. Na ekranie wyświetla się zdobycie Bastylii, rewolucja francuska, przez parę sekund miga Napoleon, a potem mieszczańskie rewolucje XIX w. Belgia, rewolta lipcowa w Paryżu. Jest nawet starcie powstańców z nocy listopadowej 1830 r. z Rosjanami koło Łazienek. Jako najważniejsza ikona epoki – obraz Eugène'a Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady". Jednak to tylko preludium do prawdziwych herosów epoki – triady Karol Marks – Fryderyk Engels – Michaił Bakunin. Marks zostaje pokazany jako nowy Mojżesz, który z manifestem komunistycznym jako Dekalogiem z góry Syjon ciska gromy na reakcje w całej Europie. Tuż obok w gablocie pomnik ku czci „wiosny ludów" z epoki Nicolae Ceaușescu

eprasa.pl e6d6dc5680

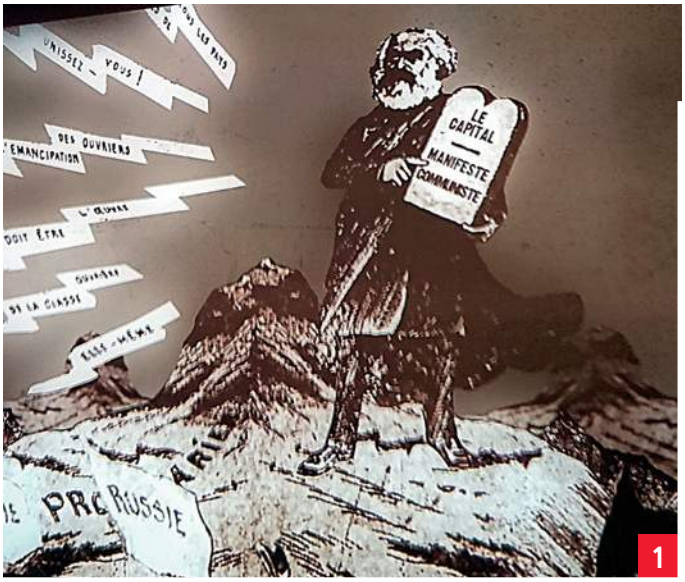

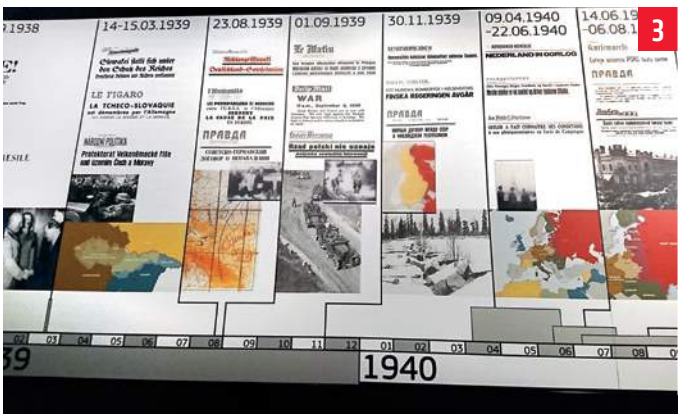

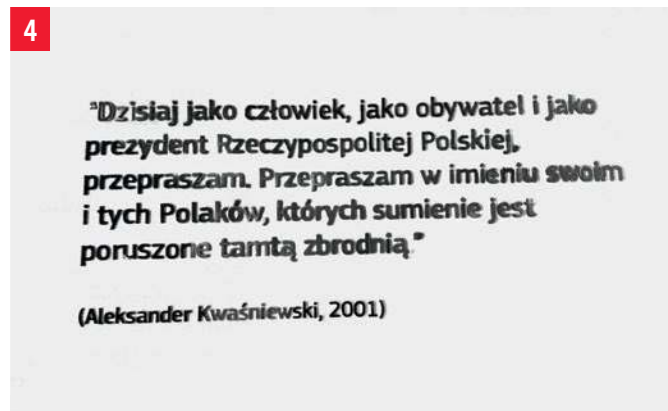

Kwiatki z wystawy: 1. Marks jako nowy Mojżesz z Manifestem komunistycznym jako nowym Dekalogiem. 2. Piłsudski pojawia się na wystawie tylko jako jeden z wielu środkowoeuropejskich dyktatorów. 3. Data 1 września 1939 r. ginie wśród wcześniejszych i późniejszych dat. 4. W sali „Pamięć Holokaustu" wyeksponowany jest cytat A. Kwaśniewskiego z Jedwabnego z uroczystości 10 lipca 2001 r. FOT. PIOTR SEMKA

– komunistycznego dyktatura Rumunii. Przez chwile czuję się jak w warszawskim Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, które zwiedzałem jako dziecko w czasach PRL.

Na wystawie obok eksponatów nie ma żadnych podpisów. Wszystko ma wyjaśniać wręczany przy wejściu tablet noszony na szyi. Wyszukiwanie na ekranie maleńkich kwadracików – symboli eksponatów – i porównywanie ich z układem gabloty zaczyna irytować już po kwadransie. Słuchanie parominutowych komentarzy drażni jeszcze bardziej. A na wystawie prawie nie ma ławek, by móc przysiąść i posłuchać w spokoju wyjaśnień. Pozostaje wybierać szczególnie ważne gabloty i z benedyktyńską cierpliwością wyszukiwać podpisy lub komentarze. Kątem oka widzę, że ci, którzy powinni radzić sobie z tabletem najlepiej – młodzi ludzie – zazwyczaj oglądają wszystko z tabletem wiszącym na szyi bez wgłębiania się, co czym jest.

Wracamy do XIX w. Mijamy wielką maszynę parową i wchodzimy w coś w rodzaju stalowej pergoli. Jej symbolika jest podwójna. Z jednej strony to znak skoku cywilizacyjnego, gdy ze stali zbudowano Pałac Kryształowy w Londynie i wieżę Eiffla, a z drugiej oznacza ona klatkę – symbol hańby kolonializmu. Po lewej pierwsze kinematografy, teoria Darwina, medyczne odkrycia Ludwika Pasteura i geniusz Marii Curie-Skłodowskiej. Po prawej statki do przewozu niewolników, obrazki z targu niewolników, wypreparowane głowy tubylców i na okrasę pierwszy obóz koncentracyjny w Transwalu na południu Afryki.

Trzeba paru chwili, by zacząć łączyć fakty i zauważyć, że coś tu się nie zgadza. Epoka Pasteura, a już na pewno kinematografu i Marii Curie-Skłodowskiej, to druga połowa XIX w. A przecież „złota" epoka niewolnictwa w wykonaniu europejskich kupców to wieki XVII–XVIII. Wielka Brytania zdelegalizowała niewolnictwo w 1833 r., a Francja w 1848 r. Wypadałoby więc kolonializm wypchnąć do poprzedniej sekcji z Wiosną Ludów. A co robi tu brytyjski obóz koncentracyjny w Transwalu? Przecież założono go nie dla Murzynów, tylko dla karanych rodzin białych Burów.

LUDZKA RZEŹNIA

Pierwsza wojna światowa pokazana jest jako efekt szalejących nacjonalizmów, w konflikcie, w którym wszyscy byli siebie warci. Po raz pierwszy na wystawie widać uogólnianie tematu w sposób bardzo korzystny dla Niemiec. Nieważne, kto zaczął, kto miał drapieżne, zaborcze plany – ważne, że była to jedna wielka ludzka rzeźnia, w której nowe technologie służyły unicestwieniu milionów ludzkich istnień. Dlatego maskami gazowymi udekorowano całą ścianę, dlatego zgromadzono zdjęcia hal wypełnionych pociskami do haubic i dlatego wyeksponowano protezy nóg i rąk urwanych przez szrapnele wielkiej wojny. W sekcji wystawy o rewolucji bolszewickiej widać zachwyt autorów ekspozycji. Sztandar z hasłem: „Cała władza w ręce rad!", zdjęcie Lenina przemawiającego z trybuny i mapa ustanawiania władzy Sowietów. Są Bawarska Republika Rad

eprasa.pl e6d6dc5680

i komuna w Bremie, węgierskie państwo Béli Kuna, tak jak i łotewska, i litewska Republika Rad. O Bitwie Warszawskiej z 1920 r. ani słowa. Tak samo wystawa milczy o milionach ofiar wojny domowej, o bestialstwie Czeka, łagrach Lenina i karaniu zbuntowanych prowincji Rosji głodem. Za to jest symbol nowoczesności – model pomnika III Międzynarodówki Władimira Tatlina. Rosja Lenina z lat 1917–1927 to nadzieja, a nie zbrodnia.

NIEMAL BEZ POZYTYWNYCH BOHATERÓW

To, co złe, zarezerwowano dla epoki pełnej wszechwładzy Stalina. I ta epoka pokazana jest w miarę uczciwie – gułagi, wielki głód na Ukrainie, czystki i fufajka łagiernika. Jednak nawet tu szuka się jakichś pozytywów – czy to ciekawej architektury, czy estetyki rzeźby „Robotnik i kołchoźnica" Wiery Muchiny, czy wreszcie książki dla dzieci „Braciszki" przypominającej, że ludzie różnych kolorów skóry są braćmi w walce z imperializmem. Tuż obok bogata sekcja o III Rzeszy Hitlera – szaleństwo rasowe, pogromy, uniformizacja społeczeństwa i wojenny rausz. W tle, gdzieś między Führerem a Stalinem, parę gablot o Europie międzywojnia. Coś o Josephine Baker, coś o jazzie, coś o dyktatorach takich jak Horthy czy Piłsudski.

Druga wojna światowa zaczyna się tu od aneksji Austrii w marcu 1938 r. Data 1 września nie jest specjalnie wyodrębniona.

I znów: ta II wojna światowe to cierpienia jedynie cywili. W gablotach najwięcej jest o zagładzie Żydów, a na licznych, sporych ekranach telewizyjnych – o bombardowaniach miast: Rotterdamu w 1940 r. i Stalingradu w 1942 r., a potem tragedii niemieckich miast. Tutaj symbolami śmierci są latające fortece i bombowce RAF.

W niewielkiej gablotce o oporze ludów Europy nie ma nic o walce Armii Krajowej. Owszem, jest mundur partyzanta „wolnej Francji", jest holenderska maszyna służąca do pisania podziemnej gazetki i jest teczka duńskiego Żyda przemyconego do Szwecji. Polskę reprezentują zeszyt i zdjęcie studenta tajnych kompletów. Za to powojenne cierpienia Niemców są opisane dokładnie. Od deportacji z polskich ziem zachodnich do naszywek z literą N w Czechach.

Powojenna Europa według autorów wystawy to dwie strefy podzielonego kontynentu. Jedna okupowana przez Amerykanów, druga przez Rosję. I niewiele na wystawie pokazuje, że jedna część była strefą wolności, a druga zniewolenia. Równie niewiele różni demoludy od Zachodu w latach 60. Po jednej stronie cud gospodarczy, wczasy w Hiszpanii i małolitrażowy Fiat 500; po drugiej stronie mała stabilizacja, uczelnie NRD, wyjazdy do Bułgarii i jugosłowiański samochodzik Zastava.

A kryzysy? Te nękają zarówno Zachód, jak i Wschód. Na Zachodzie demonstruje się przeciw broni atomowej i na paryskich barykadach Maja '68, a na Wschodzie kryzysy to Budapeszt w 1956 r. i Praga w 1968 r. Epopeja Solidarności nie jest eksponowana – ot, jeden plakat i kask stoczniowca z Gdańska. Nie ma nawet zdjęcia Lecha Wałęsy – to ku uwadze tych, którzy tropią w Polsce „wygumkowywanie" lidera robotniczej rewolucji z lat 1980–1981.

Kościół katolicki i każdy inny na tej wystawie nie istnieją. Dosłownie i literalnie. O Janie Pawle II i jego roli w obaleniu komunizmu ani słowa. Właściwie to nie bardzo wiadomo, dlaczego komunizm upada – chyba jedynie po to, by Europę połączyła najlepsza z możliwych konstrukcja: Unia Europejska.

Podejrzenia o chęć stworzenia wzorcowego obywatela Unii jako człowieka bez narodowych właściwości nie biorą się znikąd

Jest jeszcze sala refleksji nad Holokaustem. Tutaj na ścianach wyeksponowano trzy cytaty. Przeprosiny Aleksandra Kwaśniewskiego w imieniu Polaków za Jedwabne, głos prezydenta Jacques'a Chiraca przyjmujący współodpowiedzialność Francuzów za Holokaust i wreszcie cytat z prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki o tym, że Ukraińcy, mając doświadczenie wielkiego głodu, rozumieją tragedię Holokaustu. Postawienie Polski wśród Francji i Ukrainy jako współuczestnika Holokaustu jest tu traktowane jako coś oczywistego.

ZROBIMY, JAK CHCEMY

Ta wystawa ma dwóch wielkich wygranych – francuskich lewicowych wolnomyślicieli i Niemców, chcących oderwać narracje o obu wojnach światowych XX w. od pryzmatu narodowego.

Francuscy wolnomyśliciele przeforsowali wizje XIX i XX w. jako czasów ponurej gnozy. Dziejów ustępowania mrocznych żywiołów religii i przesądów dręczących zwykłego człowieka na rzecz stopniowej emancypacji – rewolucji, zwycięstw laickich idei humanistycznych, których zwieńczeniem jest Unia Europejska.

Niemcom z kolei udało się przeforsować wizje obu wojen światowych z XX w. jako tragedii cywilów z pominięciem aspektu militarnego. Przy tej optyce łatwo już zrównać ofiary Holokaustu z Niemcami ginącymi w bombardowaniach. Cywile ginący tu i tam to tragiczni bracia – ofiary zmechanizowania wojen.

Dopiero oglądając Dom Historii Europejskiej w Brukseli, można zrozumieć, jak wyglądał idealny wzorzec dla Pawła Machcewicza przy kreśleniu wizji Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Tutaj i tam w radach naukowych obu placówek zasiadał prof. Włodzimierz Borodziej, specjalista od historii konfliktów wojennych i niemcoznawca. Oczywiście gdańskie muzeum nie wyszło w tak wyzywającym stylu. Machcewicz podlegał silnej presji opinii publicznej i – jak można podejrzewać – o wiele bardziej tradycyjna była też mentalność większości jego pracowników naukowych. Jednak odwrócenie się plecami od walki żołnierzy tu i w Gdańsku było takim samym założeniem zażarcie potem bronionym. Tutaj i tam akcent położono na ofiary bombardowań. Tutaj i tam pominięto niemiecki rewizjonizm po I wojnie światowej. Nic dziwnego, że teraz ten sam Paweł Machcewicz usprawiedliwia jak może ewidentne braki muzeum w Brukseli. Uskarżał się nawet na łamach „Polityki", że obie placówki są w podobnym stylu atakowane.

Nigdy nie przepadałem za porównaniami Unii Europejskiej do zmodyfikowanej wersji Związku Sowieckiego. Jednak po wizycie w Domu Historii Europejskiej w Brukseli muszę przyznać, że podejrzenia o chęć stworzenia wzorcowego obywatela Unii jako człowieka bez narodowych właściwości nie biorą się znikąd. Muzeum to wiele mówi o tym, w jakim kierunku chcą poprowadzić ten eksperyment wolnomyśliciele, lewicowcy i zwolennicy superpaństwa. Po lekturze paru krytycznych recenzji tej ekspozycji pióra polskich historyków nie spodziewałem się niczego dobrego. Jednak po pięciu godzinach zwiedzania ekspozycji straciłem ostatnie nadzieje. To muzeum nie jest złe. Jest bardzo złe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dom Historii Europejskiej w Brukseli jest czynny cały tydzień. Szczegóły na: www.historia-europa.ep.eu.

eprasa.pl e6d6dc5680

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

NIEDZIELA Z TELEWIZJĄ REPUBLIKA

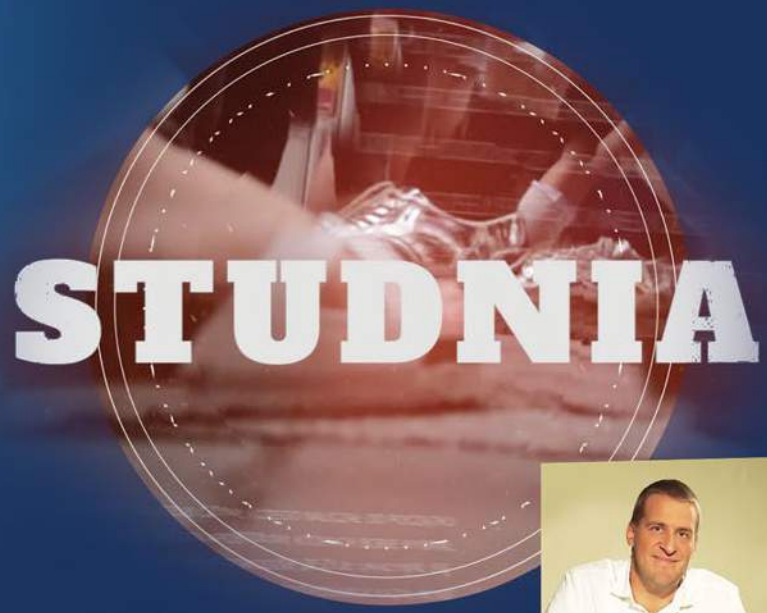

Dominika Dembińska i Stefan Czerniecki

Program ukazujący prawdziwą, atrakcyjną "twarz" kościoła.

NIEDZIELA, GODZ.9:40

Gośćmi będą:

RADOSŁAW PAZURA 5.11
KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ 12.11
WOJCIECH CEJROWSKI 19.11

Oglądaj Telewizję Republika za darmo: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl e8d6dc5680

Ewangelizacyjne pogaduszki

Tomasz P. Terlikowski

Nowe środki przekazu rodzą nowych kaznodziejów. Warto ich poznać, żeby wiedzieć, czym religijnie karmią się nasze, czasem dorosłe dzieci

Jeśli ktoś chce zrozumieć, jaki jest współczesny polski katolicyzm, to poza słuchaniem Radia Maryja czy zaczytywaniem się „Tygodnikiem Powszechnym" powinien zajrzeć do Internetu. To tam, na portalach społecznościowych, a przede wszystkim na YouTube, kształtuje się nowe oblicze polskiego Kościoła. Tam znaleźć można kaznodziejów (youtubeoewangelistów, a może webkaznodziejów, by posłużyć się analogią do amerykańskich teleewangelistów), którzy najsilniej oddziałują na młodzież. „Langusta na palmie", czyli kanał youtube'owy o. Adama Szustaka (tak jak inne jego i współbraci serie), jest jednym z elementów tego zjawiska. Ojciec Szustak zaś jest zapewne jednym z najbardziej wyrazistych reprezentantów tego nurtu, kimś, kto znakomicie odczytał specyfikę wirtualu i świetnie się w nią wpisał. Na jego przykładzie także znakomicie widać, jakie ograniczenia niesie to audiowizualne, wirtualne medium, bo nie można zapominać, że forma także zawsze jest przekazem. Jeszcze lepiej widać to zaś, gdy sięgnie się po próbę przełożenia fenomenu Szustaka na język słowa spisanego.

Druga z serii książek o „Dwóch wilkach" (w rolach wilków właśnie wspomniany dominikanin i Robert „Litza" Friedrich), nosząca podtytuł „W obronie stada", zwraca uwagę (przynajmniej moją) na wspomniane powyżej ograniczenia. Książeczka ta, mająca w zamyśle być formą rekolekcji (nie jest przypadkiem, że ukazuje się na krótko przed Adwentem), szkołą nawracania się, ma formę spisanych youtube'owych pogaduszek. Ojciec Adam i Robert „Litza" Friedrich – czasem żartobliwie, a czasem śmiertelnie poważnie, zawsze jednak w niezwykle osobistej, momentami wręcz ekshibicjonistycznej formie – rozmawiają o nawróceniu, szacunku dla siebie, depresji, czystości i jej zachowaniu, budowaniu rodziny itp. itd. Styl momentami, szczególnie jeśli nie jesteśmy przyzwyczajeni do żartów o. Szustaka i formy świadectwa własnego życia „Litzy", może irytować (mnie irytował), ale może także zachwycać (znam wiele takich osób). Problem zaczyna się, gdy próbujemy zastosować do tego tekstu (a jest to jednak tekst, nie nagranie) metody normalnej lektury i oceny teologii zawartej w tej książce.

GWAŁCICIEL, OBRONA STADA I DZIWACZNA TEOLOGIA

Ja taką próbę podjąłem na 18 stronie „Dwóch wilków. W obronie stada", gdy przeczytałem, jak zdaniem „Litzy" (którego cenię za wiele tekstów, świadectw i przede wszystkim muzykę) powinno wyglądać zachowanie chrześcijanina, do którego domu przychodzi ktoś, kto chce zaatakować jego rodzinę. „Teoretycznie powinienem oddać życie. Powinienem modlić się za tego człowieka, zawołać dzieci i powiedzieć napastnikowi: »Najpierw ich zetnij, potem żonę zgwałć i zetnij, a potem na końcu zabij mnie. A my i tak będziemy się za ciebie modlić, byś mógł pójść do nieba«. Tak to powinno wyglądać" – oznajmia „Litza". Na jakiej podstawie doktrynalnej? Gdzie znalazł on taką etykę i teologię moralną? Nie mam pojęcia, bo na pewno nie w nauczaniu Kościoła. To jest bowiem jasne. Męczeństwo mogę przyjąć sam, ale własną rodzinę, w tym żonę, przed gwałtem mam obowiązek bronić do własnej śmierci. Postawa, jaką proponuje „Litza" (nie on pierwszy), nie jest ani chrześcijaństwem, ani pacyfizmem, ale tchórzostwem (tak sprawę ujął Włodzimierz Sołowjow), radykalizmem, który w imię mojego dobrego samopoczucia poświęca dobro i życie innych.

Sam Robert Friedrich przyznaje zresztą, że gdy znalazł się w sytuacji zagrożenia własnej rodziny, wcale nie zachował się tak, jak uważa, że powinien. „Teorię znam, ale nie tak dawno praktyka okazała się inna. Mniej więcej rok temu kładłem się już spać, koło północy. Moja żona jeszcze siedziała w dużym pokoju przy komputerze. I nagle wchodzi do naszego domu wysoki mężczyzna. Staje za nią. Dobrochna odwraca się i pyta: »Pan do Roberta?« […]. On stoi, nic nie mówi. Wtedy moja żona zawołała z pokoju: »Robert, jakiś obcy jest w domu«. Już prawie przysypiałem, ale jak do mnie dotarło, co ona wołała, jak wyskoczyłem z łóżka, to nie miałem w sobie odruchów chrześcijańskich. Nie wyszedłem i nie zaproponowałem temu człowiekowi szklanki wody ani żadnej strawy, tylko zachowałem się jak Kung Fu Panda. On zaczął uciekać, a ja krzyczałem: »Jak cię dorwę, to cię zabiję«" – opowiada „Litza". Jednym słowem – zachował się tak, jak powinien zachować się wilk w obronie swojego stada. Tyle że ma z tego powodu, przyjmując dziwaczną, zupełnie niekatolicką teologię moralną, wyrzuty sumienia.

eprasa.pl e6d6dc5680

w miejsce teologii

Nowa książka o. Adama Szustaka i Roberta „Litzy" Friedricha w zamyśle ma być formą rekolekcji

FOT. JAKUB SZYMCZUK/FOTO GOŚĆ/FORUM

Co na to dominikanin, czyli człowiek, który – zgodnie z charyzmatem swojego zakonu – powinien mieć doktrynę w małym palcu? Otóż o. Szustak w owej dziwacznej teologii go utwierdza. „I nie wiadomo, kto to był?" – pyta. Gdy uzyskuje potwierdzenie, że nie wiadomo, oznajmia: „Może Pan Jezus". Skąd pomysł, że człowiek, który wszedł w nocy do cudzego domu i nie odpowiadał na pytanie, to Jezus, nie wiadomo, tak jak nie wiadomo, dlaczego o. Szustak w istocie przyklaskuje dziwnej, mennonistycznej raczej i fundamentalistycznej wizji moralności chrześcijańskiej, której nie da się pogodzić choćby z Katechizmem Kościoła katolickiego. „Uprawniona obrona może być nie tylko prawem, lecz także poważnym obowiązkiem tego, kto jest odpowiedzialny za życie drugiej osoby. Obrona dobra wspólnego wymaga, aby niesprawiedliwy napastnik został pozbawiony możliwości wyrządzania szkody" – podkreślają autorzy katechizmu. Nie ma w nim zatem wymogu zastanawiania się, czy napastnik nie jest przypadkiem Jezusem, ale obowiązek obrony tych, którzy naszej opiece są powierzeni, w tym przypadku żony i dzieci. „Litza" tak właśnie się zachował i powinien za to zostać pochwalony, a nie dobity pytaniem, czy nie pogonił Jezusa.

HEROICZNA WALKA O CZYSTOŚĆ

Mam świadomość, że trochę się czepiam, ale wbrew pozorom sprawa jest poważna. Ojciec Szustak, tak jak „Litza", są autorytetami dla wielu młodych ludzi i jeśli zamiast zdrowej doktryny wciskają im kit, to nie jest dobrze. A jest to tym groźniejsze, że poza tym książka zawiera naprawdę wiele ciekawych i ważnych fragmentów. Gdy panowie nie silą się na wielką teologię czy poważne dylematy moralne (które trudno – nie da się ukryć – sprzedać w formie ewangelizacyjnej pogaduszki), mówią o rzeczach naprawdę ważnych. Tak jest w rozdziale o nieczystości, w którym Robert Friedrich „sprzedaje" własną metodę na wierność żonie i unikanie niebezpieczeństwa pornografii.

Jaka ona jest? Bardzo prosta. Unikać pokus. „Na każdym wyjeździe koncertowym jestem wierny żonie wyłącznie dlatego, że nie mam okazji do zdrady. Nie daję sobie możliwości, by taka okazja się pojawiła" – mówi. I na to także są proste sposoby. Gdy zamawiają z zespołem miejsca w hotelach, to zawsze biorą pokoje dwuosobowe. „Jeden drugiego wspiera" – nie tylko w wierności żonie, lecz także w unikaniu pokusy pornografii. Niesamowite jest także jego świadectwo wsparcia, jakiego udziela własnym dzieciom w walce z pokusami nieczystości. Trudno się z nim nie zgodzić, gdy podkreśla, że „to pokolenie heroicznie walczy o czystość", bo żyje w czasach, gdy jej zachowanie jest o wiele trudniejsze, z powodu powszechnej dostępności pornografii, niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Nie mniej istotne są także uwagi o. Szustaka, który zaznacza, że nie da się zwyciężyć w walce o czystość, nie da się wyjść ze zniewoleń w tej dziedzinie bez pomocy Jezusa. „Nie znam człowieka, który by o własnych siłach, bez pomocy nadprzyrodzonej, poradził sobie z grzechem nieczystości. […] Pan Jezus jest jedynym, który ma moc nad złem. Podejmowanie tej walki jest oczywiście ważne, ale jeżeli to nie jest oparte na dotykaniu Pana Jezusa, czyli na spowiedzi, Komunii Świętej, kierownictwie duchowym, na wchodzeniu na bardzo konkretną drogę nawrócenia, to się nie uda i do końca życia będziesz się z tym męczył" – mówi o. Szustak. Równie mocne i istotne są jego uwagi na temat konieczności spowiedzi, spotkania z Jezusem w Eucharystii. Ich prosty język i obrazowa forma porywają.

FORMA JEST PRZEKAZEM, TAKŻE W TEOLOGII

I być może to samo, co jest główną siłą „dwóch wilków", jest także ich główną słabością. Wyrazistość opinii, obrazowość opowieści, osobisty charakter duszpasterskich porad świetnie sprawdzają się, gdy chodzi o rzeczy proste i oczywiste teologicznie (takie jak właśnie zachowanie czystości), ale o wiele trudniej wyrazić w nich kwestie wymagające większego skomplikowania doktrynalnego, takie jak właśnie obrona konieczna, miłość nieprzyjaciół czy obowiązek obrony naszych bliskich. Tutaj proste, momentami zahaczające o ewangelikalny fundamentalizm biblijny kaznodziejstwo sprawdza się nieco gorzej. I warto o tym pamiętać, gdy sięgamy po tego rodzaju książki. Są one świetnym wprowadzeniem w chrześcijaństwo, ciekawym doświadczeniem spotkania z wiarą przekazywaną w sposób bliski pokoleniu raczej moich dzieci niż mojemu (choć znam także 40-latków, którzy pasjami słuchają o. Szustaka), ale nie mogą być jedynym źródłem wiedzy o wierze, bo wtedy popaść możemy w „chrześcijaństwo youtube'owe", które z powodu samej formy przekazu nie jest w stanie przekazać subtelności Biblii i Tradycji. Do tego potrzebna jest jednak większa precyzja. Dlatego ja z dominikanów preferuję św. Tomasza z Akwinu.

ADAM SZUSTAK OP, ROBERT „LITZA" FRIEDRICH
„WILKI DWA. W OBRONIE STADA"
ZNAK 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pamięć o bohaterce

Bardzo żałuję, że Maria Skłodowska-Curie nie była husarzem. Właśnie minęła 150. rocznica jej urodzin. Jednak w mediach społecznościowych – tak chętnie celebrujących wszelkie jubileusze – niezbyt ją fetowano. Podwójna noblistka, genialny fizyk i chemik, niesamowita postać, ale jednak naukowiec. W Polsce to jakoś mało seksowne.

Co innego, gdyby Skłodowska-Curie była towarzyszem pancernym, lisowczykiem, a już najlepiej husarzem. Gdyby usiekła kilku Rosjan w bitwie pod Kłuszynem, byłaby bardzo czczona. Dedykowano by jej specjalne memy wychwalające jej wyczyny, a jej ulubiony koncerz stałby się czymś w rodzaju relikwii. Telewizja Polska już pewnie kręciłaby serial na jej temat.

Gdyby prowadziła szarżę pod Kircholmem i była ulubionym rotmistrzem hetmana Jana Karola Chodkiewicza, księgarskie półki uginałyby się pod ciężarem książek poświęconych pierwszej w historii kobiecie husarzowi (husarce?). Patriotyczni artyści tworzyliby graffiti, na których konnica dowodzona przez Skłodowską rozbija w puch szwedzkich pikinierów. A patriotyczna młodzież dziarałaby sobie tatuaże z panią rotmistrz. Ze skrzydłami, oczywiście.

Gdyby chociaż Skłodowska-Curie poległa pod Cecorą, broniąc Rzeczypospolitej i chrześcijańskiej Europy przed turecką nawałą… Idealnie nadawałaby się na bohatera naszych czasów. Nie dość, że zginęła w walce, to jeszcze w walce z muzułmanami. Na pewno noszono by jej podobizny podczas marszów 11 listopada. Byłaby symbolem. Kobieta husarz, kobieta męczennik, kobieta wzór.

No, ale cóż – Skłodowskiej-Curie nie zabił wąsaty Turek, tylko choroba popromienna. Nie walczyła z Rosjanami, tylko z uprzedzeniami epoki – Francuska Akademia Nauk nie chciała jej w swym szacownym gronie, bo była kobietą, i to do tego pochodzącą z Polski. Nie machała szablą, tylko dokonywała rewolucyjnych odkryć naukowych. A jak już wzięła udział w wojnie (pierwszej światowej), to nie z karabinem w ręku, lecz organizując mobilne pracownie rentgenowskie, co wówczas miało przełomowy charakter. Przełomowe było wszystko, co ta genialna kobieta robiła.

Jednakowoż Skłodowska-Curie nie bardzo nadaje się na narodową idolkę. Nasza wyobraźnia jest – zwłaszcza w czasach dobrej zmiany i narodowego przebudzenia, które ostatnio obserwujemy wśród młodych ludzi – skłonna do redukowania patriotyzmu oraz wielkości do wymiaru militarno-męczeńskiego. Niesłusznie. Wolność można wywalczyć w bitwie, ale wielkość i pomyślność narodu buduje się już gdzie indziej. Na przykład w laboratorium naukowym.

Zatem pamiętajmy o Skłodowskiej-Curie. Chociaż nie była husarzem. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Święta, święta…

Święta narodowe mówią sporo o mentalności narodów, które je obchodzą. Jedne łączą, inne dzielą, bywają ustanawiane za czymś, czasem przeciw czemuś. Konserwatywni Anglicy fetują dzień urodzin królowej (lub króla), ergo jest to święto ruchome. Amerykanie obchodzą (a w ślad za nimi wiele państw, które wyzwoliły się z oków) Dzień Niepodległości. Francuzi z podziwu godnym uporem świętują najczarniejszy dzień we własnej historii. Rocznicę zdobycia słabo bronionego więzienia, praktycznie pozbawionego więźniów, które zapoczątkowało wielką rzeź i naruszyło podstawy cywilizacji chrześcijańskiej w skali świata.

Polski Dzień Niepodległości jest świętem modelowo kompromisowym

Wślad za „żabojadami" poszły władze bolszewickiej Rosji, ustanawiając swoje święto w dniu wybuchu wielkiej socjalistycznej rewolucji październikowej, która – jak wiadomo – nie była ani wielka, ani socjalistyczna, bo trudno tak nazwać przewrót w normalnie funkcjonującym mieście rozpoczęty ślepakami z „Aurory" i zajęciem pałacu bronionego jedynie przez żeński batalion, który w dodatku wydarzył się w listopadzie.

Przewrót, który wbrew temu, o czym uczono w PRL, na zawsze pozbawił Rosję szansy na przewodzenie światu – a w świetle trendów sprzed I wojny (demograficznych oraz gospodarczych) wydawało się to nieuchronne i kosztował ludzkość co najmniej 100 mln istnień ludzkich. Nic dziwnego, że współczesna Rosja przestała się tym chwalić i choć nie zdobyła się na potępienie komunizmu i pozbycie mumii Lenina, to na gwałt poszukała święta zastępczego, pasującego datą.

Daleko szukała. I znalazła w XVII w. – dzień wypędzenia polskiej załogi z Kremla. Przy okazji ujawnił się niezwykły kompleks supermocarstwa wobec „Polaczków", którzy od setek lat przeszkadzają samym swym istnieniem, i nie dają się zniszczyć. (Ileż byłoby ciekawszych dat „pozytywnych"? Zrzucenie mongolskiego jarzma, zwycięstwo pod Połtawą, a nawet dzień Borodina). A swoją drogą, czy byłoby im źle pod berłem Wazów z tolerancyjnym carem Władysławem na tronie, w unii z Polską, która tak jak na Litwie zabezpieczyłaby swobody i prawa człowieka nieznane w tej części Eurazji?

Na tym tle polski Dzień Niepodległości jest świętem modelowo kompromisowym. Dla jednych upamiętnia powrót Piłsudskiego i przejęcie władzy z rąk Rady Regencyjnej, a dla innych koniec wielkiej wojny, którą – jakkolwiek by patrzeć – wygraliśmy ze wszystkimi naszymi zaborcami.

Wspaniała okazja do radości! ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

III Forum Przemysłowe

8 – 10 grudnia 2017, Karpacz

FORUM PRZEMYSŁOWE

- Największe w Polsce spotkanie liderów różnych sektorów przemysłu
- Blisko 700 gości i dziennikarzy z Polski jak i z zagranicy

- Bogaty program merytoryczny
- Ponad 50 debat o kluczowych wyzwaniach europejskiego przemysłu

- Możliwość nawiązania nowych kontaktów biznesowych oraz zaprezentowania swoich osiągnięć i rozwiązań potencjalnym partnerom

Znajdź nas na Facebooku!

www.forum-ekonomiczne.pl

kontakt:forum@isw.org.pl

eprasa.pl e6d6dc5680

Bocheński jako pretekst

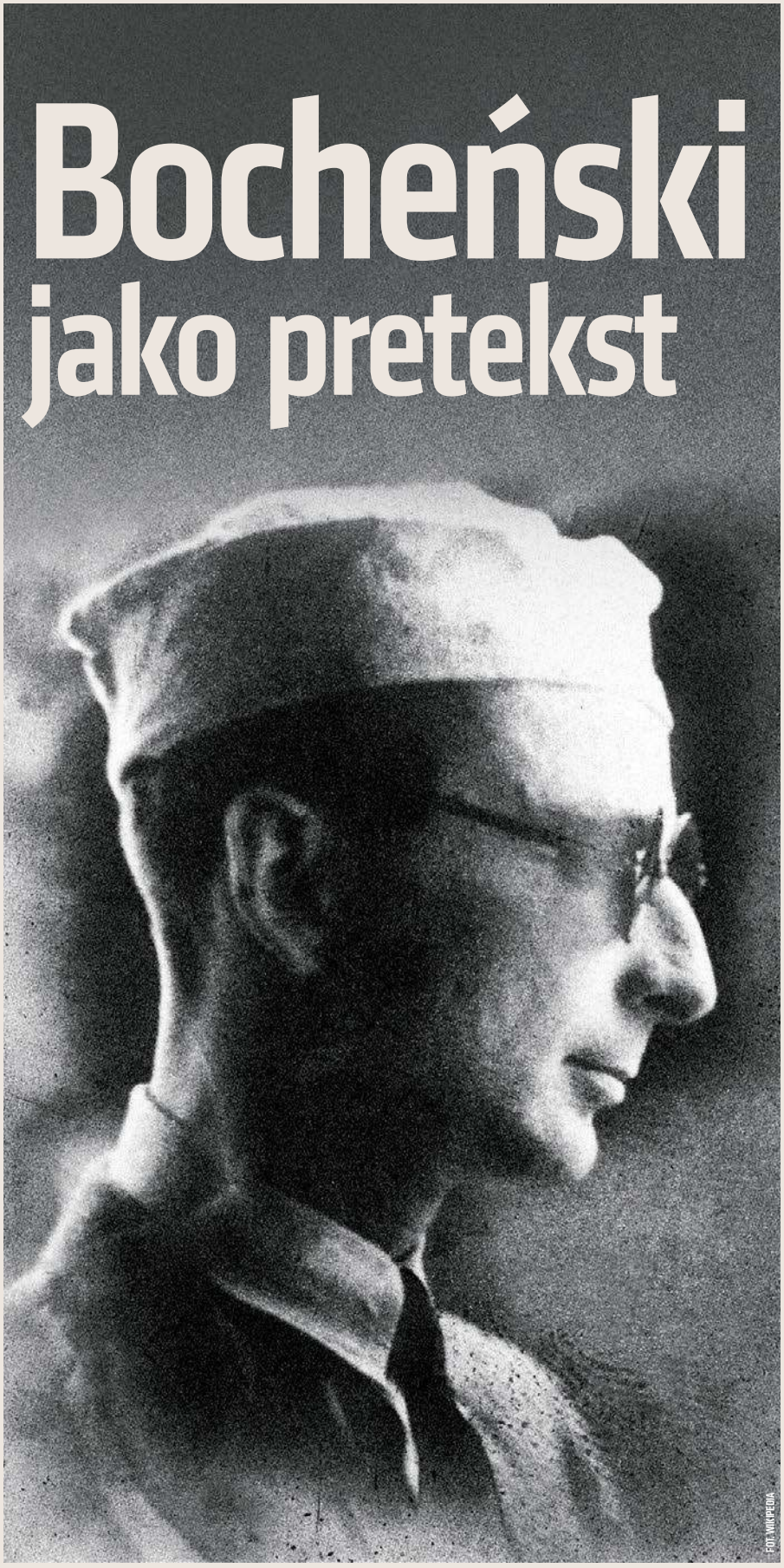

FOT. WIKIPEDIA

Sławomir Cenckiewicz

Stanisław Cat-Mackiewicz, pisząc o Adolfie Bocheńskim, odmalowuje dzieje Polski i mierzy się z całym zestawem polskich przesądów

Wiadomo, że Adolf Bocheński (1909–1944) był wielki! Jego fenomenem, zmysłem politycznym i publicystyką fascynował się niezliczony zastęp polityków przedwojennych, wojennych i powojennych. W tych dziesiątkach nazwisk fascynatów jego talentu – od Karola Zbyszewskiego, Jerzego Giedroycia, Stefana Kisielewskiego aż do Andrzeja Micewskiego, Marcina Króla i Kazimierza M. Ujazdowskiego – nie ma jednak prawdziwego depozytariusza jego politycznego testamentu.

KIM BYŁ?

O Adolfie Bocheńskim napisano już całkiem sporo. Wydano drukiem jego pisma, przybliżono biografię, publikowano wspomnienia rodzeństwa i przyjaciół. Od międzywojnia trwa ta fascynacja, której na dobrą sprawę nawet Polska Ludowa nie była w stanie pokonać, bo i wówczas o nim pisano. Bocheński marzył o stworzeniu „nowej nieendeckiej prawicy polskiej". Imperialistycznej i monarchistycznej, ale nie nacjonalistycznej. Wolnorynkowej i kapitalistycznej, ale nie etatystycznej! Wiemy, jakie to trudne, a może nawet niewykonalne zadanie w Polsce. Bocheński jednak próbował, nie wiedząc zapewne – jak twierdzi „Cat" – że „system selekcji w Polsce zawsze źle działał, więc człowiek wypowiadający rzeczy potrzebne w sposób najlepszy nie mógł u nas liczyć na poparcie". Dlaczego? Geniusz niemożliwy do naśladowania? Samorodek będący obcym ciałem wśród polskich romantycznych samobójców? „Wunderkind", czyli genialne dziecko o niepospolitej jaźni i inteligencji dorosłego mężczyzny? Być może... Jednak nade wszystko – jak chce autor recenzowanej, a nieskończonej biografii Adolfa Bocheńskiego – ofiara negatywnej selekcji ludzi w Polsce, których wpływ na polityczne losy Rzeczypospolitej jest niemal zawsze niewielki. No właśnie, woła Cat-Mackiewicz: „Gdyby selekcja ludzi

eprasa.pl e6d6dc5680

działała w Polsce tak, jak działać powinna, ten młody człowiek winien był być naszym ministrem spraw zagranicznych, a nie ginąć jako podporucznik pod Ankoną". „Kto za to winę ponosi? – pyta »Cat«. – Czy Polska, czy nasza polityczna kobieca emocjonalność, nieznosząca logicznego rozumowania, które reprezentował Bocheński w swojej publicystyce?". I właśnie o tym, a nie o biografii Bocheńskiego sensu stricto, jest ta wyjątkowa książka.

PRETEKST

Zwięzła książka Mackiewicza akcentuje główne wątki krótkiego żywota Bocheńskiego, ale wiemy, że nie to jest w niej najistotniejsze. Fascynuje „Cata" tajemniczy świat psychologii, dzieciństwa, relacji z rodzicami i rodzeństwem, doświadczenia oraz przeżycia religijnego, szkoły, studiów, pierwszej miłości, lektur, spotkania ze światem zachodnim... Wniknięcie w ten świat umożliwia bliższe zrozumienie fenomenu inteligencji i politycznego instynktu Adolfa, który wykształcił w sobie umiejętność beznamiętnej kalkulacji, jakby w ogóle nie urodził się i nie wychował w Polsce.

To wszystko jest ważne dla biografa i detalisty; historyka, który zgodnie z zasadami sztuki zbiera każdy szczegół, by poskładać z tego puzzle. Mackiewicz jednak kimś takim nie chce być i pochylając się nad Bocheńskim, korzysta z okazji, by odmalować dzieje Polski, nasze wady narodowe, błędy polityczne i konserwatywne środowisko ziemiańskie, które przegrało w zderzeniu z międzywojennymi molochami piłsudczyzny i endecji kształtującymi wyobraźnię polityczną Polaków w całym wieku XX. Jest to więc rozprawa (często polemiczna) z pozoru tylko o Bocheńskim, którego kolejne etapy dojrzewania historycznego i politycznego (w tym także lektury książek) służą „Catowi" za pretekst do rozprawy z polskim chciejstwem, megalomanią, bajkami o tolerancji religijnej, „przedmurzu chrześcijaństwa" i „Chrystusie Narodów", czyli z całym zestawem polskich przesądów.

CZTERY ELEMENTY

Znamienne, że kiedy Mackiewicz opisuje paryskie studia Bocheńskiego, to z godnym pozazdroszczenia znawstwem przybliża nam zawiłości francuskiej sceny politycznej, w tym wodza nacjonalistów francuskich – Karola Maurrasa i jego Action Française (także publicystykę tego ruchu). Jakże to wszystko jest fascynujące, kiedy piękną polszczyzną „Cat" roztrząsa kwestię wpływu europejskich myślicieli na Bocheńskiego i dochodzi do wniosku, że odrzucając nacjonalizm na rzecz imperializmu państwowego, był on „spadkobiercą oraz kontynuatorem czterech pisarzy, czterech kierunków myślowych, w tym dwóch cudzoziemców i dwóch Polaków"! Pisze Mackiewicz: „Pierwszym z cudzoziemców był Clausewitz, niemiecki pisarz wojskowy, o którym już wiemy, że Bocheński studiował go w dzieciństwie, ściślej: za czasów swego wunderkindostwa, który go nauczył, że wartość koncepcji równa się realizmowi koncepcji; drugim cudzoziemcem był Bainville właśnie – od tego nauczył się Bocheński zasady relatywizmu w polityce międzynarodowej, że państwo silne to państwo mające słabych sąsiadów, a państwo słabe to państwo mające silnych sąsiadów. Pierwszym z Polaków był Władysław Studnicki, od którego przejął Bocheński teorię, że w czasie walki z Rosją potrzebna nam jest współpraca z Niemcami, wreszcie drugim Polakiem był Piłsudski, a ściśle rzecz biorąc, memoriał Piłsudskiego złożony rządowi japońskiemu o możliwości i konieczności rozbicia Rosji na szereg państw samodzielnych. We wszystkich broszurach, książkach i artykułach Bocheńskiego znajdziemy zawsze te cztery elementy: Clausewitza, Bainville'a, Studnickiego i Piłsudskiego".

Sprawa ukraińska jest w doktrynie Adolfa Bocheńskiego jedynie wypadkową naszych relacji z Niemcami i Rosją

GEOPOLITYK PROROCZY

Być może to właśnie Clausewitz, Bainville, Studnicki i Piłsudski uczynili Bocheńskiego geopolitykiem. Dylemat trwania państwa między Niemcami a Rosją spędzał mu sen z powiek. Uznając Rosję (Sowiety) za twór niejednolity i niespójny, stał na stanowisku, że należy ją rozbić, wykorzystując do tego siły odśrodkowe (w tym nacjonalistyczne). To była naczelna idea Bocheńskiego. Szczególną rolę w tym planie mieli odegrać Ukraińcy. „Uznawał prawo Ukraińców – pisał »Cat« – do stworzenia własnego państwa, a nawet uważał, że im to państwo ukraińskie będzie większe, silniejsze i bardziej zbliżone do typu mocarstwa, tym dla Polski będzie lepiej, ponieważ tylko w ten sposób można rozbić potęgę rosyjską, a gdy Rosja rozpadnie się na Rosję właściwą i na Ukrainę, Polska w myśl zasady relatywizmu politycznego posunie się o jeden stopień dalej w pochodzie do mocarstwowości".

Rzecz jasna – sprawa ukraińska jest w doktrynie Bocheńskiego jedynie wypadkową naszych relacji z Niemcami i Rosją. Polska – jego zdaniem – nie mogła przetrwać skłócona z dwoma sąsiadami. Musiała więc szukać porozumienia i sojuszu z jednym z nich. Ze względów ustrojowych, klasowych, mniejszościowych i historycznych sojusz z Sowietami nie wchodził w rachubę. Sojusz z Niemcami był zatem nakazem chwili, ponieważ Bocheński uważał sojusz z Francją i Anglią za czysto papierowy. „Dola i niedola polityczna Polski jest uzależniona od stosunków pomiędzy Niemcami a Rosją – pisał Mackiewicz w recenzji książki Bocheńskiego »Między Niemcami a Rosją« w 1937 r. – Jeśli stosunki rosyjsko-niemieckie są dobre, jeśli istnieje współpraca polityczna niemiecko-rosyjska, to sytuacja Polski jest zła, katastrofalna, rozpaczliwa. Jeśli odwrotnie, stosunki pomiędzy Rosją a Niemcami są złe, jeśli wzbiera antagonizm lub wybucha wojna, sytuacja Polski staje się dobra, mocna, a nawet otwierająca nam mocarstwowe perspektywy".

Na przełomie lat 1938 i 1939 wielka koncepcja Bocheńskiego została ostatecznie pogrzebana przez Becka, który aż do tego czasu wydawał się naśladowcą koncepcji Studnickiego i Bocheńskiego. Polska wkroczyła na ścieżkę katastrofy dziejowej, przed którą Bocheński przestrzegał. Najczarniejszy ze scenariuszy wkraczał w fazę realizacji...

Pewnie dlatego tak często miał po 1939 r. powtarzać, że „uczciwy człowiek nie powinien przeżyć tej wojny". Szukał w pewnym sensie śmierci. Znalazł ją 18 lipca 1944 r. pod Ankoną, rozbrajając niemiecką minę...

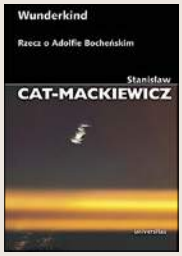

STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ „WUNDERKIND. RZECZ O ADOLFIE BOCHEŃSKIM" UNIVERSITAS 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

Filip Memches

Aksamitny fanatyzm

Polityka historyczna lewicy i liberałów skazana jest na porażkę, ponieważ za cel swoich ataków obrała to, co w trudnych dla Polski chwilach się sprawdziło: katolicyzm i poczucie tożsamości narodowej

Odrzućcie nacjonalizm i uznajcie kluczową rolę Niemiec w rozpowszechnianiu postępu cywilizacyjnego – zdaje się apelować do Polaków Iszkowski. Na zdjęciu: Otto von Bismarck, 1894 r.

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Kiedy kilka lat temu starałem się przekonać parę lewicowo i liberalnie nastawionych osób do stworzenia postępowej polityki historycznej, reakcją były zazwyczaj lekkie skrzywienie ust oraz wzruszenie ramion. Przeszłość jest dobra – słyszałem – dla konserwatywnych smutasów, naprawdę wartościowi i fajni obywatele interesują się tylko przyszłością".

Tak skarży się w pierwszych zdaniach książki „Ofiary losu. Inna historia Polski" jej autor Krzysztof Iszkowski. Ten socjolog, niegdyś dziennikarz, a potem szef Planu Zmian – think tanku Twojego Ruchu – postanowił więc wziąć sprawy w swoje ręce i dać odpór temu, co określa mianem „nacjonalistycznego zaczadzenia". Według Iszkowskiego powoduje ono, że Polacy mają fałszywy obraz przeszłości swojego kraju – widzą tylko bohaterów oraz męczenników – i głosują z tej przyczyny na polityków odwołujących się do poczucia dumy narodowej.

MORALISTYKA

W polityce historycznej – niezależnie od jej ideologicznego wektora – używa się moralistyki. Trzeba nieustannie wskazywać dobro i zło, ponieważ tym, co ma zadać ostateczny cios wrogowi, jest udowodnienie mu, że ma się nad nim moralną przewagę.

Stosunek Iszkowskiego do wszelkiej moralistyki jest odmienny. Próbuje się on od niej odciąć – także od tej, którą Polakom serwuje środowisko, wydawałoby się, ideowo mu bliskie, czyli „Gazeta Wyborcza". Autor „Ofiar losu" stawia sobie za cel opowiedzenie historii Polski poza dobrem i złem, z perspektywy kogoś, kto optuje za polityką „ciepłej wody w kranie". Patrzy na przeszłość w kategoriach skrajnie materialistycznych i redukcjonistycznych. I pod tym względem jego formuła „postępowej" polityki historycznej różni się od tego, co do głów Polaków wbijają wszelkiej maści etosowcy. Zdaniem Iszkowskiego jedynymi aktorami na arenie dziejów są jednostki ludzkie, „które samodzielnie, kierując się kalkulacją, instynktem lub emocjami, podejmują mniej lub bardziej sensowne działania. Wszystko inne: bogowie, narody, społeczne klasy i kasty, państwa, pieniądz i wielkie idee w rodzaju praw człowieka lub sprawiedliwości – istnieje jedynie we wspólnym wyobrażeniu ludzi".

Warto też zauważyć, że autor „Ofiar losu" przypisuje olbrzymie znaczenie w historii przypadkowi. Snuje zatem alternatywne scenariusze. Zastanawiając się jednak nad tym, co by było, gdyby dzieje Polski potoczyły się w różnych momentach inaczej, niż to było w rzeczywistości, bynajmniej nie zakłada, że musiałby to być zawsze wariant odpowiadający oczekiwaniom lewicy i liberałów.

Tak jest choćby wówczas, gdy mierzy się z kontrowersyjną tezą Piotra Zychowicza o sojuszu II RP z III Rzeszą przeciwko ZSRS. Przy czym bynajmniej nie przesądza o tym, co okazałoby się mniejszym złem: zimnowojenny podział z połową Europy kontrolowaną przez Kreml czy sytuacja, w której II wojna światowa zakończyłaby się zwycięstwem „faszystowskiej" koalicji nad Związkiem Sowieckim przy neutralnej postawie Francji i Wielkiej Brytanii.

Nasuwa się pytanie: Co powstrzymuje „antyfaszystę" Iszkowskiego przed rozstrzygnięciem tej wątpliwości na korzyść ZSRS? I tu powoli dochodzimy do sedna sprawy. Chodzi o swoistą słabość autora książki wobec Niemiec. Daje to o sobie znać ot, choćby we frapującym alternatywnym scenariuszu dotyczącym skutków bitwy pod Legnicą z roku 1241. I tak książę śląski Henryk II Pobożny, zamiast

eprasa.pl e6d6dc5680

zginąć, pokonuje Mongołów, a następnie jednoczy ziemie polskie po rozbiciu dzielnicowym – o blisko 80 lat wcześniej, niż to się stało faktycznie – i nawet staje przed szansą sięgnięcia po koronę Świętego Cesarstwa Rzymskiego. W ten sposób Polska zdążyłaby się usadowić w granicach, w których istnieje dziś, związać się z Europą Zachodnią, mieć swój udział w jej sukcesach (zdobycze kolonialne, rozwój przemysłu) i uniknąć kłopotliwej 600-letniej „ruskiej przygody", jaką w rzeczywistości okazała się za sprawą Jagiellonów obecność na Kresach.

Orientalizacja to ciążące na Polsce historyczne przekleństwo. Do takiego właśnie wniosku dochodzi Iszkowski i nie szczędzi ostrych słów ciążącej w stronę ziem ruskich demokracji szlacheckiej. Ma też rację, kiedy zauważa, że kiedy w Europie siła państw rosła wraz ze wzmacnianiem władzy królewskiej, w Rzeczypospolitej Obojga Narodów następował rozkład wspólnoty politycznej. Złoty wiek okazał się w istocie wiekiem pozłacanym.

Znamienne, że tego rodzaju opinie formułują obecnie w Polsce lewicowcy i liberałowie (wśród tych pierwszych na czoło wysuwa się socjolog Jan Sowa, autor głośnej książki „Fantomowe ciało króla", która zresztą jest w „Ofiarach losu" również przywoływana). Tymczasem w okresie zaborów formułowali je konserwatyści i nacjonaliści. To galicyjscy stańczycy piętnowali sarmacką przeszłość. To Roman Dmowski kreślił modernizacyjne wizje i marzył o zdezorientalizowanym państwie polskim w granicach piastowskich.

Nawiązywanie – choćby i mimowolne – przez kogoś o poglądach Iszkowskiego do myśli lidera endecji zakrawa na niespodziankę. Tyle że autor „Ofiar losu" zarzuca Dmowskiemu, że wzięły u niego górę uprzedzenia antyniemieckie i antyżydowskie, co miało sprawić, iż przed I wojną światową postawił on – przecząc własnej diagnozie – na sojusz z Rosją, którą bądź co bądź uważał za czynnik degradujący cywilizacyjnie Polaków.

Ponadto Iszkowski przedstawia lidera endecji jako użytecznego idiotę w rękach premiera Francji, Georgesa Clemenceau. Miałoby o tym świadczyć zainicjowane przez tego francuskiego polityka podczas konferencji wersalskiej upokorzenie Niemiec i użycie do tego m.in. Polski. Tymczasem – jak czytamy w książce – można było Niemcy potraktować bardziej podmiotowo, udobruchać je, zostawiając im nawet część terytoriów, które ostatecznie znalazły się w granicach II RP, i próbować już wtedy stworzyć Unię Europejską.

Tak wychodzą na wierzch utopijne złudzenia oraz ideologiczne obsesje Iszkowskiego. Sprowadzają się one do stosowania gdzie popadnie zabiegu znanego jako brzytwa Ockhama („Nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę"). Efekt? Interesy narodowe – jak te, które dzieliły Polaków i Niemców w Wersalu – traktowane są jako groźna, będąca źródłem krwawych konfliktów fikcja, ponieważ same narody nie są postrzegane jako realne podmioty życia politycznego. Przeważa pacyfistyczna mrzonka europejskiego społeczeństwa.

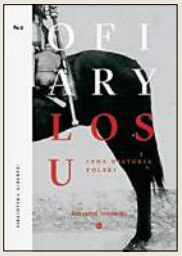

KRZYSZTOF ISZKOWSKI
„OFIARY LOSU. INNA HISTORIA POLSKI"
BIBLIOTEKA LIBERTE! 2017

WYMIERZONE W KATOLICYZM

Odrzućcie nacjonalizm i uznajcie kluczową rolę Niemiec w rozpowszechnianiu postępu cywilizacyjnego – zdaje się apelować do Polaków Iszkowski. Nie szczędzi też ciosów katolicyzmowi. Ubolewa nad tym, że reformacja w Rzeczypospolitej Obojga Narodów poniosła porażkę i w efekcie kalwinizm nie odegrał takiej roli jak w Holandii czy Szwajcarii, gdzie stał się zaczynem liberalnych, świeckich społeczeństw.

Wysuwany przez Iszkowskiego postulat mentalnego przesuwania się Polaków w kierunku zachodnim może się kojarzyć obecnie z importem lewicowych i liberalnych wzorców kulturowych – m.in. promocją patchworkowego modelu rodziny czy świeckością przestrzeni publicznej. Jeśli jednak darujemy sobie te skojarzenia, to wówczas wyłonią się endeckie tropy. Okaże się, że chodzi o kształtowanie nowej polskiej tożsamości, której nie będzie już obciążać jałowa tęsknota za kresowymi dworkami.

W tym kontekście zaskakujące jest, że teraz to nie nominalni endecy wydobywają z myśli Dmowskiego najbardziej wartościowe wątki, lecz robi to m.in. były szef think tanku Twojego Ruchu. Dzisiejsza Polska – czy to się komuś podoba, czy nie – stanowi jednolite etnicznie państwo w granicach piastowskich. Problem polega na tym, że jest ono spadkiem po PRL i dlatego ciąży na nim swoiste odium związane z utratą wschodnich ziem II RP, w tym tak ważnych historycznie dla Polaków ośrodków, jak Lwów czy Wilno.

Co się jednak stało, to się nie odstanie, więc w owych pojałtańskich rewolucyjnych zmianach trzeba szukać korzyści – choćby takich jak brak konfliktów etnicznych czy geograficzne przesunięcie ku najbardziej rozwiniętym gospodarkom Europy. Pojawiają się wyzwania na miarę modernizującego się, mieszczańskiego społeczeństwa, wobec których legendy o błędnych rycerzach wyprawiających się na dzikie pola, by nieść tam cywilizację łacińską, są anachronizmem.

Jednak to nie oznacza, że filarami nowej polskiej tożsamości mają być – jak chce Iszkowski – świeckość i narodowe wykorzenienie. Polacy przetrwali trudne okresy w dziejach, choćby okres zaborów, dzięki katolicyzmowi i swojemu nacjonalizmowi.

Z kolei afirmacja kalwinizmu jako wyznania sprzyjającego krytycznemu myśleniu, które stanowi przeciwieństwo katolicyzmu z rzekomo cechującym go tępym, „dogmatycznym" podejściem do rzeczywistości, nie znajduje podstaw historycznych i teologicznych. W tej kwestii Iszkowski szermuje ideologicznymi stereotypami.

Janowi Kalwinowi daleko było do tolerancji. W XVI-wiecznej Genewie, gdzie wdrażano jego idee religijne jako doktrynę teokratyczną, płonęły stosy. Natomiast trzeba przyznać jedno: kalwinizm, podobnie jak luteranizm, stał się zaczątkiem procesów sekularyzacyjnych w Europie. Ich zwieńczeniem jest świat, w którym ogłoszono „śmierć Boga", a wyemancypowany umysł stał się instancją orzekania o tym, co jest dobrem, a co złem. I tak teokracja pobożnych purytanów wyewoluowała ku quasi-teokracji lewicowych i liberalnych intelektualistów, wyznaczających m.in. granice prawa do życia.

Na tym tle trzeba odnotować, że Kościół katolicki odrzuca jedność tronu i ołtarza. W dawnej Polsce władzy świeckiej nieraz dostawało się od duchowieństwa za prowadzenie kraju ku przepaści. Ksiądz Piotr Skarga chłoszczący szlachtę za wyzysk chłopów nie był wyjątkiem. Być może ta niezależność ołtarza od tronu także przyczyniła się do tego, że w odróżnieniu od wielu krajów protestanckich chrześcijaństwo nad Wisłą zachowało po dziś dzień swoją żywotność. Jednak ten aspekt sprawy lewica i liberałowie radośnie ignorują. Reasumując, „postępowa" polityka historyczna Krzysztofa Iszkowskiego nie zdaje egzaminu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą Polskiego Radia 24.

eprasa.pl e6d6dc5680

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Cztery kule dla gestapowca

Szef siedleckiego Kripo SS-Sturmscharführer Heinrich Kraft miał pecha. 1 kwietnia 1944 r. odebrał zgłoszenie o napadzie na Powiatową Spółdzielnię Handlowo-Rolniczą. Jak mu doniesiono, napastnicy zrabowali kasę i uciekli w nieznanym kierunku. Dlatego gdy wybierał się na miejsce, nie spodziewał się kłopotów.

To miała być rutynowa interwencja. Kraft wziął ze sobą tylko jednego esesmana – uzbrojonego w pistolet maszynowy Alberta Mentza. Obaj Niemcy wjechali na dziedziniec spółdzielni czarnym mercedesem. Zaparkowali i skierowali się wprost do pomieszczeń biurowych. Nie zwrócili uwagi na wchodzącego za nimi, ubranego w proste, chłopskie ubranie, młodego mężczyznę. Mężczyzną tym był Witalis Skorupka, żołnierz AK o pseudonimie Orzeł.

„Byłem od nich oddalony o jakieś trzy, cztery metry góra – wspominał Skorupka. – Nie mówię »Hände hoch«, tylko od razu otworzyłem ogień do nich z mausera. Mauser był dziesięciostrzałowy. Przy tych dziesięciu strzałach miałem dziewiąty niewypał. Jeden Niemiec stał bokiem, drugi stał tyłem i ten, który miał automat, rzucił się na mnie. Złapał mnie za buty. Ja przyklęknąłem, oddałem strzał do niego, a ten w międzyczasie zaczął strzelać z automatu do mnie. Przestrzelił mnie kołnierz bekieszy".

Kraft zginął od razu – „Orzeł" wpakował w niego cztery kule. Mentza najprawdopodobniej dobił inny żołnierz AK, który przybiegł na miejsce. Co ciekawe, na szefa siedleckiego Kripo polskie podziemie już wcześniej wydało wyrok. 1 kwietnia 1944 r. wpadł jednak przez przypadek. Co ciekawe, gdy Niemcy zostali zawiadomieni o śmierci dwóch esesmanów, początkowo uznali to za primaaprilisowy żart.

Podwójna likwidacja w Siedlcach to jedna z 75 brawurowych akcji podziemia przedstawionych w książce „AK 75". Liczba jest nieprzypadkowa – w tym roku przypada 75. rocznica powstania Armii Krajowej. Autor, Wojciech Königsberg, jest znawcą polskiego podziemia, a zarazem świetnym popularyzatorem. Książkę czyta się jak powieść sensacyjną. Jednak to wszystko przecież wydarzyło się naprawdę! ©℗

★★★★★★

WOJCIECH KÖNIGSBERG
„AK 75"
ZNAK HORYZONT

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Garnitur od Barbakana

Przez większość życia Stanisław Przybyszewski żył z pożyczek, których nigdy nie oddawał, a „każde pieniądze nieprzepite wydawały mu się zmarnowane". Spotkał jednak na swojej drodze upartego wierzyciela, z którym spór ciągnął się ponad 20 lat.

W 1898 r. Przybyszewski zamówił garnitur u berlińskiego krawca, Władysława Barbakana. „Zapomniał" zapłacić i zaczął unikać rzemieślnika, a następnie na pewien czas przeprowadził się do Krakowa. Wierzyciel bywał jednak czasami w kraju i odwiedzając pisarza, prosił o uregulowanie rachunku, ten jednak pozostawał głuchy na jego sugestie.

> **Nie wiadomo, czy Przybyszewski myślał poważnie o Skałce, ale zaczął spłacać dług**

Po 11 latach (!!!) Barbakan oficjalnie zażądał pieniędzy (250 marek). Przybyszewski wymawiał się biedą, a cała sprawa stała się głośna w kręgach berlińskiej Polonii. W kawiarniach opowiadano dowcipy o głupocie krawca.

Barbakan nie był jednak bezbronny i w 1911 r. komornik zajął meble (plus perski dywan) w domu Przybyszewskich. Uderzenie było mocne, ale niecelne, gdyż właścicielką okazała się Jadwiga, żona pisarza, i wyposażenie powróciło do mieszkania. W zamian Przybyszewski został zmuszony do przedstawienia swojego majątku. Oczywiście wykazał, że nic nie posiada, a przy okazji dostało się upartemu krawcowi.

„To, co pan ze mną wyrabia – pisał do Barbakana – to już przechodzi pojęcie ludzkie. W oczach komornika Niemca, którego mi pan ustawicznie nasyła, czytam wprost zdumienie. […] Po śmierci artysty to takiego biedaka wieziecie na Skałkę i głupią hecę pogrzebanym urządzacie, a za życia dla głupich dwustu czy trzystu marek artystę polskiego na ciężki wstyd wobec niemieckich komorników wystawiacie".

Krawiec nie pozostał dłużny i odpisując Przybyszewskiemu, zauważył, że nie grozi mu pochówek na Skałce, albowiem „duchy leżących tam mężów, takiego towarzystwa by nie przyjęły".

Wprawdzie nie wiadomo, czy Przybyszewski myślał poważnie o Skałce, ale zaczął spłacać dług. Chociaż na przekazach pisał, że „od ust sobie odejmuje", to co miesiąc wysyłał 10 marek. Po wybuchu I wojny światowej zaprzestał jednak spłacania wierzyciela.

Zawaliło się cesarstwo Hohenzollernów i zdążyła powstać niepodległa Polska, a uparty krawiec dalej dochodził swoich należności. Sprawa zakończyła się ostatecznie w 1920 r. w Poznaniu, 22 lata od nieszczęsnego zamówienia. Stanisław Przybyszewski zmarł siedem lat później, 23 listopada 1927 r., a Barbakan był chyba jedynym człowiekiem, któremu udało się wyegzekwować od niego spłatę długu. ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

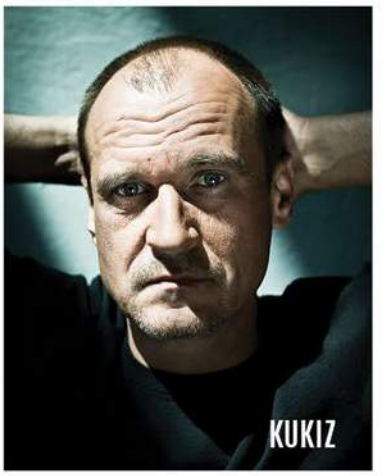

ORAZ ORKIESTRA SINFONIA VIVA POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY

WYJĄTKOWY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

11 GRUDNIA GODZ. 20.00

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00

KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

WSPÓŁORGANIZATOR

FINA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

MECENAT KONCERTU

PGNiG

LOTOS

Enea

PARTNERZY WYDARZENIA

LOTTO

centrum historii zajezdnia

Ośrodek Pomocy i Przyszłość

Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI

wprost

RZECZY

TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA

Classic

eprasa.pl e6d6dc5680

Z Rolfem Nikelem, ambasadorem Niemiec w Polsce
rozmawia Jacek Przybylski

Kwestia reparacji wojennych jest już zamknięta

FOT. JERZY DUDEK

eprasa.pl e6d6dc5680

JACEK PRZYBYLSKI: Po tym, jak szefowa resortu obrony Ursula von der Leyen wezwała do wspierania „zdrowego, demokratycznego oporu młodego pokolenia", władze w Warszawie zażądały wyjaśnień. Szef MON Antoni Macierewicz określił te słowa jako „skandaliczne", a szef dyplomacji Witold Waszczykowski nazwał je „próbą ingerencji w wewnętrzne sprawy naszego kraju". Nie sądzi pan, że dla dobra wzajemnych stosunków niemieccy politycy powinni unikać takich komentarzy?

ROLF NIKEL: W ostatnich dniach po obu stronach padło wiele słów związanych z tą wypowiedzią. Obie strony znają swoje stanowiska. I byłoby niemądre, gdybym jako dyplomata dodawał jeszcze cokolwiek do tej debaty.

Nie był to jednak pierwszy taki przypadek. Nawet kanclerz Angela Merkel stwierdziła w sierpniu, że w kwestii praworządności w Polsce „nie może trzymać języka za zębami". Co członkowie niemieckiego rządu chcą uzyskać za pomocą takich słów?

Mamy bardzo dobre relacje z Polską i chcemy, by w przyszłości nasze stosunki nadal świetnie się rozwijały. Sugerowałbym więc, aby nie przykładać zbyt wielkiej wagi do każdej wypowiedzi. Łączy nas wiele pozytywnych spraw. To na nich powinniśmy się koncentrować, a nie na wypowiedziach, które padają w konkretnych okolicznościach i wyrwane z kontekstu mogą być odbierane inaczej w Niemczech, a inaczej w Polsce.

Czy jako ambasador wysyła pan do Berlina sygnały, że takie wypowiedzi nie służą rozwojowi wzajemnych relacji?

Bardzo sumiennie relacjonuję to, co się dzieje w Polsce. Moim głównym zadaniem jest polepszenie wzajemnych stosunków, a to oznacza, że staram się tłumaczyć, co się dzieje po obu stronach. Wyjaśniam więc również w Berlinie, skąd biorą się takie, a nie inne komentarze w Warszawie. Staram się robić to jak najlepiej. I świetnie rozumiem reakcje w Polsce na wiele wydarzeń. Zarówno 1 sierpnia, w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, jak i 1 września, w rocznicę rozpoczęcia II wojny światowej, aby oddać należny hołd poległym, nakazałem flagi na naszej ambasadzie opuścić do połowy masztu. Chcieliśmy pokazać naszą empatię i ukazać, że zdajemy sobie sprawę z tego, jak ważne i bolesne dla narodu polskiego są te daty. Staram się również podkreślać znaczenie pozytywnych aspektów. Jestem ambasadorem w Polsce od trzech i pół roku. Spędzam tu niemal każdy urlop. Bardzo lubię ten kraj i mam w Polsce wielu przyjaciół. Czuję się z Polską związany nie tylko zawodowo, lecz także emocjonalnie, prywatnie.

Czy to znaczy, że w swoich raportach radzi pan, aby politycy przestali wreszcie mówić tego typu rzeczy?

Jestem ambasadorem. Składam raporty dotyczące sytuacji w Warszawie i staram się komunikować tutaj wiadomości z Berlina. Jesteśmy bliskimi partnerami i dyskutujemy na różne tematy. Wśród przyjaciół i sojuszników to normalne, że czasem – po obu stronach – padają słowa, które są interpretowane inaczej, niż było to zamierzone. Warto pamiętać, że zgadzamy się w wielu sprawach, tak jak np. w sprawie wzmocnienia obecności wojsk NATO na wschodniej flance, w kwestii sankcji wobec Rosji czy w wielu aspektach dotyczących brexitu.

Nie zgadzamy się w kwestii imigracji...

Nawet w tak trudnym temacie zgadzamy się już w tym, że należy wzmocnić granice Unii Europejskiej, pomóc krajom tranzytowym, walczyć z przemytnikami ludzi i wspólnie walczymy z tzw. route causes, to znaczy z przyczynami migracji, wspieramy porozumienie z Turcją, a także – miejmy nadzieję – z innymi krajami nad Morzem Śródziemnym. Nawet w tej trudnej kwestii w wielu obszarach się zgadzamy i na tym powinniśmy się koncentrować. Jesteśmy gotowi do negocjacji i chętni do poszukiwania rozwiązań, które będą satysfakcjonowały państwa członkowskie.

Kilka tygodni temu niemieckie władze odrzuciły jednak żądania polskiego rządu dotyczące zapłaty reperacji za II wojnę światową. Według ministra spraw wewnętrznych Mariusza Błaszczaka chodzi o bilion dolarów, a zdaniem szefa dyplomacji może nawet o więcej. Nie sądzi pan, że Niemcy są zarówno legalnie, jak i moralnie zobowiązane do naprawy wyrządzonych wówczas krzywd?

Nie ma żadnej wątpliwości, że Niemcy ponoszą moralną odpowiedzialność za potworne zbrodnie w Polsce podczas II wojny światowej. I celowo mówię tu o Niemcach, a nie o nazistach, ponieważ za tymi zbrodniami stali niemieccy żołnierze, którzy zabijali w imieniu Niemiec. To coś, co przyznajemy i co będziemy przyznawać w przyszłości. Trzeba o tym pamiętać i mówić prawdę o tym, co się wydarzyło, o sprawcach i o ofiarach, a także o patriotycznych czynach wielu Polaków.

Kwestia reparacji wojennych jest już jednak prawnie i politycznie zamknięta. Nasze władze w Berlinie wielokrotnie to podkreślały. Pomimo tragicznej przeszłości dziś jesteśmy partnerami w UE i w NATO. Chcemy budować wzajemne stosunki w oparciu o pojednanie i wspólnie przyczyniamy się do rozwiazywania niezwykle ważnych kwestii dotyczących Ukrainy, Rosji, ochrony wschodniej flanki, niestabilności w krajach na południe od Morza Śródziemnego, rosnącej siły Chin etc.

Według ekspertyzy Biura Analiz Sejmowych twierdzenie, że przysługujące Polsce roszczenia odszkodowawcze wygasły lub uległy przedawnieniu, jest nieuzasadnione.

Moglibyśmy prowadzić teraz bardzo długą dyskusję dotyczącą tego, która strona ma bardziej trafne ekspertyzy prawne w tej sprawie. Stanowisko rządu w Berlinie jest jednak jasne: z punktu widzenia prawa kwestia reparacji jest zamknięta.

Mówi pan o obowiązku dbania o prawdę historyczną, tymczasem w Niemczech wciąż niektórzy autorzy piszą o „polskich obozach śmierci". Wyższy Sąd Krajowy w Koblencji na początku listopada wydał przełomowy wyrok, nakazując stacji ZDF przeprosić za użycie tego terminu. Czy ambasada Niemiec mogłaby pomóc polskim władzom w walce z fałszowaniem historii?

Absolutnie tak. Osobiście interweniowałem już w dwóch tego typu przypadkach. W jednym przypadku wydawca podręcznika do historii w Bawarii wstrzymał dystrybucję, poprawił błąd i kolejny raz wydrukował już prawidłową wersję książki.

Polska ma prawo do prawdy. Użycie tego terminu jest niedopuszczalne, a jeśli ktoś to robi, to gdy tylko się o tym dowiadujemy, próbujemy z tym walczyć.

Nawet w przypadku największych niemieckich mediów, typu Deutsche Presse-Agentur?

Dziennikarze nie zawsze są ekspertami. Podręczniki przygotowują profesjonaliści, którzy powinni doskonale znać historię, i taki błąd nie ma prawa nigdy się w nich pojawić. W przypadku dziennikarzy czasem pojawia się problem z brakiem odpowiedniej skrupulatności. Istotne jest więc, aby powiedzieć im, jaka była prawda.

Rozumiem, że jest pan gotowy interweniować, jeśli takie kłamstwo znów pojawi się w niemieckich mediach?

Tak. Gdy widzę coś, co jest nieprawdziwe, to jasno o tym mówię.

eprasa.pl e6d6dc5680

W takim razie zapytam, jakie widzi pan trzy pozytywne rzeczy w relacjach niemiecko-polskich, które zdarzyły się już podczas rządów PiS?

Bardzo ważne jest wzmocnienie wschodniej flanki NATO. Doszło do niego przy istotnym wsparciu rządu w Berlinie, który zajął takie stanowisko, aby wyjść naprzeciw obawom władz w Warszawie. Niezwykle istotne były tegoroczne targi w Hanowerze, których Polska była współgospodarzem. To było bardzo ważne wydarzenie, podczas którego Polska mogła zaprezentować nie tylko swój potencjał gospodarczy, lecz także pokazać się jako kraj innowacyjny i rozwinięty technologicznie. Ponadto w zeszłym roku świętowaliśmy, poprzez wiele wyjątkowych wydarzeń, 25. rocznicę podpisania polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie.

Mógłbym wymieniać jeszcze wiele innych pozytywnych rzeczy, które zdarzyły się w ostatnim czasie we wzajemnych relacjach. Na przykład w tym roku polski minister finansów brał udział w charakterze obserwatora w szczycie G20 w Baden-Baden. Utrzymujemy też bliskie kontakty dotyczące polityki wobec Ukrainy.

Jest wiele obszarów, które pokazują, że mamy dobre relacje. Te zaś są kluczowe dla przyszłości Europy. Nie można mówić o przyszłości Europy bez dobrej współpracy między Berlinem a Warszawą.

Niektórzy europejscy liderzy – prezydent Francji rozmawiał o tym m.in. z kanclerz Niemiec – chcą jednak stworzenia Europy dwóch prędkości. W ramach tej wizji Polska czy Węgry byłyby odstawione na boczny tor. Może Polska nie będzie już wkrótce ważnym partnerem dla Niemiec?

Podczas rozmów o przyszłości Unii Europejskiej podkreślamy, że im większej liczby krajów będą dotyczyły nowe reformy, tym większe są szanse na sukces. Przyjęta w tym roku Deklaracja Rzymska wyznacza wyzwania, które stoją przed UE. Jednym z nich jest fakt, że w Unii już są formy elastycznej współpracy: przykładami mogą być strefa euro oraz Schengen. W obu przypadkach niektórzy mogą już być członkiem, a inni mogą dołączyć później, kiedy chcą i kiedy wypełnią kryteria członkostwa.

Co się tyczy strefy euro, Polska byłaby już pod wieloma względami gotowa do członkostwa w eurolandzie, ale przynajmniej na tym etapie nie chce tego robić.

Niemcy chcą inkluzywnej Europy, to znaczy: każdy może mieć możliwość uczestniczenia. Jesteśmy grupą 28, niedługo 27 suwerennych państw, które muszą ze sobą współpracować. Pojedynczo nie jesteśmy bowiem w stanie zmienić świata. Warto więc rozwijać Unię Europejską, dzięki której cieszymy się już ponad 70 latami pokoju. Możemy mieć wpływ na przyszłość świata, tylko jeśli będziemy współpracować. UE zawdzięczamy pokój i stabilizację oraz imponujący wzrost gospodarki. Musimy zabiegać o jej dalszej rozwój.

Co można więc zrobić, aby szybko poprawić relacje niemiecko-polskie?

Musimy dużo ze sobą rozmawiać. To już się dzieje. Jesteśmy w nieustannym kontakcie z przedstawicielami polskiego MSZ i innych ministerstw. Musimy też rozwijać współpracę między miastami partnerskimi, programy wymiany młodzieżowej i studenckiej, transgraniczną współpracę, np. policji obu krajów etc. Niezwykle istotny jest również rozwój relacji gospodarczych. W zeszłym roku obroty handlowe między naszymi krajami osiągnęły rekordowy poziom 100 mld euro. Wiele osób wie, że Niemcy są największym partnerem handlowym Polski. Niewiele wie jednak, że Polska jest już siódmym największym partnerem handlowym Niemiec. Tak świetne relacje handlowe są ważne nie tylko z punktu widzenia biznesowego, lecz również politycznego.

Nie ma żadnej wątpliwości, że Niemcy ponoszą moralną odpowiedzialność za potworne zbrodnie w Polsce. I celowo mówię tu o Niemcach, a nie o nazistach, ponieważ za tymi zbrodniami stali niemieccy żołnierze, którzy zabijali w imieniu Niemiec

Jest pan ekspertem w kwestiach bezpieczeństwa europejskiego. Jak duże po manewrach „Zapad" jest obecnie zagrożenie ze strony Rosji i jak Niemcy zamierzają współpracować z Polską, aby zmniejszyć ryzyko rosyjskiej interwencji?

Bardzo efektywnie współpracujemy ze sobą w ramach sojuszu północnoatlantyckiego. Przejęliśmy więcej odpowiedzialności w konsekwencji wzmocnienia wschodniej flanki NATO. Niemieccy żołnierze wchodzą też w skład Wielonarodowego Korpusu Północ-Wschód w Szczecinie. Niemcy są też jednym z „państw ramowych " NATO na Litwie, w których nasi żołnierze biorą istotny udział w operacji odstraszania Rosji na wchodzie NATO. Po decyzjach szczytów NATO w Walii i w Warszawie wschodnia flanka sojuszu jest dobrze zabezpieczona.

Polski rząd wyrażał nam wdzięczność za poparcie działań zmierzających do zabezpieczenia wschodniej granicy NATO, a także za sposób, w jaki władze w Berlinie podchodzą do wydarzeń na Ukrainie. Za pomocą tzw. porozumień mińskich – wspieranych m.in. przez Polskę – chcemy rozwiązać konflikt na Ukrainie metodami politycznymi. Niedawne manewry „Zapad" pokazały, jak bardzo ważna jest jedność wśród sojuszników, a także jak istotne jest wdrażanie postanowień NATO zawartych zarówno w Walii, jak i w Warszawie. Rosyjsko-białoruskie ćwiczenia potwierdziły, że nasza polityka jest słuszna.

Dlaczego w takim razie niemiecki rząd wciąż jednak popiera budowę omijającego Ukrainę i Polskę gazociągu Nord Stream 2? Zdaniem wielu wschodnioeuropejskich polityków oraz ekspertów to zagrożenie dla bezpieczeństwa NATO i Europy. Gazprom wielokrotnie używał bowiem gazu w charakterze broni politycznej.

To prywatny projekt, w który zaangażowane są nie tylko firmy z Niemiec, lecz także z innych krajów europejskich. Europa potrzebuje czystej energii, bezpieczeństwa energetycznego, a także jak najtańszej energii – wszystkie te kwestie muszą być brane pod uwagę. Oczywiście to przedsięwzięcie musi być zgodne zarówno z prawem krajowym, europejskim, jak i międzynarodowym. Musi być ono również prowadzone w taki sposób, aby chronić bezpieczeństwo krajów tranzytowych, takich jak Polska czy Ukraina.

Obecnie w Niemczech toczą się również dyskusje dotyczące Nord Stream 2.

W Niemczech trwa również dyskusja dotycząca ewentualnego zniesienia sankcji wobec Rosji. Jakie jest ryzyko, że nowa koalicja zdecyduje o ich zniesieniu?

Nie mogę spekulować na temat politycznego kształtu nowej koalicji rządzącej... Z punktu widzenia Berlina sprawa jest jasna: musimy utrzymać sankcje do czasu, aż porozumienie z Mińska zostanie w pełni wdrożone. Zniesienie sankcji lub ich utrzymanie zależy więc od samych Rosjan. Moim zdaniem gdyby nie niemiecki rząd, to tych sankcji już mogłoby nie być.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

PRENUMERATA

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ KSIĄŻKA „LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI"

TO KSIĄŻKA Z JEDNEJ STRONY O WSPÓŁCZESNYM KOŚCIELE, A ŚCIŚLEJ MÓWIĄC, O TYM, DLACZEGO WSPÓŁCZESNY KOŚCIÓŁ KATOLICKI CAŁKIEM INACZEJ PATRZY NA MARCINA LUTRA, NIŻ ROBIŁ TO W PRZESZŁOŚCI. TO TAKŻE KSIĄŻKA O HISTORII, KIM NAPRAWDĘ BYŁ MARCIN LUTER.

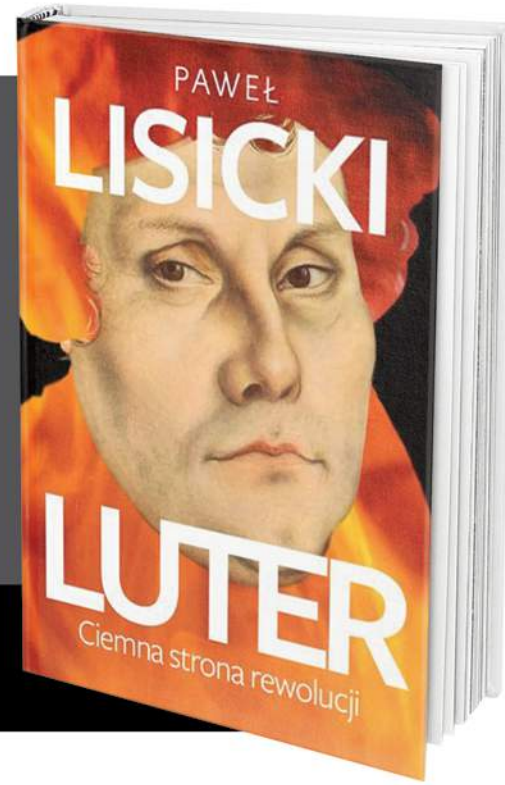

77 zł OSZCZĘDZASZ!

142 zł

PRENUMERATA DWULETNIA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ

YANOSIK TO NOWOCZESNY SYSTEM WZAJEMNEJ WYMIANY INFORMACJI MIĘDZY KIEROWCAMI. YANOSIK GTR POINFORMUJE CIĘ O ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ KONTROLACH PRĘDKOŚCI, WYPADKACH CZY REMONTACH DROGOWYCH.

490 zł

775 zł OSZCZĘDZASZ!

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e6d6dc5680

Teresa Stylińska

Czy książę Karol doczeka się korony? Do tej pory wydawało się, że w najbliższej przyszłości nie jest to możliwe, ale wydaje się, że coś zaczyna się na tym polu dziać

Osiągnąłem wiek emerytalny, a jeszcze nawet nie zacząłem pracować – dowcipnie, choć nie bez nuty sarkazmu zauważył kiedyś książę Karol, następca tronu Wielkiej Brytanii. Trudno odmówić mu racji. 14 listopada najstarszy syn królowej Elżbiety II kończy 69 lat. Gdyby był zwykłym poddanym swej matki, od czterech lat byłby emerytem.

To oczywiście nieprawda, że Karol nie zaczął pracować. Jest przecież, obok swej siostry Anny, najbardziej obciążonym obowiązkami członkiem rodziny królewskiej. Patronuje licznym organizacjom i stowarzyszeniom, uczestniczy w najrozmaitszych imprezach, otwiera spotkania, przecina wstęgi oraz odbiera parady wojskowe, nie mówiąc o podróżach zagranicznych, podczas których reprezentuje Wielką Brytanię. Wiadomo też, że uważnie śledzi wydarzenia, ma na ich temat swoje zdanie i w dodatku odwagę, by je wyrażać. Pracuje zatem, i to bardzo intensywnie. Jednak wszystko to są zajęcia uboczne, nie te najważniejsze, do których jest predestynowany z racji urodzenia.

Do tej pory nic nie wskazywało na to, by w sytuacji księcia w nieodległej przyszłości cokolwiek mogło się zmienić. A jednak na tym polu coś się chyba zaczyna dziać... W tym roku Karol po raz pierwszy złoży wieniec u stóp londyńskiego Cenotaphu (odpowiednika Grobu Nieznanego Żołnierza w innych krajach) podczas uroczystości Remembrance Sunday, 12 listopada. Przez 65 lat swego panowania Elżbieta II tylko sześć razy nie brała udziału w tak ważnej ceremonii, zawsze z istotnych powodów – albo podróży zagranicznych, albo stanu zdrowia, gdy spodziewała się dziecka. W tym roku formalny powód jest inny: książę Filip, który parę miesięcy temu zakończył pełnienie obowiązków oficjalnych, będzie przypatrywał się uroczystościom z wysokości balkonu w Foreign Office, a królowa chce być u jego boku. Nawet jeśli jest to – a pewnie jest – prawdziwa przyczyna, może jednocześnie zwiastować zmiany.

KRÓLOWA NA POSTERUNKU

We wrześniu tego roku książę Karol pobił szczególny rekord: czasu pozostawania w roli księcia Walii. Do tej pory palmę pierwszeństwa dzierżył jego prapradziadek – Edward VII, najstarszy syn królowej Wiktorii, który był księciem Walii przez 59 lat, 1 miesiąc i 14 dni. Jednak przed Karolem jest również drugi, bardziej znamienny rekord: jeżeli w końcu zostanie królem, to zasiądzie na tronie jako najstarszy władca w historii Wielkiej Brytanii. Jak długo będzie panował i z jakim skutkiem, to zupełnie inna sprawa.

W tej sytuacji oczywiste staje się pytanie: Dlaczego królowa, która w kwietniu tego roku skończyła 91 lat, nie decyduje się na abdykację? Byłby to krok tym bardziej zrozumiały, że w europejskich rodzinach królewskich takie rozwiązanie kwestii sukcesji stało się ostatnio właściwie normą. Tronu zrzekli się monarchowie w Holandii, Hiszpanii, Belgii i Luksemburgu. Nowi władcy tych krajów są sporo młodsi od Karola, a jednak żaden z nich nie musiał czekać tak długo jak on.

Księcia

Dlaczego zatem Elżbieta II nie idzie w ślady innych koronowanych głów? Królowa nie musi wyjaśniać, czym się kieruje, i oczywiście tego nie robi, pozostaje zatem snucie domysłów, wspierane przez strzępy informacji docierające z dworu. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie brzmi następująco: królowa traktuje swoją pracę w kategoriach służby dla kraju. Skoro wstępując na tron, złożyła przysięgę, że służyć będzie Brytanii aż do śmierci, to abdykacja oznaczałaby sprzeniewierzenie się powinnościom. Ani wiek Karola, ani jego cechy charakteru, ani to, jak odnoszą się do niego przyszli poddani, nie mają tu nic do rzeczy.

Wpływ na decyzję królowej ma zapewne i szczególna struktura Zjednoczonego Królestwa, i to, że jej panowanie to czas rozpadu potężnego imperium. Samo państwo brytyjskie też bowiem zagro-

FOT. JANE BARLOW/EAST NEWS

eprasa.pl e6d6dc5680

Karola gra o tron

żone jest rozpadem. Ewentualna secesja Szkocji, tendencje odśrodkowe w Walii, pragnienia północnoirlandzkich katolików, którzy nie wyzbyli się myśli o połączeniu z Irlandią – wszystko to wymaga istnienia mocnego zwornika, stabilnego punktu odniesienia i oparcia w przeszłości. Taką właśnie funkcję pełni królowa również dlatego, że w życiu większości swych poddanych obecna była zawsze. Jednak czy uda się to jej następcy?

W jakiejś mierze podobnie mają się sprawy z Commonwealthem – Wspólnotą Narodów, która jako forum współpracy dawnych brytyjskich kolonii jest ostatnią widomą pozostałością po imperium. Elżbieta II jest głową 16 spośród 52 państw Wspólnoty. Jej obecność hamuje tendencje republikańskie, ale w przyszłości, gdy Elżbiety zabraknie, mogą się one nasilić. Nawet jeśli nie ma to większego znaczenia praktycznego, to liczy się w wymiarze symbolicznym.

WILHELM MUSI POCZEKAĆ

Podczas gdy królowa jest przez poddanych szczerze kochana, książę Walii popularnością nie dorównuje nie tylko matce, lecz także swym synom. Z sondaży przeprowadzanych przez instytuty badania opinii publicznej wynika, że o ile William i Harry budzą ciepłe uczucia u ogromnej większości, bo mniej więcej u 75 proc. Brytyjczyków, o tyle tylko jedna trzecia pytanych chciałaby widzieć księcia Karola na tronie. Na podejściu do niego fatalnie odbiło się zauroczenie Brytyjczyków księżną Dianą, pierwszą żoną Karola, bo brytyjska opinia publiczna zawsze twardo stała po jej stronie. Cóż z tego, że w tym związku zdradę miały na sumieniu obie strony? To, co Dianie, czarującej, nieszczęśliwej i umiejętnie trafiającej do ludzi, Brytyjczycy wybaczali, w przypadku poważnego, nieco kostycznego Karola surowo potępiali.

Książę nie jest więc pupilkiem opinii publicznej, ale z drugiej strony uczucia wobec niego podlegają nieoczekiwanym fluktuacjom. Ślub z Camillą Parker Bowles wiosną 2005 r. Brytyjczycy przyjęli z ogromną niechęcią. Za to pamiętne wystąpienie Karola podczas wielkich obchodów diamentowego jubileuszu królowej z 2012 r., utrzymane w ciepłym, osobistym tonie, spowodowało wyraźny przypływ sympatii do księcia. „Wasza Wysokość, mamo" – mówił Karol. I to, że przemawiał trochę oficjalnie, ale bardziej jak syn, powszechnie się podobało.

Być może właśnie niepopularność Karola w połączeniu z ciepłymi uczuciami dla jego starszego syna Williama – którego raczej należałoby nazywać Wilhelmem – sprawiła, że już od dawna trwają spekulacje, iż to on mógłby zostać królem po swej babce. Taki pomysł, nieoparty na żadnych racjonalnych przesłankach, trudno wyjaśnić inaczej niż niezmiennym oddziaływaniem mitu Diany, który opromienia także jej synów. Sęk w tym, że takiej koncepcji nie da się zrealizować. Przejęcie tronu przez Williama z pominięciem jego ojca jest niemożliwe z przyczyn prawnych. Zasady sukcesji mówią jasno, że tron obejmuje bezpośredni następca monarchy. Nawet gdyby królowa chciała przekazać tron wnukowi, nie mogłaby tego zrobić. Jej sukcesorem może być tylko król Karol III.

Władca o takim imieniu zasiadłby na tronie brytyjskim po raz pierwszy od 350 lat – chyba że Karol, idąc w ślady wielu swych przodków, wybrałby inne imię spośród tych, które nadano mu na chrzcie: Karol Filip Artur Jerzy. Wielu mu to doradza, przypominając fatalne losy obu poprzednich Karolów Stuartów, z których pierwszy zakończył życie na szafocie.

OBROŃCA KAŻDEJ WIARY

Autorzy licznych biografii księcia, a także znawcy tematyki monarchii od dawna już snują rozważania, jakim Karol będzie królem. Chociaż zainteresowania księcia są doskonale znane, trudno powiedzieć, jak przełożą się one na działania monarchy. Ochrona środowiska (ulubiony temat współczesnych władców, pewnie dlatego, że nośny i w miarę bezpieczny przy ograniczeniach, jakim podlegają), architektura i kształtowanie przestrzeni, wreszcie sprawy religii – te dziedziny wydają się najważniejsze.

Weźmy religię. Karol, jak mówią bliscy mu ludzie, jest człowiekiem głębokiej wiary, i nie chodzi tylko o religię oraz praktyki, w jakich został wychowany. Według jednego z jego biografów chce, by oficjalny królewski tytuł – Defender of the Faith – został zastąpiony przez Defender of Faith. To, wbrew pozorom, zmiana fundamentalna. Usunięcie małego słówka „the" oznacza, że król z obrońcy wiary konkretnej, anglikańskiej – monarcha, przypomnijmy, jest zwierzchnikiem Kościoła Anglii – staje się obrońcą wiary jako takiej. Karol już chyba nim jest, bo okazuje szacunek wszystkim wyznaniom: uczestniczy w mszach katolickich, utrzymuje bliskie kontakty ze światem prawosławia, życzliwie mówi o islamie i judaizmie. Na tym polu, jak zauważył lord Carey, były arcybiskup Canterbury, „wytycza nowe obszary".

O charakterze księcia świadczy również to, co niechętni mu nazwali „aferą z listami". Przed dwoma laty ujawniono treść 27 listów, jakie Karol wysłał niegdyś do premiera Tony'ego Blaira i kilku ministrów w jego rządzie. Chociaż ujawnienie ich miało pokazać, że książę, wbrew zasadom, miesza się do spraw, w które rodzina królewska nie ma prawa ingerować, to cała ta sprawa wcale mu nie zaszkodziła. Przeciwnie: pokazała czarno na białym, że Karol jest bacznym obserwatorem wydarzeń z różnych dziedzin: od ekologii do obronności, i że troszczy się o obywateli. W jednym z listów, wysłanym po inwazji na Irak, pytał np., czy brytyjscy żołnierze w tym kraju mają należyty ekwipunek.

Wydaje się zresztą, że pozycja Karola powoli się umacnia – na dworze i poza nim. We wrześniu wygrał starcie, które BBC nazwała „walką o władzę w pałacu": doprowadził do ustąpienia najbliższego doradcy królowej, Christophera Geidta, który m.in. zajmował się kwestią sukcesji i rozłożenia władzy, proponując rozwiązania nie po myśli księcia. Królowa rozpoczęła też starania, by Karol zajął jej miejsce na czele Commonwealthu. A latem tego roku dziennik „Daily Mail" doniósł, że Elżbieta mimo wszystko myśli o abdykacji, którą ogłosiłaby za cztery lata, w dniu swych 95. urodzin. Chociaż lepszą okazją – i bliższą – byłyby raczej urodziny księcia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

Z Gian Franco Svidercoschim, włoskim watykanistą, autorem książki „Papież, który zapalił świat”
rozmawia Piotr Włoczyk

Franciszek w oblężonej twierdzy

PIOTR WŁOCZYK: Czy Jan Paweł II rządził Kościołem jak monarcha, a Franciszek jest w tej kwestii demokratą?

GIAN FRANCO SVIDERCOSCHI: Tak mogłoby się wydawać, ale rzeczywistość jest inna. Jan Paweł II delegował zadania, prowadził mediacje między kardynałami, przekazywał swoim najbliższym współpracownikom znaczną odpowiedzialność, choć ostatecznie to on sam decydował w najważniejszych kwestiach. Jan Paweł II sprawował swoje rządy w sposób zdecydowany, ale na pewno bardziej kolegialny.

Czyli to jednak Franciszek rządzi jak monarcha? Nie za bardzo pasuje to do jego medialnego wizerunku.

Obecny papież jest bardziej autorytarny w swoich działaniach. Franciszek w wywiadach mówi o rządzeniu kolegialnym, o towarzyszeniu Kościołowi, słuchaniu i harmonizowaniu, jednak praktyka jest inna. Jeżeli Franciszek napotyka na jakimś odcinku opór, to raczej można mieć pewność, że postawi na swoim. Mogłoby się wydawać, że papieżowi zależy na decentralizacji w Kościele, ale na razie, chcąc wprowadzać swoje reformy, ten papież gromadzi władzę w swoim ręku. To jest lekki paradoks, ponieważ faktycznie to o Janie Pawle II zwykło się myśleć, że sprawował władzę żelazną ręką.

FOT. PACIFIC PRESS/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Czym pan tłumaczy ten paradoks?

Być może wynika to częściowo z doświadczeń Franciszka, gdy był prowincjałem jezuitów w Argentynie. Zresztą on sam nieraz tłumaczył, w jak trudnej sytuacji wtedy był. Część podległych mu jezuitów chciała się żenić, a inni chcieli chwytać za karabin. Franciszek musiał wówczas sprawować rządy w zakonie mocną ręką, żeby stłumić te buntownicze nastroje. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo niepopularne to było wśród podległych mu zakonników. To właśnie wtedy Jorge Bergoglio nauczył się pełnego wykorzystywania swojej władzy.

Po części wiąże się to też z okolicznościami ostatniego konklawe. Kardynałowie dali Franciszkowi do zrozumienia, że ma mocny mandat do odnowy Kościoła i do zreformowania Kurii Rzymskiej. Franciszek czuje się tak bardzo zobligowany do przeprowadzenia reform, że kiedy nie jest mu z kimś po drodze, potrafi działać bardzo bezpardonowo. Tak było choćby z uważanym za konserwatystę kard. Gerhardem Müllerem.

Latem to była głośna sprawa. Papież nie przedłużył kard. Müllerowi mandatu na stanowisku prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Mówiło się o dużych rozbieżnościach w kwestiach doktrynalnych między nim a Franciszkiem.

Papież powiedział wtedy kard. Müllerowi „do widzenia” i po prostu go zwolnił. Ta historia stała się potem jednym z przyczynków do napisania głośnego listu 62 duchownych katolickich i teologów, w którym papież wzywany był do korekty kursu.

eprasa.pl e6d6dc5680

Głównym problemem była tu jednak kwestia komunii świętej dla osób rozwiedzionych i żyjących w nowych związkach. To musiało wywołać reakcję tradycjonalistycznych kół. List 62 katolików łączy się oczywiście z wcześniejszym listem czterech kardynałów. Bardzo brakuje tu wyjaśnienia ze strony papieża.

Dlaczego papież nie rozwieje raz na zawsze wszelkich wątpliwości co do tej kwestii?

Ponieważ Franciszek to papież jezuita. Wyrósł w tym nurcie i ważne są dla niego kultura spotkania oraz niewchodzenie w ostre spory. List czterech kardynałów nie spotkał się do tej pory z odpowiedzią, ponieważ papież nie chciał najwyraźniej zaogniać sytuacji. Teraz, po liście 62, jestem przekonany, że papież w końcu odniesie się do tych pytań. Ta sprawa zbyt już nabrzmiała, żeby Franciszek dalej milczał.

Niektórzy jednak podejrzewają, że papież nie odnosi się do wątpliwości, ponieważ zamierza zmienić doktrynę małymi kroczkami.

Nie wierzę, że papież ma takie intencje. Niedługo będziemy obchodzić 50. rocznicę publikacji encykliki Pawła VI „Humanae vitae". Nie wszyscy pamiętają, że również wtedy doszło do wielkiej polemiki. Część duchownych dopuszczała antykoncepcję, a część nie. Wytworzyło się zamieszanie, które jednak zostało wyjaśnione.

Franciszek na pewno nie będzie chciał dopuścić do takiego rozdźwięku, że przykładowo w diecezji rzymskiej osoby rozwiedzione będą mogły rozpoczynać drogę wiodącą do pojednania i Eucharystii, a w diecezji filadelfijskiej, na której czele stoi konserwatysta, takiej możliwości nie będzie. Jestem przekonany, że papież zadba o jedność i uniwersalność Kościoła, choć na razie brak odpowiedzi na te ważne pytania faktycznie nie wygląda dobrze i na pewno nie jest przejawem miłosierdzia ze strony głowy Kościoła.

W którą stronę to zostanie wyjaśnione?

Papież jasno dał do zrozumienia, że wszystko zależy od indywidualnych sytuacji poszczególnych par. Zależy mu na tym, by w tej sprawie nie było odgórnych zakazów ani nakazów, które nie zawsze sprawdzają się w życiu.

Czy to jednak nie grozi Kościołowi schizmą? Część publicystów katolickich wieszczy faktyczny rozpad wspólnoty katolickiej na tradycjonalistów i progresistów.

Nie widzę takiego zagrożenia, choć faktycznie Franciszek popełnił błąd, tak, a nie inaczej podejmując ten temat. Zabrakło tu klarowności.

W opinii Franciszka jest to jednak powrót do Ewangelii. Na Ewangelię nałożyły się przez te dwa tysiące lat prawa i sformalizowane zalecenia. Papież podkreśla, że Kościół musi się zmienić. Musi przestać skupiać się wyłącznie na sobie i musi wyjść do ludzi. Niektórzy mówią, że to doktryna jest najważniejsza i to jej należy się trzymać za wszelką cenę. Franciszek zaznacza jednak, że Kościół nie może się zachowywać jak zimna macocha, tylko musi w miłosierdziu przyjść do ludzi i starać się zrozumieć każdą sytuację indywidualnie.

Jak przebiega reformowanie Kurii Rzymskiej, na którym tak bardzo zależy Franciszkowi?

Reforma Kurii Rzymskiej ma polegać na tym, że nie będzie ona służyć papiestwu, ale całemu Kościołowi. Jak można się było spodziewać, Kuria Rzymska bardzo przeciwstawia się zmianom. Są to ludzie, którzy obawiają się o swoje przywileje, dlatego ta reforma przebiega tak wolno.

Papież coraz bardziej czuje się w Watykanie jak w oblężonej twierdzy. Żeby pokazać to na konkretnym przykładzie: kiedyś Franciszek miał w zwyczaju jadać posiłki na samym środku stołówki w Domu Świętej Marty. Papież wybierał środkowy stół, a ludzie się do niego po prostu dosiadali i rozmawiali z nim swobodnie. Tak się zresztą zrodziło wiele karier i nominacji.

Teraz jest inaczej. Papież spożywa posiłki w rogu przy swoim stole, otoczony swoimi najbliższymi współpracownikami, i siedzi plecami do pozostałej części sali. To chyba bardzo wiele mówi o tamtejszej atmosferze.

Jak ta reforma wygląda pod względem instytucjonalnym?

Kilka rad połączono w jedno ciało, np. Radę ds. Świeckich włączono do Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia. Miało to przynieść oszczędności, ale to połączenie nie wpływa dobrze na ich działanie. Tak samo stworzono jeden wielki Sekretariat ds. Komunikacji Stolicy Apostolskiej, gdzie zgromadzono m.in. „L'Osservatore Romano", Radio Watykańskie, centrum telewizyjne, a nawet księgarnię. Sprawia to jednak wrażenie, że ktoś specjalnie to zrobił, by wszystkie te media prezentowały jedną myśl. Czy taka reforma będzie służyć Kościołowi? Można w to wątpić.

GIAN FRANCO SVIDERCOSCHI „PAPIEŻ, KTÓRY ZAPALIŁ ŚWIAT" ZNAK 2017

Franciszek słucha głosów krytycznych?

Słucha, ale jest tak bardzo skoncentrowany na swoich ideach, że chyba nie bierze ich poważnie pod uwagę.

Jakie były te cztery lata Franciszka?

Bardzo trudno jest jednoznacznie ocenić ten pontyfikat. Papież otwiera tak wiele nowych dróg, że potrzeba dużo czasu, by ocenić rzeczywisty efekt reform Franciszka. Jedno możemy powiedzieć z całą pewnością: to już na pewno nie jest ten sam Kościół co cztery lata temu.

Papież, który został wybrany, aby zreformować Kościół i zreorganizować Kurię Rzymską, stał się szybko punktem odniesienia także dla polityki światowej, o czym świadczyć może choćby jego rola w negocjacjach między Kubą a USA. To pokazuje też, jak bardzo brakuje na świecie polityków wielkiego formatu, skoro angażuje się w takie sprawy papieża.

Zaangażowanie polityczne Franciszka przekłada się bardzo realnie na życie zwykłych ludzi. Wystarczy przypomnieć jego udział w zakończeniu wojny domowej w Kolumbii. Tutaj jednak pojawia się wątpliwość, czy u papieża, który tak bardzo angażuje się politycznie i społecznie, sprawy duchowe nie schodzą przypadkiem na drugi plan. Na pewno żaden z poprzedników Franciszka nie wzbudzał tak wielkich kontrowersji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. EAST NEWS

Gian Franco Svidercoschi *– (ur. 1936) jest włoskim watykanistą o polskich korzeniach, autorem wielu książek na temat historii Kościoła. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka o papieżu Franciszku.*

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. FOTOLIA

CIĄŻA Z NIEZNAJOMYM

W Polsce TVN emituje „Ślub od pierwszego wejrzenia" i wydawało się to kontrowersyjne. Co powiedzieć jednak na to, że duńska telewizja przygotowuje się właśnie do emisji nowego reality show zatytułowanego „Ciąża z nieznajomym"? Uczestniczki tego programu będą wybierać zestaw cech, które ich zdaniem powinien mieć ojciec ich dziecka. Potem „eksperci" dobiorą najlepszego dla nich partnera, a ten odda nasienie do zapłodnienia nieznajomej i zobowiąże się m.in. do opieki nad dzieckiem do osiągnięcia pełnoletności. Program ma być duńską odpowiedzią na zmieniający się model rodziny. Tylko czekać na kolejne formaty, tyle jeszcze tematów: aborcja, eutanazja...

NARODOWY OBOWIĄZEK GWAŁCENIA

Znany egipski prokurator Nabih al-Wahsh podczas transmitowanego przez telewizję panelu publicznego wypowiedział się na temat moralności kobiet. Tłumaczył, że „dziewczyny" muszą się same szanować, aby w ogóle inni je respektowali. Po czym dorzucił, że te, które chodzą w modnych podartych dżinsach, powinny być gwałcone w ramach „narodowego obowiązku", ponieważ one same prowokują mężczyzn. Dodał też, że gdyby jego córka zdecydowała się założyć rozprute spodnie, także zasługiwałaby na gwałt.

ARABSKI PLAC ZABAW W BERLINIE

Na jednym z berlińskich osiedli powstaje plac inspirowany kulturą arabską. Pomysł łączenia miejskich stref z islamem budzi wśród mieszkańców mieszane uczucia. Niektórzy uważają, że pieniądze publiczne nie powinny być wydawane na cele socjalne związane z islamem. Inni twierdzą z kolei, że przy tak sporym odsetku obcokrajowców plac zabaw może im pomóc lepiej zintegrować się ze społeczeństwem. Ci powinni koniecznie obejrzeć nagranie z wizyty duńskiej minister do spraw migracji w ośrodku dla imigrantów. Widać na nim, jak przyjaźni uchodźcy chcieli zaciskać więzy ze społeczeństwem i z samą minister, która musiała ostatecznie salwować się ucieczką.

NAJDROŻSZA PODRÓBKA

Jakiś czas temu informowaliśmy w tej rubryce o chińskim milionerze, który zapłacił astronomiczną kwotę za jeden mały kieliszek whisky. Zapłacenie 7,5 tys. funtów za łyk alkoholu wydawało nam się już samo w sobie kuriozalne, ale – jak to czasem bywa – rzeczywistość przerosła nasze wyobrażenia. Okazało się bowiem, że milioner nabrał podejrzeń, iż poczęstowano go nie tak dobrym trunkiem, za jaki zapłacił. Miał otrzymać kieliszek alkoholu z 1878 r., a po przesłaniu próbek naukowcom z uniwersytetu oksfordzkiego okazało się, że milioner najprawdopodobniej dostał whisky z lat 70. XX w. Szwajcarski hotel, który częstował wyszukanym trunkiem, już zwrócił milionerowi pieniądze. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Sodoma i Gomora

W skandalu, który obnażył nieskomplikowane mechanizmy castingu w The Weinstein Company, obrzydliwe jest wszystko. Nie tylko Harvey Weinstein, lecz także cały Hollywood, który doskonale wiedział, co się dzieje, zresztą nie tylko w The Weinstein Company, ale milczał. Chodzi o ludzi znanych, podziwianych i bogatych, którzy bardzo lubią oceniać innych, wyrokować, co słuszne, a co nie, i protestować przeciw wszelkiemu złu tego świata. Oczywiście nie temu złu pod nosem. Hipokryzja walczy o lepsze z tchórzostwem, a decyduje fotokomórka.

Teraz, gdy mleko się rozlało, gdy odwaga jest tania, mamy do czynienia z masowym, międzynarodowym „coming outem". Podniósł się ogromny wrzask w mediach. Można podejrzewać, tak jak publicysta oraz naczelny włoskiego dziennika „Libero" Vittorio Feltri, że skargi gwiazd i gwiazdeczek na wykorzystywanie seksualne stały się modne, a brak takiego przykrego incydentu w CV staje się poważną skazą wizerunkową.

W Italii z rozpędu „comingoutował się" nawet młody obiecujący pisarz. Skarżył się, że znana, starsza pani krytyk obiecała mu w zamian za usługi seksualne entuzjastyczną recenzję na dwie strony w prestiżowym piśmie literackim.

Ludzie, którzy wykorzystują w ten sposób zależność zawodową, powinni być karani i chodzić w czapce hańby, ale mamy tu do czynienia z ciemną stroną natury, i to nie tylko ludzkiej. Amerykanie zrobili eksperyment: małpy w zamian za pracę otrzymywały żetony, by potem wymienić je na smakołyki. Zaobserwowano, że pracują tylko samce, ale to samice mają żetony. Rozciągnięto więc obserwację na noc. I okazało się, że samice świadczą usługi seksualne płatne w żetonach. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl e6d6dc5680

„Lepsze" jest wrogiem dobrego

Wolne niedziele dla handlu nie oznaczają wolnych niedziel dla produkcji. W mojej branży oznaczać mogą nawet konieczność wprowadzenia w niedziele drugiej zmiany. Dostawy na poniedziałek zapewne będą zwiększone, z uwagi właśnie na wolną niedzielę i konieczność zrobienia dodatkowych zakupów w poniedziałek. Także branża produkująca świeżą żywność na pewno musi się przygotować na bardziej intensywną pracę, paradoksalnie – w niedzielę, aby móc prawidłowo zrealizować zamówienia – przekonuje Artur Rytel, prezes zarządu Green Factory.

FOT. PIOTR WANDREK/ZELAZNASTUDIO.PL

ANNA SZYMCZAK: Sejmowa Komisja Polityki Społecznej i Rodziny przyjęła projekt ustawy ograniczającej handel w niedziele. Jak Pan ocenia propozycje zawarte w projekcie?

ARTUR RYTEL: Ograniczenie handlu w niedziele wcale nie gwarantuje wolnych niedziel dla wszystkich pracowników. Proponowana ustawa zabezpieczy prawa pracowników placówek handlowych. W przypadku branży produkcyjnej, w szczególności tak specyficznej jak branża produktów spożywczych ultraświeżych, pracownicy produkcyjni, magazynowi i związani z logistyką będą musieli pracować w niedziele. Co więcej, istnieje również duże prawdopodobieństwo, że chcąc zrealizować zamówienia złożone na poniedziałek przez sieci handlowe, produkcja będzie musiała pracować w niedzielę na dwie zmiany. Przy tak skonstruowanym systemie pracy wolnym dniem najprawdopodobniej będzie piątek. Dlatego uważam, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zagwarantowanie pracownikom wolnych niedziel w Kodeksie pracy. Wyeliminuje to ryzyko faworyzowania lub dyskryminowania którejkolwiek z grup zawodowych, jednocześnie umożliwi podmiotom handlującym i produkcyjnym zapewnienie ciągłości usług.

Co niedziela bez handlu oznacza dla branży handlowej?

Zmieni się przede wszystkim model zakupów produktów FMCG – konsumenci będą dokonywać tzw. tygodniowych zakupów w piątek lub w sobotę. Z dużym prawdopodobieństwem w te dni sieci handlowe wydłużą czas pracy, chcąc „odrobić" niedzielne straty. Ponadto zmieniony model zakupowy, eliminujący niedzielę z handlu, z dużym prawdopodobieństwem przyczyni się także do „kupowania na zapas" żywności, której nie będziemy w stanie zużyć i przetworzyć. Marnowanie żywności może być jednym z istotniejszych negatywnych aspektów społecznych i ekonomicznych zakazu handlu w niedzielę. Dotyczy to zarówno robionych na wyrost zakupów przez konsumentów, jak i strat na poziomie terminów przydatności do spożycia poszczególnego asortymentu. Warto podkreślić, że Polska jest w niechlubnej czołówce państw o najwyższym wskaźniku marnowania żywności. Odrębną kwestią są straty sektora gastronomicznego, zwłaszcza punktów zlokalizowanych w galeriach handlowych. Dla nich zakaz handlu w niedziele oznacza wymierne straty, których w tygodniu nie będą w stanie odrobić.

Czy zakaz handlu w niedziele bezpośrednio wpłynie na Pańską branżę i firmę?

Wolne niedziele dla handlu nie oznaczają wolnych niedziel dla produkcji. W naszej branży na pewno musimy się przygotować na bardziej intensywną pracę, paradoksalnie właśnie w niedzielę, aby móc prawidłowo zrealizować zamówienia i dostarczyć świeże produkty na poniedziałek. Tymczasem nam w firmie udało się już teraz wprowadzić wolne niedziele w jednym z zakładów i pracujemy nad wdrożeniem zasady co najmniej dwóch wolnych niedziel w całej spółce. Niestety, przyjęcie ustawy ograniczającej handel w niedziele wymusi na nas rezygnację z wolnych niedziel dla pracowników, ponieważ wówczas to właśnie niedziele staną się dla nas dniem wzmożonej produkcji.

Jak w Pana ocenie ustawa wpłynie na naszą gospodarkę?

Konsekwencje zakazu handlu w niedziele dotkną kilku branż, w tym m.in. dystrybucyjnej, logistycznej, produkcyjnej i usługowej. Dla branży logistycznej oznacza to przede wszystkim konieczność wprowadzenia nowych zasad planowania dostaw. Również branża usługowa, zwłaszcza punkty zlokalizowane w galeriach handlowych, mogą odnotować znaczny spadek obrotów. Ograniczenie handlu spowoduje odpływ klientów w dniu wzmożonej realizacji usług, jednocześnie koszty stałe, takie jak np. koszty najmu powierzchni, pozostaną bez zmian. Strat wynikających z ograniczenia handlu w niedziele sektor usług raczej nie odrobi w pozostałe dni.

eprasa.pl e6d6dc5680

Antycenowa

Stefan Sękowski

Ceny masła, mięsa czy owoców rosną. Jesteśmy zszokowani, bo zapominamy, że tak właśnie działa rynek i że w końcu ceny spadną

Masło po 8 zł, a w centrum Warszawy nawet po 10 zł za kostkę już nikogo nie dziwi. Zaskoczeniem mogą być co najwyżej zabezpieczenia antykradzieżowe na tym mlecznym produkcie. To przykład radykalny, a przecież nie tylko masło zdrożało. Stało się tak praktycznie z całą żywnością. Gdy spojrzy się na statystyki, we wrześniu w stosunku do września 2016 r. w górę poszły ceny właściwie wszystkich artykułów żywnościowych, prócz cytrusów, bananów i cukru.

Oczywiście z punktu widzenia osoby, która robi zakupy i zostawia przy kasie więcej niż zwykle, to nie są dobre informacje. Jednak ogólnie rzecz biorąc, to nie żadna katastrofa. Gdybyśmy posłuchali tych, którzy twierdzą, że należy „coś" z tym zrobić, uczynilibyśmy najgłupszą rzecz z możliwych.

TO TYLKO MIKROEKONOMIA

To, co się dzieje na rynku, to nic innego jak podręcznikowy przykład mechanizmu kształtowania się cen. Garść teorii: cena powstaje – w swobodnych warunkach – w wyniku wzajemnego oddziaływania popytu i podaży. Gdy popyt rośnie, a podaż pozostaje na tym samym poziomie, cena także rośnie. Gdy zaś rośnie podaż, ceny maleją. W efekcie ceny raz idą w górę, innym razem w dół (w zależności od realiów), choć rzadko wracają po skoku do pierwotnego poziomu.

Przyjrzyjmy się masłu. Do kwietnia 2015 r. Unia Europejska starała się wpływać na cenę mleka i produktów z niego wytwarzanych. Poprzez stosowanie limitów produkcyjnych starała się ograniczać podaż mleka po to, by jego cena nie spadła poniżej poziomu akceptowalnego przez rolników. Producenci jednak narzekali, że limity utrudniają im ekspansję, mleko muszą wylewać i nie mogą zarobić tyle, ile by kiedyś mogli. Polska kilka razy w ciągu swego dotychczas krótkiego członkostwa w UE musiała płacić kary za to, że rolnicy przekraczali te limity. Gdy więc UE zniosła kwoty, stało się to, co było do przewidzenia. Wzrosła podaż: rolnicy (a właściwie ich krowy) zaczęli sprzedawać więcej mleka i w efekcie ceny zaczęły spadać.

Jednak ceny spadały już wcześniej – trend zaczął się w grudniu 2013 r. Jak wynika z danych Ministerstwa Rolnictwa, w maju 2016 r. cena netto masła (w blokach) wyniosła 1084 zł/100 kg i była to najniższa kwota od lipca 2009 r. Ceny detaliczne masła spadły w tym okresie o 17,5 proc. Tego jednak nie pamiętamy, bo spadek cen przyjęliśmy jako oczywistość. To wzrosty cen budzą nasze większe emocje. Producenci dostali wiadomość: nie ma aż takiego zapotrzebowania na nasze produkty, więc możemy zwolnić.

CIELAKI, MARGARYNA I „500+"

Owo spowolnienie miało wymiar nie tylko unijny, lecz także wręcz globalny. Farmerzy z Nowej Zelandii i państw Oceanii właśnie weszli w okres odbudowywania stad. Te nie są odmładzane sukcesywnie, lecz cyklicznie. W związku z tym, że potrzebują więcej mleka dla cieląt – a będzie go więcej dopiero, gdy owe cielęta dojrzeją – mniej mogą sprzedawać na rynek. A tak się złożyło, że jednocześnie… wzrósł popyt na produkty mleczne, zwłaszcza na masło. I to na całym świecie jednocześnie. Chińczycy zużywają może i mało masła na głowę, ale głów jest tam ponad 1,3 mld, więc zapotrzebowanie jest spore. Ich dostawcami są w dużej mierze Nowozelandczycy oraz Australijczycy i ten kierunek trzeba było zastąpić. Swoje zapotrzebowanie mają także Amerykanie. Coraz większe, bo na cenzurowanym jest tam coraz częściej margaryna, w ramach walki ze znajdującymi się w niej tłuszczami utwardzonymi, wywołującymi w nadmiarze otyłość, cukrzycę czy raka. Efekt? – W I półroczu 2017 r. eksport masła z UE do USA wzrósł o 50 proc. w porównaniu z I półroczem 2016 r. – mówi „Do Rzeczy" prof. Krystyna Świetlik z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. W efekcie według Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) światowe ceny artykułów mleczarskich były w lipcu o 52 proc. wyższe niż rok wcześniej.

W tym czasie polscy producenci nie chowali masła w maselnicy: w 2016 r. wolumen eksportu wzrósł o 9 proc. Dodatkowo z badań wynika, że w Polsce w 2016 r. popyt na masło wzrósł o 8 proc. Wzięło się to z wyższych zarobków, a także programu „500+". Rodziny, mając więcej pieniędzy w portfelach, mogły wydać je na większą ilość lepszej

eprasa.pl e6d6dc5680

histeria

FOT. FOTOLIA/CZKREDEK

żywności. Skutki tego wszystkiego wziętego razem widać na cennikach.

NIE WSZYSTKO DROŻEJE

Taki wątpliwy z punktu widzenia konsumentów urok tego roku, że wzrost popytu i/lub spadek podaży kumuluje się prawie we wszystkich rodzajach żywności. Od miesięcy na wysokim poziomie utrzymują się ceny owoców, zwłaszcza jabłek (we wrześniu o 44 proc. więcej niż rok wcześniej). Powód jest zupełnie inny niż w przypadku mleka i artykułów mleczarskich – przymrozki, które spowodowały niskie plony. A co z jajkami, których ceny wzrosły o 8 proc.? Za to odpowiada przede wszystkim wzrost popytu na polskie jaja za granicą po tym, jak okazało się, że w Holandii, Belgii i Niemczech miliony jaj było skażonych fipronilem – środkiem wykorzystywanym do zwalczania kleszczy, pcheł oraz innych pasożytów u zwierząt. Dodatkowym czynnikiem była grypa ptaków we Włoszech.

Ponadto taniał cukier. I będzie taniał jeszcze bardziej z racji tego, że w październiku w Unii Europejskiej kończą się limity produkcyjne cukru. Możemy mieć więc do czynienia z powtórką – w pewnym zakresie – z tym, z czym spotkaliśmy się po deregulacji rynku mlecznego: wzrostem produkcji, a co za tym idzie, dalszym spadkiem cen. Oczywiście – przy braku zmienności innych czynników, takich jak np. ceny ropy, które są mocno skorelowane z cenami cukru. – Gdy bowiem rośnie cena ropy, bardziej opłaca się wykorzystywanie trzciny cukrowej jako komponentu biopaliw – mówi prof. Świetlik. A to zwiększy popyt także na buraki cukrowe. Zresztą jeśli ceny paliw i energii pójdą w górę, to wpłynie to na ceny wszystkich produktów.

NIE RÓBMY Z TYM NIC

Z reguły podwyżki cen traktuje się jako dopust Boży. Większość z nas nie produkuje masła (zwłaszcza na sprzedaż), nie hoduje niosek ani owoców, za to robi dzieciom kanapki do szkoły. Tymczasem to, co odchudza nasze portfele, ma z reguły dobry wpływ na producentów. Wzrost obrotów oznacza profity dla spółdzielni mleczarskich czy hodowców drobiu. Piszę: „z reguły", bo z kolei sadownicy, którzy liczą straty po katastrofalnych tegorocznych zbiorach, mogą dzięki podwyżkom cen je co najwyżej zminimalizować.

Cena to informacja. Obiektywnie ani dobra, ani zła. Czasem pojawiają się głosy, że należy „coś z tym zrobić". Są sytuacje, w których faktycznie może dochodzić np. do zmów cenowych, zwłaszcza na lokalnych rynkach. W październiku Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów wszczął pięć postępowań wyjaśniających w sprawie wzrostu cen masła. Bada także sprawy dotyczące skupu jabłek czy relacji przetwórców mleka z dostawcami. Jednocześnie nie ma mowy o jakimś globalnym spisku spekulantów masłem. Zresztą ten język znany ze słusznie minionej epoki świadczyłby o tym, jak bardzo interwencjonistycznie myślimy o cenach. Tymczasem próba ich regulowania to byłoby najgorsze, co moglibyśmy w tej sytuacji zrobić. Limity produkcyjne wprowadzono nie z myślą o konsumentach, lecz o producentach, którym wygodniej było funkcjonować, ciesząc się bardziej stałą ceną swoich produktów. Zniesiono je z kolei w interesie zwłaszcza konsumentów i konkurencyjności – przez to, że cena nie jest zakłamywana, producenci muszą zwracać większą uwagę na nasze potrzeby. „Robienie czegoś" ze zmiennością rynku, która, owszem, może skutkować spadkiem cen (i zysków), ale za chwilę ich wzrostem, w skrajnym przypadku realnego socjalizmu skończyło się tym, że ceny były niskie, ale w sklepach nie było towaru: gdy zaś sztucznie zaniżone ceny (wyrażone zresztą w niemającej realnej wartości walucie) już trzeba było podnieść, wybuchały strajki.

To ja już wolę godzić się na to, że od czasu do czasu trzeba więcej niż wcześniej zapłacić za dany towar. Zresztą wzrost cen najbardziej newralgicznych towarów już wyhamowuje. Za chwilę antycenowa histeria może być pieśnią przeszłości, ponieważ już niedługo Nowozelandczycy i Australijczycy odbudują swoje stada, a producenci skuszeni wyższymi cenami pójdą za ich zawołaniem. To już jednak nie wywoła radości o natężeniu podobnym do obecnie wyrażanego zaszokowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji"

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. AP/EAST NEWS

Wyrachowanie

Łukasz Zboralski

Można martwić się o biedującą Afrykę i unikać podatku. Można być dostojną monarchinią i korzystać z rajów podatkowych. Żyjemy w erze ekonomicznej hipokryzji

Rok 2011. Jeden z największych festiwali muzycznych świata w angielskim Glastonbury. Na scenie gra U2. Bono śpiewa utwór „The Fly", w którym użala się nad kondycją człowieka i losem świata. Nagle wśród publiczności ktoś pompuje wielki biały balon. Przed muzykami wznosi się pneumatyczny wyrzut sumienia z wypisanym wielkim pytaniem: „U PAY TAX 2"? („Czy płacicie też podatki?" – przyp. red.).

To nie sekret, że sumienie czasem szkodzi

Balon był protestem ludzi zniesmaczonych postawą zespołu. Gwiazdy, których działalność mocno przekracza wykonywanie muzyki – zaangażowane w działania charytatywne, głoszące potrzebę poprawy świata, pouczające polityków – w 2006 r. zdecydowały, że przestają się rozliczać z podatków w Irlandii i przenoszą biznes do Holandii. Powód? Irlandzki rząd zdecydował, że koniec z wyjątkiem dla artystów, których zwalniano z płacenia podatku od tantiem.

Od tego czasu wiadomo było, że i ci, którzy głoszą szczytne hasła, jeśli chodzi o własne pieniądze, nie są już tak skłonni do obywatelskiej postawy – czyli wpłacania tyle, ile należy, do budżetów krajów, z których korzystają jako wspólnota wszyscy obywatele.

Dzisiaj wiadomo też, że i członkowie U2, i osoby z nimi związane już wtedy dobrze wiedziały, iż jest się czego wstydzić. Jeden z organizatorów balonowego protestu w 2011 r. – dziś profesor filozofii na budapeszteńskim uniwersytecie – ujawnił teraz na łamach „Guardiana", że kilka dni przed balonowym protestem w Glastonbury człowiek, który wraz z Bono założył organizację charytatywną One, naciskał na odwołanie akcji. Najpierw przekonywał, że to zaszkodzi akcjom pomocowym firmowanym przez muzyka. A po odmowie stał się agresywny i próbował wywrzeć na młodych ludzi presję psychiczną – grzmiał, że ich akcja ma na celu tylko sianie zniszczenia.

To nie sekret, że nasz świat ogarnia ciemność

W 2016 r. wybuchła afera Panama Papers. Ktoś ukrywający się pod pseudonimem John Doe przekazał dziennikarzom ponad 11 mln dokumentów z panamskiej kancelarii obsługującej światowe firmy i wielkie postacie. Po raz pierwszy na taką skalę uchylono rąbka tajemnicy o tym, jak wielkie rozmiary przybiera unikanie płacenia podatków poprzez korzystanie z rajów podatkowych.

Wyszło też na jaw, że do omijania opodatkowania niezwykle często dochodziło m.in. w Holandii. To dlatego w tym roku holenderska parlamentarna komisja przesłuchiwała Jana Faviego reprezentującego interesy U2 i Rolling Stones. Oba zespoły od pewnego czasu postanowiły rozliczać się z holenderskim fiskusem. Favie odpowiadał podobnie jak zeznający przed polską komisją Amber Gold. Prze-

eprasa.pl e6d6dc5680

słuchający go parlamentarzyści wytykali mu, że celowo odpowiada na pytania wymijająco.

Dzisiaj – po kolejnym wycieku do dziennikarzy nazwanym Paradise Papers – o interesach muzyków U2 wiadomo już trochę więcej. Okazało się, że Bono poprzez firmę zarejestrowaną na Malcie inwestował w centrum handlowe na Litwie. Jak ujawnił brytyjski „Guardian", spółka Nude Estates kupiła centrum handlowe Asura za 5,8 mln euro tuż po jego otwarciu w 2007 r. Działalność centrum przeniesiono potem na Maltę – bo tam w przypadku zagranicznych inwestycji płaci się zaledwie 5 proc. podatku od wykazanych zysków.

Rzeczniczka Bono tłumaczyła, że muzyk był tylko mniejszościowym udziałowcem, i podkreślała, że wszystko odbywało się w zgodzie z prawem – a maltańskiej jurysdykcji podatkowej nikt w UE nie podważa.

To nie sekret, że gwiazdy spadają z nieba

Międzynarodowa współpraca dziennikarzy śledczych pokazuje, że oprócz artystów takich jak Bono czy Madonna (miała udziały w firmie „zaopatrzenia medycznego" na Bermudach działającej w latach 1997–2013) z „optymalizacji" podatkowej korzystały też ważne postaci ze świata polityki.

Z dokumentów Paradise Papers wynika, że przez raje podatkowe przepływały także pieniądze brytyjskiej królowej. Około 10 mln funtów z prywatnego majątku Elżbiety II za pośrednictwem Księstwa Lancaster, z którego wypłacane są dochody królowej, inwestowano na Kajmanach i Bermudach. Pieniądze monarchini zasilały rozmaite przedsięwzięcia, m.in. sieć sklepów monopolowych, która dziś jest w stanie upadłości. W królewskich inwestycjach jest też kontrowersja niezwiązana z samym unikaniem opodatkowania, według brytyjskich mediów pieniądze Elżbiety II inwestowano bowiem również w spółkę BrightHouse. To firma, która oferowała wypożyczanie z możliwością zakupu mebli czy sprzętu komputerowego z opcją zakupu. Oskarżana jest o sprzedawanie słabej jakości sprzętu na kredyt o bardzo wysokim oprocentowaniu ubogim Brytyjczykom, a nawet osobom z problemami psychicznymi. Za takie praktyki musiała już wypłacić ok. 250 tys. klientów prawie 15 mln funtów odszkodowania.

Rzeczniczka Księstwa Lancaster oświadczyła, że wszelkie inwestycje były zgodne z prawem. A inwestowanie w samą BrightHouse stanowiło „tylko 0,0006 proc. wartości księstwa".

Lista VIP-ów korzystających z rajów podatkowych jest dłuższa, bo na ukrywaniu pieniędzy miało stracić w sumie prawie 50 krajów i ich obywateli, a zamieszanych w to ma być nawet 120 polityków oraz osób z ich otoczenia. W Wielkiej Brytanii należy wspomnieć jeszcze lorda Ashcrofta, członka Izby Lordów, który niebagatelnymi kwotami przez lata zasilał Partię Konserwatywną. Dokumenty z Paradise Papers wskazują, że mógł omijać prawo i chować swoje dochody przed podatkiem w raju podatkowym Belize.

Jest też przygnębiający wątek kanadyjski. Dla wielbicieli charyzmatycznego premiera Kanady Justina Trudeau – m.in. zapraszającego imigrantów do Kanady – przykrą wiadomością jest to, że jego najbliższy doradca też jest zamieszany w tę aferę. Tym smutniejsza to wiadomość, że Stephen Bronfman, spadkobierca fortuny wypracowanej przez historyczną kanadyjską firmę Seagram, nie tylko doradza Trudeau, ale był też właściwie twórcą jego politycznego sukcesu, fundatorem kampanii wyborczej. Bronfman – dzięki milionowym przepływom między rodzinnymi firmami w USA, Izraelu i na Kajmanach – mógł legalnie uniknąć płacenia podatków w Stanach Zjednoczonych, Izraelu i Kanadzie. Paradise Papers opublikowane przez brytyjskie media wskazują, że z takich praktyk korzystało również dwóch wieloletnich premierów Kanady – Jean Chrétien i Brian Mulroney.

Po publikacjach Paradise Papers wicepremier Mateusz Morawiecki zaapelował, by zajęły się tym niezwłocznie Komisja Europejska, Parlament Europejski i Rada Unii Europejskiej. – Gdyż mówimy najpewniej o miliardach niezapłaconych podatków, które uszczupliły budżety państw członkowskich – zaznaczył. I dodał, że raje podatkowe oznaczają niewybudowane szpitale czy drogi w krajach, do których nie trafiły podatki.

FOT. MARK CUTHBERT/UK PRESS/GETTY IMAGES

Jest wiele rzeczy, które bym odmienił

U2 w tym roku podczas ogromnej trasy koncertowej świętuje 30-lecie wydania płyty „Joshua Tree". Podczas lipcowego koncertu w Amsterdamie Bono zaprosił na scenę polskiego fana z biało-czerwoną flagą i napisem: „Solidarność". – Mam przesłanie miłości i wolności dla naszych sióstr i braci w Polsce, którym zabiera się wolność! Jesteśmy z wami! – krzyczał do mikrofonu wokalista U2.

Dwa lata temu, gdy musiał już tłumaczyć się z holenderskiego szukania sposobów na zmniejszanie podatków, stwierdził: – Po prostu pewni inteligentni ludzie, którzy dla nas pracują, starają się być rozsądni w sprawie sposobów dotyczących naszego opodatkowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Śródtytuły pochodzą ze słów piosenki „The Fly" z repertuaru U2.

epiasa.pl e6d6dc5e6

Marcin Makowski

Rząd janosik

Czy wyższe składki emerytalne dla najbogatszych to „wyrównywanie różnic społecznych" czy może przerzucanie problemu nierentowności ZUS na przyszłe pokolenia?

Rząd zapowiedział niedawno, że od 1 stycznia skończy z „uprzywilejowanym statusem emerytalnym" najlepiej zarabiających Polaków. Do tej pory ci, którzy w ciągu roku przekroczyli dochód powyżej 120 tys. zł brutto, nie musieli płacić składek, ponieważ ich przyszłe świadczenia i tak byłyby liczone jako 30-krotność średniej krajowej. Przywrócenie tego obowiązku ma zasilić budżet kwotą ok. 5 mld zł. Jacek Żakowski w Wirtualnej Polsce pochwalił wspomniany pomysł, nazywając go „sprawiedliwym". Z kolei posłanka PiS Joanna Lichocka uważa, że to walka z „kastą" i „establishmentem". Jakkolwiek byśmy interpretowali ową zaskakującą zbieżność zdań, to pragmatyka polityczna podpowiada, że sprawa z punktu widzenia władzy może być znacznie prostsza. Czyżby chodziło po prostu o poświęcenie poparcia części „wyższej klasy średniej" w zamian za dodatkowe wpływy do budżetu? W końcu menedżerowie korporacji i tak nie głosują gremialnie na PiS, a lud, który dostrzeże we władzy rys janosika, takie zachowanie doceni.

Niestety podobne pomysły – choć tłumaczone szlachetnymi intencjami – w perspektywie przyszłych pokoleń mogą być ryzykowne finansowo i społecznie.

ELITA CZY KLASA ŚREDNIA?

Trudno nie odnieść podobnego wrażenia, skoro posłanka Prawa i Sprawiedliwości zupełnie wprost w swoim felietonie dla Niezależnej.pl „establishmentem" nazywa 350 tys. Polaków zarabiających powyżej 10 tys. zł brutto miesięcznie. I to takim establishmentem, który „ani myśli ponosić ciężarów społecznych", a w interesie jego przywilejów wstawia się i alarmuje „postkomuna". Przecież wypadałoby, żeby poza podatkami poczuwał się on również do szlachetnego solidaryzmu w innych dziedzinach życia. A ten tylko niewdzięcznie strzeże swoich przywilejów, tak jak Gollum pierścienia.

W tym samym duchu argumentuje również Żakowski. W końcu ubożsi Polacy żyją krócej, w związku z tym nie pobierają świadczeń tak długo jak bogaci. „Wszyscy na przykład płacimy podatki na państwowe uczelnie, ale bezpłatnie studiują tam głównie dzieci zamożniejszych rodziców. Bogatsi mieszkają w tzw. lepszych dzielnicach, gdzie infrastruktura utrzymywana przez państwo jest lepsza i droższa. Do dotowanych przez państwo teatrów, muzeów, oper również chodzą bogatsi, a płacą na nie wszyscy. Wszyscy solidarnie płacimy też na służbę zdrowia, ale mniej zamożni mniej z niej korzystają, bo zwykle są mniej obrotni, mniej o siebie dbają, mają

eprasa.pl e6d6dc5680

gorsze dojścia etc." – uważa publicysta. I wyciąga ten sam wniosek co rząd – pora, żeby ci bogaci zaczęli odpowiedzialnie patrzeć na Polskę, w której tak sobie pasożytniczo pomieszkują.

RÓWNOŚĆ. ALE JAKA?

Ów egzotyczny, „równościowy" alians ponad podziałami wcale mnie nie dziwi. To w końcu argumenty charakterystyczne dla zwolenników rozwiązań socjalnych w obszarze danin społecznych oraz zwiększania roli państwa. I na prawicy, i na lewicy znajdują się ludzie, którzy o podatkach, składkach ZUS i „przykręceniu śruby bogatym" myślą podobnie. Dlatego właśnie zarówno Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki, jak i działacze „Krytyki Politycznej" polecają Thomasa Piketty'ego, który stał się dominującym głosem w ekonomicznej debacie na temat konieczności wyrównania dysproporcji w dochodzie najbogatszych i najbiedniejszych. Argumentuje, że inaczej grozi nam widmo katastrofalnej przepaści pomiędzy poszczególnymi warstwami społecznymi. Niemożliwej do zasypania bez agresywnych podatków kapitałowych albo innych form obciążania dochodów owych zamożnych elit.

O ile z niektórymi diagnozami środowiska reprezentowanego przez Piketty'ego można polemizować, o tyle ma on bez wątpienia rację, wskazując na strukturalny i pogłębiający się problem akumulacji dóbr w rękach jednostek oraz korporacji, które unikają płacenia podatków, a koszty prowadzenia swojego biznesu przerzucają na resztę społeczeństwa. Nikt nie chce przecież powrotu do modelu szlachecko-pańszczyźnianego i owych kilku procent społeczeństwa posiadającego więcej kapitału i władzy niż cała reszta. W skali globalnej jesteśmy już w takim miejscu, ale problem propozycji PiS polega na tym, że przenosi argumentację pasującą do tego stanu kilka pięter niżej. I odnosi ją do społeczeństwa, które nadal zamożne nie jest.

Przecież gdyby konieczność płacenia składek emerytalnych powyżej rocznego dochodu ok. 120 tys. brutto miało stanowić przykład sprawiedliwości społecznej, należałoby przyjąć, że sprawiedliwe jest tylko to, co jest dla wszystkich równe. „Ok. 350 tys. najbogatszych po przekroczeniu dochodu wyższego niż trzydziestokrotność średniej pensji jest zwolnionych z odprowadzania składek do ZUS. Czemu? Bo tak" – pisze Joanna Lichocka. Fakt, że ci ludzi wpłacają i tak sumarycznie więcej od uboższych, schodzi na drugi plan. Machnięciem ręki zbywany jest również argument mówiący, że bogatsi płacący większe składki emerytalne to dziś kilka dodatkowych miliardów, ale z perspektywy kilkunastu lat – ogromne obciążenie dla budżetu, który będzie musiał wypłacać im wyższe emerytury. A pośrednio – ogromna dysproporcja w statusie życia emerytów. Jest jeszcze jedna lampka ostrzegawcza, związana z płaceniem wyższych składek emerytalnych przez najbogatszych. Ich zwiększenie pociągnie za sobą obniżenie podstawy wymiaru składki zdrowotnej, jak również podstawy obliczania podatku dochodowego. Oznaczać to może realnie niższe wpływy do i tak ledwo zipiącego NFZ oraz niższe pobory z corocznego PIT. Wydaje się, że nikt tego bilansu zysków i strat długofalowo nie przekalkulował oraz nie przedstawił do wglądu. To błąd.

NAZYWAJMY RZECZY PO IMIENIU

Dlatego właśnie, choć samą ideę popiera, również Jacek Żakowski propozycje rządu nazywa „dość oczywistym oszustwem, bo przemilcza i na później odkłada nieuchronne wprowadzenie limitu wysokości przyszłej emerytury". Tutaj moim zdaniem leży sedno sprawy. Nie chodzi przecież o to, aby było sprawiedliwie, ale aby „wyższa klasa średnia" kolejny raz dołożyła się do budżetu. „Każdy Polak płaci składkę okrągły rok, ale już taki zarząd Agory wydającej »Gazetę Wyborczą« – nie" – twierdzi Lichocka, nazywając 350 tys. innych Polaków z tego samego przedziału dochodowego „uprzywilejowaną kastą". Przecież uwłaszczyła się już i podpasła na menedżerskich kontraktach, niech teraz spłaci dług wobec reszty społeczeństwa. A że emerytur, na które odkładała, za kilkanaście lat i tak nie zobaczy? Cóż. Chociaż dzisiaj wicepremier Piotr Gliński zapewnia w TVP, że każdy na tym skorzysta, to inny wicepremier kilka kadencji później przekona nas jednak, że pomimo wpłaconych składek o różnych wysokościach wszyscy dla dobra państwa musimy otrzymać takie same emerytury. Chodzi przecież „o równość, a nie kastowość".

Już dzisiaj darowałbym sobie te retoryczne wygibasy. Nazwijmy projekt rządu „podatkiem od wzbogacenia", a nie składką emerytalną, i sprawa będzie jasna. Jest rzeczą oczywistą, że również Polska musi dzisiaj walczyć z zagrożeniami, o których pisze Piketty, ale pierwszym krokiem w kierunku zrównoważonego społeczeństwa powinno być uszczelnienie podatków i egzekwowanie obowiązku ich płacenia przez zagraniczne korporacje, a nie sięganie do kieszeni obywateli.

W takich przypadkach trzeba być jednak transparentnym i nie kamuflować intencji. Człowiek zarabiający 10 tys. brutto to nie magnat ani pasożyt. To w większości przypadków osoba obrotna, dynamiczna, innowacyjna i odprowadzająca z tytułu swojego wynagrodzenia wyższe podatki. Państwo powinno takich ludzi wspierać, a nie piętnować. To również osoba inteligentna, która gdy zobaczy, że jej pieniądze wydawane są przez państwo rozsądnie, zrozumie, dlaczego warto je płacić. Natomiast jeśli posłowie chcą być wiarygodni, mówiąc o elitarnej kaście, niech najpierw spojrzą na swoje zarobki, wysokość kwoty wolnej od podatku oraz jeden drobny szczegół – kto opłaca za nich składki emerytalne i płaci PIT? Krasnoludki czy reszta obywateli z podatków?

FOT. FOTOLIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e6d6dc5680

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Koniec pracy w niedziele?

W związku z szykującym się, urzędowym zakazem pracy w (na razie?) niektórych sklepach w (na razie?) niektóre niedziele, a więc też z robieniem w nich zakupów, męczy mnie coraz więcej pytań.

Po pierwsze: Dlaczego zakaz ma dotyczyć tylko pracowników handlu w marketach, a nie po prostu wszystkich, co do jednego, handlowców? W tym tych, którzy handlują na stacjach benzynowych, dworcach i lotniskach? W końcu – a coś o tym, proszę mi wierzyć, wiem – zakupy bez większego kłopotu można zrobić w jeden z pozostałych, aż sześciu, dni tygodnia.

Dalej: Dlaczego taki zakaz nie miałby objąć również pracowników innych branż? Precyzyjnie mówiąc: wszystkich branż? Jeśli już na boku zostawimy dyżurnych lekarzy, pielęgniarki i aptekarzy, nieco żołnierzy, policjantów, strażaków, kolejarzy oraz kierowców autobusów, tramwajów i metra, to czyż cała reszta – czyli pewnie setki tysięcy ludzi w całej Polsce, którzy teraz pracują w niedziele – także nie powinna stracić prawa do pracowania (lub – jeśli ktoś tak woli – powinna zyskać przywilej obowiązkowego niepracowania) w ten świąteczny dzień tygodnia? Zresztą może dałoby się w niedziele w ogóle zrezygnować z połączeń autobusowych, tramwajowych i większości kolejowych? A już na pewno z pracy kierowców tirów rozwożących towary.

W końcu czy to naprawdę byłby dla Polaków jakiś niesłychanie wielki, nie do udźwignięcia ciężar, gdyby w niedziele ich uwagi nie rozpraszały nie tylko sklepy – duże i małe – lecz także każdej wielkości restauracje, kawiarnie, budki z kebabem, kina czy teatry, baseny, centra fitness oraz inne – rozrywkowe? Gdyby w niedziele nie mogli (a więc i nie musieli) świadczyć im usług taksówkarze, sprzedawcy lodów i piłkarze? Gdyby zamknięte były cyrki, wesołe miasteczka i stadiony? I gdyby jeszcze niedziele były wolne od telewizyjnych, radiowych i internetowych występów polityków (na co słusznie zwróciła w „Do Rzeczy" uwagę Kataryna), a także dziennikarzy, komentatorów sportowych i mniej lub bardziej znanych celebrytów, którzy nie potrafią sami sobie zakazać zakłócania współobywatelom spokoju swymi niedzielnymi występami medialnymi? Wreszcie: Czy naprawdę byłoby nie do ścierpienia, gdyby w niedziele zamykano też dostęp do Internetu – i to całego; nie tylko do e-sklepów, lecz także portali informacyjnych, na które nikt nie mógłby (a więc też nie musiałby) wrzucać newsów?

Inaczej mówiąc: Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, dlaczego zakaz pracy w niedziele ma dotyczyć jedynie handlowców, i to tylko niektórych, a nie wszystkich ludzi, którzy nie muszą tego dnia pracować ze względu na bezpieczeństwo pozostałych obywateli? Czy jest w tym jakiś ukryty sens, czy to po prostu początek działań, które do takiego właśnie stanu – totalnego, powszechnego zakazu pracy we wszystkie niedziele i święta – mają doprowadzić? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Półtora miliarda uderzeń serca

Fenomenalna książka Geoffreya Westa „Scale" pokazuje wyniki badań światowej klasy fizyków i statystyków w dziedzinie biologii. Przekroczenie granic dyscyplin naukowych pozwoliło na odkrycie wielu ciekawych praw dotyczących ssaków, miast czy firm. Dzisiaj napiszę o trzech, które dotyczą ssaków. Średnia liczba uderzeń serca ssaka, myszy, człowieka, słonia czy wieloryba w ciągu życia wynosi półtora miliarda. Mniejsze ssaki żyją krócej, ale bardziej intensywnie, wielkie ssaki żyją dłużej i wiodą bardziej spokojne życie. Jednak ich serca, bez względu na wielkość ssaka, biją średnio półtora miliarda razy w ciągu życia. Oczywiście to tylko średnia, od której są znaczne odchylenia zależne od cech indywidualnych osobnika i jego trybu życia.

Uprawiajmy sport, jedzmy mało oraz zażywajmy lodowatych kąpieli

Zacząłem się zastanawiać, jaka strategia maksymalizuje średnią długość życia. Weźmy np. uprawianie sportu. Podczas wysiłku nasze serce zaczyna bić znacznie szybciej, nawet 140 razy na minutę, co może oznaczać, że uprawianie sportu, średnio, skraca życie. Jednocześnie badania zawodowych sportowców pokazały, że żyją dłużej niż przeciętny człowiek. Jak można wyjaśnić ten paradoks? Z jednej strony serce sportowca podczas treningu i zawodów bije bardzo szybko, ale jego tętno w spoczynku jest znacznie wolniejsze niż tętno przeciętnego człowieka: zamiast 60–80 może wynosić 40–50. Zatem to, co „tracą" sportowcy podczas treningu, z nawiązką nadrabiają dzięki wolnemu biciu serca, gdy nie trenują. Uprawianie sportu wydłuża, a nie skraca życie. Jeszcze dłużej można żyć, uprawiając jogę lub medytację, bo dzięki koncentracji można spowolnić bicie serca nawet do 30 uderzeń na minutę.

Inny ciekawy wynik badań wskazuje na maksymalną granicę życia człowieka – to ok. 125 lat. Ciekawe, że ta biologiczna granica długości życia zawsze była taka sama, ale w minionym stuleciu dzięki drastycznemu spadkowi śmiertelności dzieci i postępowi w leczeniu chorób średnia długość życia drastycznie wzrosła, ale maksymalna nie.

Są jeszcze dwa sposoby zwiększenia długości życia. Ograniczenie ilości spożywanego pożywienia powoduje, że nasze komórki przetwarzają mniej energii, dzięki temu stopień ich zużycia jest mniejszy i możemy żyć dłużej. Podobnie trwałe obniżenie temperatury ciała zmniejsza tempo przetwarzania energii i może wydłużyć nasze życie. Zatem uprawiajmy sport, jedzmy mało, trenujmy jogę lub medytację oraz zażywajmy lodowatych kąpieli. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl e6d6dc5680

MINISTER KONSTANTY RADZIWIŁŁ

Poszukujemy nowych rozwiązań

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY O ZDROWIU

Nr 2

Rak prostaty: dobre zmiany dla polskich pacjentów

Wiktor Janicki: Innowacje tworzymy nad Wisłą

Magiczne **6 proc. PKB**

Prof. Wiesław Jędrzejczak: Czy nieinwestowanie w zdrowie jest bezkarne?

5 90 KONGRES

HONOROWY PARTNER WYDANIA

Ministerstwo Zdrowia

Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

eprasapl.e6d6ic5680

POLSKA JAKO EUROPEJSKIE CENTRUM INWESTYCJI GSK

- GSK jest wiodącym inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym, dostarczającym ponad **300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom

- Liczący się i zaangażowany **inwestor** od 1998 roku

- **Wielowymiarowe inwestycje** w produkcję (fabryka leków w Poznaniu), informatyzację procesów związanych z lekami i szczepionkami (Centrum Usług Biznesowych GSK IT), centra zakupowe oraz badania kliniczne

- Około **1700 pracowników**, z czego większość zatrudniona jest w poznańskiej fabryce leków i GSK IT

- **100 mln** to liczba wyprodukowanych **opakowań leków** w 2016 r.

- Eksport na ponad **120 rynków** na całym świecie

- Ponad **200 mln zł** odprowadzonych podatków i składek ZUS w 2016 r.

- Wiarygodny i solidny partner biznesowy - GSK współpracuje z ok. **2,4 tys. dostawców i partnerów handlowych**

- Rocznie z Polski realizowanych jest **800 tys. dostaw** leków i szczepionek GSK do **35 tys.** punktów w **12** krajach europejskich

GSK jest wiodącym **inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym**, dostarczającym ponad 300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia polskim pacjentom. W Polsce zatrudnia **ok. 1700 osób**. W Poznaniu mieści się jedna z największych i najważniejszych fabryk leków GSK w Europie. Każdego dnia w wielkopolskim zakładzie wytwarzanych jest **8,5 miliona tabletek i 1,3 miliona kapsułek**. W roku 2016 wyprodukowano ponad 100 mln opakowań leków, które trafiły na ponad 120 rynków na całym świecie. Jednocześnie Polska jest centrum dystrybucji leków i szczepionek GSK do kilkunastu krajów europejskich, realizując rocznie 800 tys. dostaw leków i szczepionek GSK. Obok leków, Centrum obsługuje także dostawy szczepionek, które wymagają spełnienia najwyższych standardów jakościowych i technologicznych związanych z zarządzaniem zimnym łańcuchem. Każdego roku **14 mln szczepionek GSK z Polski** trafia do pacjentów w Europie. Od 2005 roku w Poznaniu działa także Centrum Usług Biznesowych (GSK IT), zatrudniające obecnie ok. 700 osób. Na co dzień wspiera procesy związane z badaniami i rozwojem, produkcją, dystrybucją oraz monitorowaniem bezpieczeństwa leków i szczepionek GSK na całym świecie. GSK w Polsce **współpracuje z blisko 2,4 tys. dostawcami i partnerami biznesowymi**, w tym z ponad 320 dostawcami współpracującymi z fabryką w Poznaniu.

PL/PR/0032/17(1) Data przygotowania: listopad 2017

eprasa.pl e6d6dc5680

Paweł Lisicki, Redaktor Naczelny „Do Rzeczy"

Szanowny Panie Redaktorze,
dodatek o zdrowiu jest niezwykle istotnym wkładem w projekt szerzenia wiedzy o działaniu polskiej służby zdrowia. Ten niezwykle złożony system przed wieloma czytelnikami wciąż stawia serię znaków zapytania. Dlatego też wszystkie inicjatywy mające na celu ukazanie obecnego stanu w sektorze zdrowia i prowadzonych w nim zmian są nieocenione – w kontekście podnoszenia świadomości społecznej na temat służby zdrowia.

Mam nadzieję, że to słowo wstępne zachęci czytelników do sięgnięcia po najbliższe i kolejne wydania „Do Rzeczy o Zdrowiu".

Konstanty Radziwiłł

KONSTANTY RADZIWIŁŁ

Poszukujemy nowych rozwiązań

Służba zdrowia to obszar szczególny dla całego społeczeństwa. Złożoność systemu i jego wielowymiarowość powodują, że konieczne jest skoordynowanie działań jednocześnie w wielu obszarach. Jako minister zdrowia muszę dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo zdrowotne społeczeństwa. Nie wolno jednak nam zapominać o fundamentach systemu – stabilności świadczeniodawców i odpowiednim finansowaniu.

Przez wiele lat polska służba zdrowia była istotnie zaniedbywana, dlatego obecny rząd postawił na naprawę sytuacji. Od samego początku udało nam się przeprowadzić liczne zmiany – katalog naszych reform to wiele nowych ustaw, nowelizacji ustaw, a także nowe programy, takie jak „Leki 75+" (dla seniorów).

Ostatnie miesiące to przede wszystkim przełom w dwóch najbardziej newralgicznych obszarach – w szpitalnictwie i podstawowej opiece zdrowotnej. Od 1 października 2017 r. uruchomiliśmy system podstawowego szpitalnego zabezpieczenia świadczeń zdrowotnych, czyli sieć szpitali. Dotychczasowy kształt systemu został istotnie zmodyfikowany – z korzyścią dla pacjenta i szpitali. Drugą kluczową zmianą jest kompleksowa reforma całego systemu podstawowej opieki zdrowotnej. Tą reformą przywracamy istotne miejsce zespołowi POZ w systemie opieki zdrowotnej. Sprawność i jakość tego obszaru wpływa na efektywność całego systemu, umożliwia bowiem pacjentowi dostęp do skoordynowanych świadczeń bezpośrednio w miejscu zamieszkania.

Te dwie zmiany stanowią już dzisiaj fundament nowego kształtu służby zdrowia. Realizujemy tym samym najważniejszą ideę, jaką jest skoordynowanie całego procesu opieki nad pacjentem: od poziomu profilaktyki i edukacji przez świadczenia podstawowe i specjalistyczne aż do hospitalizacji i rehabilitacji. Dążymy sukcesywnie do tego, aby pacjent nie błądził w systemie, tylko czuł się w nim w pełni zaopiekowany.

Nie poprzestajemy jednak na tym – stale poszukujemy nowych rozwiązań istniejących problemów. Już dzisiaj pracujemy także nad praktyczną realizacją kluczowych kierunków dalszego rozwoju. Kongres 590 jest doskonałą okazją do dyskusji nad tymi zagadnieniami, a łamy niniejszej publikacji – najlepszym miejscem do rzetelnej analizy podejmowanych kwestii. ©℗

Ministerstwo Zdrowia

5 90 KONGRES

Kongres 590 jest skierowany głównie do polskich przedsiębiorców i właścicieli marek. Jego hasło to: „Uwalniamy polski potencjał", a nazwa pochodzi od prefiksu kodu kreskowego, którym oznaczane są towary produkowane lub dystrybuowane przez polskie firmy.
Trudno wyobrazić sobie rozwój gospodarczy Polski bez zdrowego społeczeństwa, rozwoju medycyny, a dziś także bez reform w polskim systemie ochrony zdrowia. Stąd dodatek specjalny: „Do Rzeczy o Zdrowiu" na Kongres 590.

eprasa.pl e6d6dc5680

Magiczne sześć procent

Katarzyna Pinkosz

O wydawaniu na zdrowie 6 proc. PKB mówi się w Polsce już od ponad 20 lat. Rząd obiecuje, że tak będzie w 2025 r. Opinie ekspertów są jednoznaczne: powinno to być wcześniej, bo nie stać nas, by oszczędzać na zdrowiu

Strajk rezydentów uświadomił wszystkim, jak mało w Polsce przeznacza się na ochronę zdrowia i jak jest to dziedzina zaniedbana. Nic dziwnego, że czekamy w kolejkach do specjalistów, na rezonans, na rehabilitację, że brakuje lekarzy, pielęgniarek. Gdybyśmy przeznaczali więcej pieniędzy, moglibyśmy żyć (średnio) o kilka lat dłużej, i to w lepszym stanie zdrowia. Oczywiście pod warunkiem, że pieniądze byłyby rozsądnie wydawane.

POZORY OSZCZĘDNOŚCI

W Polsce na ochronę zdrowia (ze środków publicznych) przeznacza się ok. 1,5 tys. dol. na osobę. Trudno porównywać się z Niemcami (ok. 6 tys. dol. na osobę), ale daleko nam nawet do Czech (2 tys. dol. na osobę). Mniejsze pieniądze oznaczają, że oszczędzamy na wszystkim. Przede wszystkim na programach edukacyjnych i profilaktycznych, które – gdyby były efektywniejsze – mogłyby spowodować, że zachorowałoby mniej osób. W Karelii Północnej dzięki konsekwentnie wdrażanym programom o 80 proc. spadła zachorowalność na chorobę niedokrwienną serca.

Mniej pieniędzy oznacza mniej badań diagnostycznych. Druzgocący był niedawny raport NIK, który pokazał, że w Polsce wydaje się wielokrotnie mniej na badania laboratoryjne niż w krajach wysoko rozwiniętych. Zbyt mało badań zlecają lekarze w podstawowej opiece zdrowotnej, kiedy można wykryć chorobę na wczesnym etapie, gdy jej leczenie jest znacznie tańsze. Aż 85 proc. badań jest wykonywanych w szpitalach, gdy choroba jest mocno zaawansowana, a wtedy jej leczenie jest znacznie droższe.

Oszczędności na profilaktyce i badaniach laboratoryjnych, oczekiwanie w kolejkach do badań diagnostycznych i do specjalistów – wszystko to powoduje, że w Polsce wiele chorób jest diagnozowanych w późniejszych stadiach niż w krajach Europy Zachodniej, przez co koszty leczenia rosną, a szansa na powrót chorego do zdrowia maleje.

Mniej pieniędzy wydawanych na ochronę zdrowia powoduje też, że wiele nowoczesnych leków, które często mogłyby zmienić rokowanie pacjentów, jest w Polsce nierefundowanych. Co prawda w ostatnich dwóch latach widać pod tym względem ogromną zmianę i każda nowa lista refundacyjna przynosi dobre wiadomości, jednak zapóźnienia z poprzednich lat są ogromne. A to powoduje, że pacjent z taką samą chorobą (np. onkologiczną) ma w Polsce mniejsze szanse na przeżycie niż w Czechach, na Węgrzech czy w Niemczech. Przy ocenie nowych leków w wielu krajach bierze się pod uwagę efektywność ekonomiczną, czyli na ile stosowanie nowych terapii jest opłacalne. W Polsce jednak ten „próg efektywności" jest dość niski: to trzy razy mniej PKB na osobę, czyli ok. 100 tys. zł, za roczną terapię. Wiele nowych leków kosztuje więcej, jednak oszczędności wynikające z ich niestosowania są pozorne. Pacjenci otrzymują przecież w zamian terapie starszego typu, mniej efektywne. One też kosztują, a do tego dochodzą jeszcze koszty hospitalizacji i wykonywanych badań. Gdyby to policzyć, mogłoby się okazać, że jednak zastosowanie nowych terapii byłoby bardziej efektywne. Zwłaszcza gdyby dodać jeszcze koszty pośrednie – zwolnień z pracy, przechodzenia na renty, opieki rodziny nad chorym. Nie mówiąc już o cierpieniu chorego i jego szansach na przeżycie.

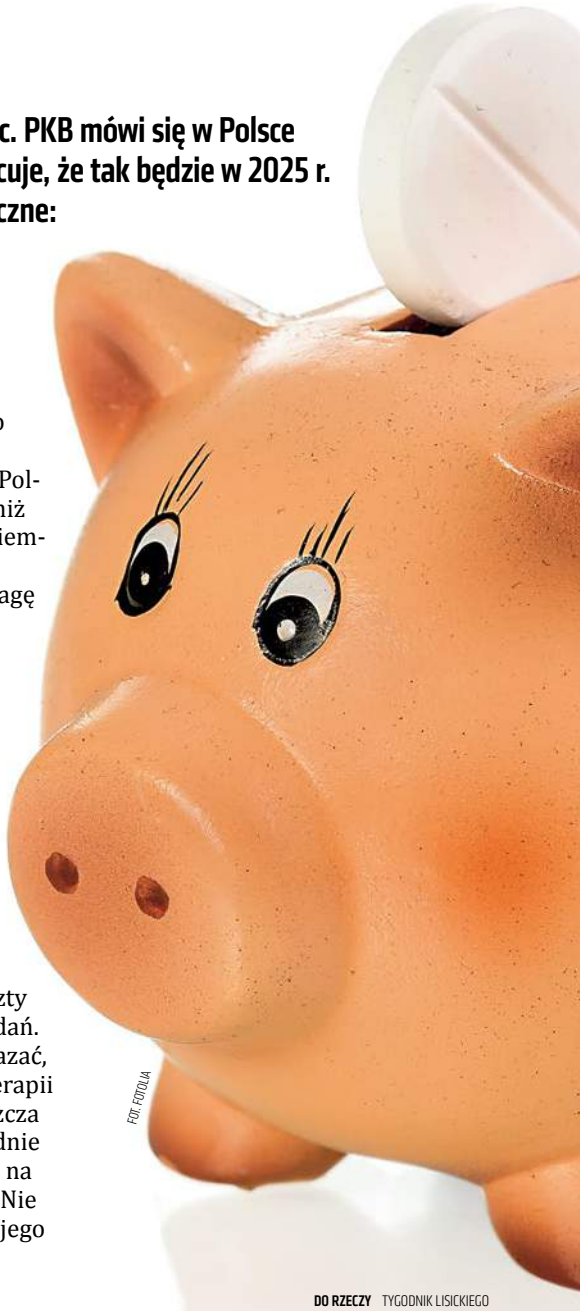

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl e6d6dc5680

Gdyby to wszystko porównać, okazałoby się, że znacznie bardziej opłacalne jest szybsze dojście do 6 proc. PKB, zainwestowanie w profilaktykę, badania i nowoczesne terapie. Tyle że pieniądze na leczenie są z Ministerstwa Zdrowia i NFZ, a za renty, zwolnienia z pracy płaci ZUS, podległy Ministerstwu Rodziny, Pracy i Polityki Socjalnej. Może więc dobry był pomysł połączenia obydwu ministerstw?

SUKCESY POLSKIEJ MEDYCYNY

Mimo od lat permanentnego niedoinwestowania polska medycyna ma sukcesy, którymi może się chwalić. Polscy kardiochirurdzy dziecięcy potrafią wykonywać najbardziej skomplikowane operacje. Na najwyższym światowym poziomie znajduje się chirurgia prenatalna. Profesor Henryk Skarżyński jest światowym liderem leczenia zaburzeń słuchu, wprowadza teraz kompleksowe programy wykrywania wad słuchu, wzroku, mowy. Kardiologia interwencyjna i nasz system leczenia zawałów serca są wręcz wzorcowe: nie ustępujemy Niemcom, którzy wydają na to znacznie większe pieniądze. Co prawda kuleje opieka pozawałowa, ale Ministerstwo Zdrowia zapewnia, że teraz się poprawi – dzięki wprowadzanej opiece koordynowanej.

Cudów dokonują onkolodzy i hematoonkolodzy, choć często nie dysponują takim samym arsenałem leków jak w innych krajach. Podobnie diabetolodzy, chociaż od 10 lat do refundacji w Polsce nie wszedł ani jeden nowy lek doustny w leczeniu cukrzycy typu 2.

Jednak umiejętności lekarzy to dziś nie wszystko. Już kilka lat temu obliczono, że w krajach UE, które wydają na opiekę zdrowotną mniej niż 2 tys. dol. na mieszkańca na rok (takich jak Polska), w ciągu roku umiera ok. 60 proc. osób, u których zdiagnozowano nowotwór złośliwy. Dla porównania w krajach, których nakłady na służbę zdrowia wynoszą 4 tys. dol. lub więcej (np. we Francji, w Niemczech czy Belgii), ten wskaźnik jest niższy niż 40 proc. Dlatego im szybciej dojdziemy do 6 proc. PKB na zdrowie (a nawet więcej), tym dłużej będziemy żyć. Profesor Wiesław Jędrzejczak, odbierając niedawno nagrodę Osobowość Innowacji tygodnika „Wprost", życzył, żebyśmy „robili coś pierwsi na świecie, przestali być papugą, tylko stali się jak orzeł, którego mamy w naszym godle". Do tego też potrzebne są procenty PKB.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Wiesław W. Jędrzejczak, konsultant krajowy w dziedzinie hematologii

Czy inwestycje w zdrowie są opłacalne? Pytanie trzeba raczej odwrócić: Czy nieinwestowanie w zdrowie jest bezkarne? Otóż nie. Zdrowie jest podstawowym (obok talentu i wykształcenia) wyznacznikiem wartości najważniejszego kapitału, jaki ma każdy kraj: kapitału ludzkiego. Niedoinwestowane zdrowie to zaniedbane profilaktyka i zachowania prozdrowotne, to strata ogromnej ilości czasu w kolejkach, opóźnienia w diagnostyce i leczeniu, skutkujące ostatecznie większymi kosztami i mniejszą skutecznością oraz wyłączeniem z produktywności istotnej części pracujących. To wreszcie utrata poczucia bezpieczeństwa powodująca zastępowanie postępowań ofensywnych postępowaniami defensywnymi, co nie sprzyja rozwojowi.
Czy bez inwestycji w zdrowie może wzrastać polski PKB? To zależy od fazy rozwoju społecznego. Wtedy, kiedy odbywa się to przez wykorzystanie prostych rezerw, to jest to bez znaczenia. Kiedy takie rezerwy są już wykorzystane, a zwłaszcza kiedy społeczeństwo się starzeje (a tak jest w Polsce), brak inwestycji w zdrowie oznacza przerzucenie bezpośredniej obsługi osób starych i niesprawnych na młode oraz sprawne, a tym samym odsunięcie ich od generowania PKB.

dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia, Uczelnia Łazarskiego

Kosztowo efektywne oraz racjonalne inwestycje w ochronę zdrowia poprawiają stan zdrowia obywateli. Inwestowanie w zdrowie obywateli jako kapitał ludzki zwiększa tzw. dywidendę społeczną, czyli wkład każdego obywatela w życie społeczne i gospodarkę kraju. Poprawa stanu zdrowia ludności prowadzi do wymiernego wzrostu produkcyjności obywateli i dochodu gospodarki danego kraju w postaci wytworzonych dóbr i usług oraz płaconych podatków i ubezpieczeń. Według szacunków OECD każdy dodatkowy rok oczekiwanej długości życia populacji UE przekłada się na 4-procentowy wzrost PKB. Wiele chorób przewlekłych oraz niezdrowy styl życia prowadzą do zmniejszenia wydajności, absencji oraz niezdolności do pracy. Absencja w pracy na poziomie od 3 proc. do 6 proc. czasu pracy oznacza roczny koszt blisko 2,5 proc. PKB. Około 10 proc. osób traci pracę z powodu chorób przewlekłych, natomiast ok. 25 proc. osób zatrudnionych cierpi na choroby przewlekłe, które utrudniają pracę i obniżają jej produktywność.

eprasa.pl e6d6dc5680

Z Wiktorem Janickim, prezesem Roche Polska
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Innowacje tworzymy nad Wisłą

KATARZYNA PINKOSZ: Roche jest obecny w Polsce już od ponad 100 lat. Co pan uważa za największy sukces w ciągu tego czasu?

WIKTOR JANICKI: Polska zawsze była dla Roche ważnym miejscem, nie tylko z punktu widzenia rynku dla naszych leków. Już przed wojną w Polsce była fabryka Roche. Wielu twórców leków innowacyjnych, m.in. Leon Sternbach, było z pochodzenia Polakami. Obecnie w Polsce są umiejscowione dwie ważne inwestycje Roche – Centrum Badań Klinicznych na Europę Wschodnią oraz Globalne Centrum Rozwiązań IT Roche. Rozwój, produkcja i dystrybucja nowoczesnych leków, zwłaszcza biotechnologicznych, nie byłaby możliwa bez zastosowania zaawansowanych systemów informatycznych, które umożliwiają szybki dostęp do informacji i podnoszą efektywność analizy danych. Działalność Globalnego Centrum Rozwiązań IT Roche umożliwia tworzenie innowacyjnych rozwiązań informatycznych właśnie w Polsce. Centrum już od wielu lat dostarcza rozwiązania informatyczne dla wszystkich oddziałów Roche w ponad 100 krajach. Interdyscyplinarność to klucz do kolejnych odkryć, dlatego Roche prowadzi działania na granicy trzech obszarów: farmacji, biotechnologii oraz informatyki. Wydajemy w Polsce rocznie 500 mln zł na badania i rozwój. To pokazuje, jak ważna jest dla nas Polska.

Czy polscy pacjenci korzystają na tym, że Regionalne Centrum Badań Klinicznych jest usytuowane właśnie w Polsce?

Polska jest wciąż krajem o dość ograniczonym dostępie do innowacyjnego leczenia. Dzięki temu, że Regionalne Centrum Badań Klinicznych jest usytuowane w Polsce, polscy pacjenci mogą skorzystać w większym stopniu z badań klinicznych. Trzeba jednak wspomnieć, że problemem są pewne przepisy, jeśli chodzi o prowadzenie badań klinicznych. Czekamy na zmiany legislacyjne, które zapowiada Ministerstwo Zdrowia. Niestety, jak na razie czas pozostały do rozpoczęcia badania klinicznego w Polsce jest dłuższy niż w krajach ościennych, przez co pacjenci często tracą szansę na dostęp do leczenia. Rynek innowacji jest obecnie bardzo konkurencyjny. Jeśli Polska z jakichś powodów przegrywa z innymi krajami, to innowacje nam uciekają.

Niedawno wraz z Centrum Onkologii w Warszawie utworzyliście Centrum Naukowo-Przemysłowe, gdzie będą prowadzone badania wczesnych faz. Na czym one polegają?

To jedna z największych inwestycji Roche w 2016 r. w Polsce. Dzięki działalności Centrum Naukowo-Przemysłowego w Polsce powstał pierwszy kompleksowy Oddział Badań Klinicznych Wczesnych Faz. Będą tu prowadzone badania kliniczne fazy pierwszej i drugiej. To ważne przede wszystkim dla pacjentów onkologicznych, którzy wyczerpali wszelkie opcje terapeutyczne i nie ma już dla nich żadnych dostępnych możliwości leczenia. Dzięki temu, że nowe leki będą badane w Centrum Onkologii w Warszawie, chorzy będą mieli dostęp do leków znajdujących się na wczesnym etapie badań klinicznych. To też szansa dla polskich lekarzy i naukowców, którzy będą mieli możliwość stosowania innowacyjnych cząsteczek.

Pacjenci już mogą korzystać z tych badań?

Ośrodek już istnieje, są w nim prowadzone pierwsze badania. Jest otwarty zarówno dla badań Roche, jak i innych firm. Docelowo chcemy, by rocznie wartość tych badań to było ok. 10 mln zł.

Roche ma obecnie 74 cząsteczki w badaniach klinicznych – tak wielu nowych leków można się już wkrótce spodziewać?

Jesteśmy firmą, która w 100 proc. ukierunkowała się na odkrywanie nowych leków: nie inwestujemy w leki generyczne, odtwórcze, biopodobne. Całość naszych wysiłków skoncentrowaliśmy na odkrywaniu nowych leków – stąd tak duży obszar badań klinicznych. Prowadzimy je m.in. w onkologii, immunoterapii, neurologii, gastroenterologii, reumatologii, hematologii.

Dzięki współpracy Roche z UW udało się niedawno skomercjalizować wynalazek polskich naukowców...

W ubiegłym roku Roche był częścią największej komercjalizacji wynalazku naukowego w Polsce. Naukowcy z UW

Inwestycje w Polsce

W 2016 r. Roche na obszar R&D (badanie i rozwój) w Polsce przeznaczył 542 mln zł, w tym 440 mln zł na rozwój usług informatycznych wspierających tworzenie innowacyjnych rozwiązań w medycynie, a 102 mln zł na badania kliniczne, czyli na rozwój nowych terapii lekowych. W 2016 r. Roche przeprowadził w Polsce 60 badań klinicznych, w których wzięło udział 1040 pacjentów.

eprasa.pl e6d6dc5680

dokonali przełomowego odkrycia w postaci uniwersalnego sposobu stabilizacji mRNA. Otworzyło ono drzwi do rozwoju współczesnej medycyny w zakresie immunoterapii i opracowania szczepionek przeciwnowotworowych. Posłuży ono nowym sposobom leczenia nowotworów – bardzo zindywidualizowanym. Pomysł na ten typ leczenia istniał od wielu lat, potrzebna jednak była technologia.

Zainspirowani tym przykładem nawiązaliśmy współpracę z Uniwersytetem Warszawskim. Chcemy wspierać nowe pomysły naukowców. Szukamy relacji partnerskiej, w której ramach firmy mogłyby się lepiej rozwijać we współpracy z Roche, a my mielibyśmy szansę lepiej zrozumieć to, co dzieje się w polskiej nauce.

To szansa na dobrą współpracę biznesu i instytucji naukowych?

Tradycyjnie był w Polsce pewien rodzaj nieufności co do współpracy między nauką a biznesem. Wymaga to uregulowania. Są jednak bardzo dobre przykłady z innych krajów – m.in. ze Szwajcarii, która jest kolebką firmy Roche – świadczące o tym, że partnerstwo publiczno-prywatne przynosi znakomite efekty. Mamy ambicję, by w Polsce powstawało jak najwięcej innowacyjnych leków. Chcielibyśmy, by Roche był ważnym partnerem Polski pod tym względem.

Jakich zmian oczekiwalibyście jako firma, żeby mieć w Polsce szansę lepszego rozwoju?

Kluczową kwestią jest popyt na innowacje. Żeby firma mogła inwestować w danym kraju, musi dostrzegać potencjał zbytu innowacji. Widzimy, że w Polsce zwiększa się liczba refundacji innowacyjnych leków, jednak nadal to niewiele. Dobrym krokiem byłby ich wzrost albo skrócenie czasu oczekiwania na decyzje refundacyjne.

Druga rzecz to większa przewidywalność. W Polsce borykamy się z dużą zmiennością przepisów refundacyjnych i ich interpretacji, przepisów podatkowych, przepisów wpływających na koszty pracy. Trudno planować pewne długoterminowe projekty.

Trzecia rzecz to dialog z interesariuszami publicznymi. Muszę powiedzieć, że w ostatnim czasie jest bardzo dobrze: zarówno dialog z Ministerstwem Zdrowia, jak i z Ministerstwem Rozwoju daje nadzieję na przyszłość. Mam wrażenie, że obie strony szukają rozwiązań, by z jednej strony Polacy byli leczeni według światowych standardów, a z drugiej – by odbywało się to w sposób korzystny dla polskiej gospodarki.

Jakie macie plany na rok 2018?

Nie chcę zdradzać wszystkich planów, mogę jednak powiedzieć, że wkrótce startujemy z programem: „Nauka ratuje życie". Jego ideą jest to, by różne projekty, które mają na celu rozwój nauki, przekładały się na życie i zdrowie Polaków. Wyróżnikiem strategii działania Roche w Polsce jest rozwój partnerstw z instytucjami naukowymi i czołowymi badaczami o charakterze tak potrzebnego w naszym kraju partnerstwa publiczno-prywatnego. Będziemy rozwijać wiele inicjatyw, zogniskowanych na pobudzanie innowacyjności Polaków, współpracę między nauką a biznesem. Mamy też nadzieję, że dzięki tego typu działalności powstaną polskie leki, które będą mogły być sprzedawane na całym świecie.

Wszyscy czekają na polskie leki polskiej firmy...

My wierzymy, że Roche Polska jest polską firmą: zatrudniamy polskich pracowników, płacimy w Polsce podatki, nasz wkład w polską gospodarkę jest naprawdę duży: jeśli mówimy o 500 mln zł wydawanych na badania i rozwój, to raczej niewiele jest polskich firm, które tyle wydają. Z jednej strony mamy zalety firmy globalnej, z drugiej – czujemy się polską firmą.

Roche jest firmą bardzo zdecentralizowaną. Wiele decyzji podejmuje się lokalnie. Warto zwrócić uwagę na to, że np. Oddział Badań Wczesnych Faz nie jest inicjatywą komercyjną. To jedna z takich działalności, która pozwala nam poczuć się polską firmą, gdyż inwestujemy w Polskę, czujemy się częścią społeczności.

A jak prezes firmy farmaceutycznej, której celem jest zdrowie, dba o własne zdrowie?

W firmie mamy wiele programów, których celem jest dbanie o zdrowie i aktywność fizyczną. Mamy wsparcie fizjoterapeutów, zajęcia z pilatesu, współpracujemy z kilkoma klubami sportowymi. Raz w roku mamy „tydzień dla zdrowia". A jeśli chodzi o moje zdrowie, to ponieważ mam dwóch synów w wieku 12 i 7 lat, to zapewniają mi mnóstwo ruchu: jazda na rowerze, gra w piłkę – to te formy ruchu, którym oddaję się z przyjemnością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MATERIAŁY PRASOWE ROCHE POLSKA

eprasa.pl

Męski rak – męskie decyzje

Katarzyna Pinkosz

– Z końcem jesieni jesteśmy świadkami przełomowych dla urologii decyzji Ministerstwa Zdrowia – mówi prof. Piotr Chłosta, prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego. Dzięki tym decyzjom pacjenci mają możliwość stosowania nowoczesnych terapii

Chodzi o leczenie raka prostaty, czyli nowotworu numer dwa w Polsce pod względem liczby zachorowań i zgonów u mężczyzn. Z jego powodu co roku umiera 5 tys. Polaków. Pierwsza z decyzji, o których mówi prof. Piotr Chłosta, kierujący też Katedrą i Kliniką Urologii UJ, dotyczy finansowania przez NFZ operacji laparoskopowych z asystą robota. W USA czy Europie Zachodniej stosuje się je już niemal rutynowo, gdy choroba jest wyłącznie miejscowo zaawansowana. Amerykańska FDA zarejestrowała tę metodę leczenia już w 2000 roku – a mimo to w Polsce jeszcze do niedawna była ona uznawana za eksperymentalną. – Po 17 latach wreszcie to się zmieniło. Cieszymy się ogromnie, choć nie wiem, czy to jest powód do dumy, czy do uderzenia się w piersi, że jesteśmy dopiero w przedsionku salonów, gdy inne kraje już od dawna są w środku – mówi prof. Chłosta.

Druga pozytywna decyzja dla polskiej urologii to objęcie refundacją od 1 listopada w ramach programu lekowego leczenia opornego raka prostaty leków hormonalnych nowej generacji: enzalutamidu, który poszerza wachlarz terapeutyczny po chemioterapii, oraz octanu abirateronu – na wcześniejszym etapie leczenia, czyli przed chemioterapią. Doszła również terapia dla chorych na raka prostaty z przerzutami do kości. – Dzięki tym decyzjom pacjenci zyskali dostęp do nowoczesnego leczenia, ich terapia będzie zbliżona do takiej, jaką mają chorzy w innych krajach Europy – dodaje prof. Chłosta.

NIETYPOWY NOWOTWÓR

Rak prostaty jest nowotworem innym niż wszystkie: nie zawsze jego wykrycie w ogóle wymaga leczenia, ale czasem trzeba je podjąć bardzo szybko. Jego diagnozowanie też nie jest proste. Nie ma czułego i swoistego markera, na podstawie którego można jednoznacznie ocenić: jest nowotwór czy go nie ma. Wraz z wiekiem liczba zachorowań rośnie (po 80. roku życia ma go już zdecydowana większość mężczyzn, choć coraz częściej diagnozuje się go też u osób młodych). To, czy trzeba wdrażać leczenie oraz jakie ono powinno być, zależy od wieku

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl e6d6dc5680

pacjenta i jego stanu zdrowia, stopnia zaawansowania nowotworu oraz jego złośliwości.

W celu wykluczenia raka prostaty zaleca się, by każdy mężczyzna po 40. roku życia raz na dwa lata udał się na wizytę u urologa. – Około 45. roku życia polecałbym wykonanie badania PSA. Jeśli wynik wynosi poniżej jednego nanograma na mililitr, to oznacza, że kolejne badanie można wykonać za 10 lat. Jeżeli stężenie PSA jest wyższe, to istnieje wyraźnie podwyższone ryzyko raka prostaty i badania PSA należy robić co roku – mówi prof. Piotr Wysocki, kierownik Kliniki Onkologii Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum i prezes Polskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej. Profesor przypomina jednak, że PSA nie jest idealnym markerem nowotworowym: podwyższony wynik nie zawsze musi świadczyć o raku prostaty. Zdarzają się też odwrotne przypadki, kiedy pomimo niskiego poziomu PSA nowotwór jednak występuje. – Dlatego badanie PSA zalecam u świadomych mężczyzn, którzy zdają sobie sprawę z tego, że podwyższony wynik nie musi oznaczać choroby, ale jeśli taki się pojawi, to może być konieczne wykonanie innych badań, nie zawsze przyjemnych, takich jak biopsja prostaty – dodaje prof. Wysocki.

Jeśli choroba jest tylko miejscowo zaawansowana, ale konieczne jest wdrożenie radykalnego leczenia, to pacjent ma wybór między prostatektomią, czyli usunięciem chirurgicznym całej prostaty (teraz będzie to już można zrobić laparoskopowo z wykorzystaniem robota), a radioterapią, czyli napromienianiem obszaru miednicy. – Obydwie metody leczenia mają porównywalne wyniki u pacjentów w odległej obserwacji – zaznacza prof. Chłosta.

Gdy choroba jest zaawansowana, z przerzutami, stosuje się leczenie hormonalne, które obniża stężenie androgenów (przede wszystkim testosteronu) w surowicy krwi. Jest to tzw. kastracja farmakologiczna (kiedyś stosowano kastrację chirurgiczną polegającą na usunięciu produkujących testosteron jąder). Zwykle jednak po pewnym czasie choroba przełamuje działanie leków i dochodzi do kolejnego nawrotu. Do niedawna w takim przypadku chorym w Polsce proponowano w pierwszej kolejności chemioterapię. Dopiero po jej zastosowaniu, gdy dochodziło do kolejnej wznowy, pacjenci mogli dostać leczenie hormonalne nowej generacji (dostępny był tylko jeden lek).

WCZEŚNIEJ, CZYLI SKUTECZNIEJ

– Dzięki zmianom w programach lekowych mamy teraz możliwość stosowania nowoczesnych leków hormonalnych zarówno przed chemioterapią, jak i po niej. Możemy lepiej dostosować leczenie do sytuacji pacjenta i naprawdę optymalizować naszą terapię – przyznaje prof. Wysocki.

– Nowoczesne leki hormonalne dostępne w formie doustnej działają zarówno przed chemioterapią, jak i po niej. W wielu przypadkach zastosowanie tych leków na wcześniejszym etapie choroby pozwala znacznie odroczyć moment rozpoczęcia chemioterapii, która jest leczeniem zdecydowanie gorzej tolerowanym – dodaje prof. Chłosta.

Wczesne wdrożenie nowoczesnego leczenia hormonalnego przed chemioterapią jest już od dawna standardem w krajach Unii Europejskiej. Pozwala ono zachować dobrą jakość życia pacjentów, wydłuża przeżycie całkowite, opóźnia progresję choroby oraz odsuwa w czasie wdrożenie toksycznej chemioterapii i wiążącej się z tym uciążliwej hospitalizacji. Problemem pozostaje jedynie to, że obecnie nowoczesne terapie hormonalne mogą w Polsce być zlecane wyłącznie przez onkologów. Zarówno Polskie Towarzystwo Urologiczne, jak i Polskie Towarzystwo Onkologii Klinicznej są zgodne, że również urolodzy powinni mieć możliwość stosowania tej terapii u chorych. – To urolog jest lekarzem, który diagnozuje chorego na raka prostaty, prowadzi go przez leczenie i jest z chorym do końca jego życia. On pierwszy zauważy, że dotychczas stosowane leki hormonalne przestają działać, nie będzie więc niepotrzebnej zwłoki w optymalnym leczeniu – argumentuje prof. Chłosta. Oczywiście takie leczenie powinno być stosowane przez urologów współpracujących z ośrodkami onkologicznymi i mających doświadczenie w leczeniu pacjentów z nowotworem prostaty.

NIE ŚMIERTELNA, TYLKO PRZEWLEKŁA

Dzięki dobraniu leczenia odpowiedniego do stanu chorego i typu jego nowotworu, a także zastosowaniu nowoczesnego leczenia rak prostaty coraz częściej staje się chorobą przewlekłą, z którą można żyć przez wiele lat i z której powodu wcale nie trzeba umierać. Co więcej, nowoczesne techniki urochirurgiczne, a także leki hormonalne nowej generacji pozwalają chorym nie tylko żyć, lecz także w pełni korzystać z życia, być aktywnymi społecznie, zawodowo, rodzinnie. Dzięki decyzjom Ministerstwa Zdrowia powoli staje się to coraz bardziej prawdopodobne także w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Wiśniewski, Fundacja Onkologiczna Alivia:

Czy rząd jest gotowy na zmiany?

W ostatnich tygodniach Ministerstwo Zdrowia podjęło decyzje, które całkowicie zmieniają kwestię dostępności terapii dla pacjentów walczących z zaawansowanym rakiem prostaty. Do refundacji weszły nowe terapie, skuteczne m.in. przeciwko przerzutom do kości, które są wielkim problemem dla chorych. Co więcej, leki dotychczas refundowane tylko dla wąskiej grupy pacjentów teraz będą dostępne szerzej – będzie można je zastosować przed podaniem chemioterapii. Badania naukowe pokazują, że taki schemat leczenia sprawia, iż pacjenci żyją dłużej w lepszym zdrowiu. Po raz kolejny gratulujemy resortowi tych decyzji. Dostrzegamy pozytywną zmianę w podejściu Ministerstwa Zdrowia do finansowania leków onkologicznych.

Kilka ostatnich miesięcy przyniosło zmianę w schemacie leczenia raka jelita grubego, chorób hematologicznych, o których rozmawiano od lat. Tym, co nas martwi, jest ograniczony budżet na refundację, którym dysponuje resort. Rośnie on kilkukrotnie wolniej niż pozostałe wydatki Narodowego Funduszu Zdrowia. Skoro w końcu mamy w resorcie zdrowia ludzi, którzy umieją zrobić fantastyczny użytek z przekazanych im środków na finansowanie terapii onkologicznych, to zadbajmy o to, żeby mieli ich jak najwięcej. Do tego namawiamy zarówno ministra zdrowia, jak i ministra finansów. Te decyzje są potrzebne, aby polscy pacjenci mogli liczyć na leczenie zgodne z aktualną wiedzą medyczną. Czy rząd jest gotowy na tę zmianę?

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. FOTOLIA

Z Markusem Siegerem, prezesem Grupy Polpharma
rozmawia Anna Król

Uczynimy Polskę liderem w biotechnologii

ANNA KRÓL: Polpharma otrzymała nominację do Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP w kategorii Badania i Rozwój. Co robicie w tej dziedzinie?

MARKUS SIEGER: Dziękujemy Kapitule Nagrody Prezydenta za docenienie naszych działań w dziedzinie, która – w naszym przekonaniu – jest kluczowa dla zwiększenia konkurencyjności Polski w oparciu o innowacyjne technologie oraz zaawansowane produkty. Polpharma rozwija się w segmencie zaawansowanych leków generycznych, które wykorzystują innowacyjne technologie wytwarzania i nowoczesne postaci leków, zwiększające komfort, a w konsekwencji także skuteczność terapii. Zgodnie z raportem Europejskiego Urzędu Patentowego za 2016 r. zajmujemy pierwsze miejsce wśród wszystkich polskich przedsiębiorstw pod względem liczby europejskich zgłoszeń patentowych. Plasuje to naszą firmę w ścisłej czołówce najbardziej innowacyjnych podmiotów w kraju.

Polpharma to jednak nie tylko leki generyczne...

Postawiliśmy też na rozwój w przełomowej dziedzinie, jaką jest biotechnologia. Leki biologiczne są nadzieją dla wielu pacjentów cierpiących na ciężkie choroby, takie jak nowotwory czy schorzenia o podłożu immunologicznym, dla których nie było dotąd możliwe zastosowanie leków klasycznych opartych na związkach chemicznych. Rozwój biotechnologii w Polsce umożliwi pacjentom dostęp do najnowocześniejszych terapii, a polskiej gospodarce da impuls do rozwoju w jednym z najbardziej innowacyjnych sektorów – na wzór Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii czy Korei Południowej.

Polpharma jest największym polskim producentem leków i liderem polskiego rynku farmaceutycznego. Inwestujemy ponad 200 mln rocznie w badania i rozwój, komercjalizację wiedzy naukowej oraz najnowocześniejsze rozwiązania, tworząc potrzebne pacjentom produkty oraz atrakcyjne miejsca pracy dla polskich naukowców. Zatrudniamy 4,3 tys. osób, a wśród nich 466 pracowników działów B+R (badania i rozwój), którym dajemy atrakcyjne możliwości realizacji ambicji naukowych i rozwoju kariery w Polsce. Warto podkreślić, że przyczyniamy się do budowy innowacyjnej gospodarki w całym łańcuchu wartości. W Polsce nasze leki opraco-

eprasa.pl e6d6dc5680

wujemy, tu je produkujemy, stąd je również eksportujemy, realnie wpływając na rozwój gospodarczy oraz poprawę bilansu handlowego kraju. Sektor farmaceutyczny to przemysł wysokich technologii, a rozwój tej gałęzi gospodarki stawia Polskę na wyższym pułapie konkurencyjności. Warto zatem wspierać ten obszar, by ewoluował w kierunku coraz bardziej zaawansowanych rozwiązań technologicznych.

A co rozwój biotechnologii oznacza dla Polpharmy?

Rozwój i produkcja leków biologicznych stanowią wielkie wyzwanie dla polskich firm ze względu na konieczność posiadania odpowiednich kompetencji oraz bardzo wysokie koszty inwestycji. Polpharma podjęła to wyzwanie, które ma charakter wielowymiarowy – inwestycji infrastrukturalnej, inwestycji w know-how i rozwój technologii produkcji, powołania zespołu ekspertów na najwyższym poziomie oraz inwestycji w międzynarodowe partnerstwa niezbędne do rozwoju i komercjalizacji produktów.

Na inwestycje biotechnologiczne firmy składają się laboratorium badań i rozwoju oraz obszar produkcji ulokowane w Gdańskim Parku Naukowo-Technologicznym, a także nowo budowana fabryka w Duchnicach pod Warszawą, gdzie będzie prowadzona produkcja na skalę komercyjną z przeznaczeniem na rynek globalny. Nowa fabryka to jeden z najnowocześniejszych zakładów biotechnologicznych w Europie i największa inwestycja prowadzona od zera w polskim przemyśle farmaceutycznym w ostatnich latach. Do tej pory Polpharma przeznaczyła 520 mln zł na rozwój i produkcję leków biologicznych, a w ciągu następnych kilku lat zamierza zainwestować w Gdańsku i Duchnicach kolejne 1,26 mld zł.

Biotechnologia to też szansa na nowe rynki dla nowych leków?

Inwestycja w biotechnologię jest częścią strategii ekspansji Polpharmy, gdyż umożliwia konkurowanie na poziomie światowym w najnowocześniejszej i najbardziej przyszłościowej grupie leków, co pozwoli nam na przejście od skali regionalnej do skali globalnej. Dotychczasowy profil działalności w oparciu o klasyczne leki generyczne umożliwiał nam rozwój na rynkach tradycyjnej ekspansji polskiego przemysłu, czyli w Rosji i krajach WNP. Obecna strategia rozwojowa oparta na sektorze biotechnologii to zupełnie nowe możliwości zwiększenia konkurencyjności firmy i efektywnej sprzedaży naszych produktów na rynku globalnym także w formule B2B. To jednocześnie wielka szansa dla polskiej gospodarki z racji zlokalizowania tej inwestycji w kraju. Staniemy się centrum produkcji biotechnologicznej ze znaczącą dominantą eksportu. Ten kierunek rozwoju Polpharmy wpisuje się w Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju Polski oraz technologie przyszłości, o których mówił prezydent Andrzej Duda w październiku tego roku.

Jesteśmy polską firmą, która ma już duże sukcesy na polu biotechnologii i jasną wizję rozwoju obejmującą rynek globalny

Co jest największym wyzwaniem w rozwijaniu tej dziedziny?

Musimy sobie zdać sprawę, że rozwój leków biologicznych, w tym także bionastępczych, wymaga czasu i ogromnych inwestycji. Musi on również postępować dynamicznie, by produkt miał szansę być pierwszym lub jednym z pierwszych na danym rynku. Każda faza rozwoju leku musi być wypracowana na najwyższym światowym poziomie, tu nie ma żadnej drogi na skróty. To właśnie wpływa na wysokość nakładów inwestycyjnych, które są nieporównywalne wyższe od tradycyjnych metod stosowanych przy lekach generycznych. Rozwój jednego produktu bionastępczego trwa ok. siedmiu lat i pochłania nakłady finansowe w wysokości od 300 do 450 mln zł. Polpharma prowadzi w tej chwili pięć projektów własnych leków bionastępczych, finansując je ze środków własnych, kredytu Europejskiego Banku Inwestycyjnego oraz grantów z NCBR.

Jakie działania mogą wesprzeć polski sektor biotechnologiczny?

Biorąc pod uwagę to, że cykl inwestycyjny i rozwojowy dla tego typu produktów jest dłuższy od cykli politycznych, szczególnie ważne jest dla nas zapewnienie stabilności regulacji oraz strategiczne porozumienie na poziomie administracji publicznej, a także wszystkich kluczowych interesariuszy, by tę dziedzinę wspierać. Potrzebne są skuteczne rozwiązania prawne, instrumenty finansowania działalności badawczo-rozwojowej i metody wsparcia tego młodego sektora, by uzyskał wiarygodność na poziomie międzynarodowym.

Cieszymy się, że w tej chwili powstaje szczegółowy plan wspierający rozwój biotechnologii w Polsce i aktywnie uczestniczymy w pracach, które koordynowane są przez Ministerstwo Rozwoju. Jesteśmy dobrej myśli, ponieważ w ramach tego programu Polski Fundusz Rozwoju patronował konstruktywnej dyskusji pomiędzy interesariuszami tego sektora i w krótkim czasie wypracowano wiele konkretnych narzędzi umożliwiających bardziej dynamiczny rozwój tej branży. Kolejną fazą jest proces włączenia tych narzędzi do funkcjonowania ważnych instytucji państwowych, takich jak NCBR, PAN, Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Edukacji.

Ze względu na to, że w Polsce nie prowadzono dotąd na dużą skalę produkcji leków biologicznych, problemem jest także brak doświadczonych kadr. Dlatego zachęcamy do powrotu do Polski specjalistów, którzy wcześniej pracowali w firmach za granicą, oraz rozwijamy praktyczną współpracę z uczelniami, aby lepiej przygotować przyszłych pracowników do wyzwań w tej dziedzinie.

Jesteśmy polską firmą, która ma już duże sukcesy na polu biotechnologii i jasną wizję rozwoju obejmującą rynek globalny. Wierzymy, że przy wsparciu rządu i w ścisłej kooperacji biznesu oraz nauki w ciągu kolejnych lat uczynimy Polskę liderem biotechnologii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Markus Sieger** – od 2000 roku związany z polską Grupą Polpharma, wspierał procesy rozwoju firmy po jej prywatyzacji w oparciu o polski kapitał. Od czerwca 2016 r. na stanowisku prezesa spółki.*

eprasa.pl e6d6dc5680

Z Krzysztofem Kępińskim, członkiem zarządu GSK
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Czyny muszą iść przed słowami

KATARZYNA PINKOSZ: Inwestujecie w Polsce od 20 lat. Z czego jesteście szczególnie dumni?

KRZYSZTOF KĘPIŃSKI: Pierwsze działania pojawiły się już 40 lat temu, ale rzeczywiście od blisko 20 lat łączą nas z Polską wielowymiarowe inwestycje. Wdrażano je stopniowo. W 1998 r. włączyliśmy poznańską fabrykę leków do sieci globalnych zakładów produkcyjnych GSK. Zmodernizowaliśmy infrastrukturę oraz park maszynowy, dzięki czemu Poznań stał się ośrodkiem, który obecnie produkuje leki dostarczane do ponad 120 rynków na całym świecie. Dzisiaj widzimy efekty tej decyzji: codziennie w Poznaniu produkujemy 8,5 mln tabletek i 1,3 mln kapsułek.

Cieszymy się, że możemy rozwijać naszą działalność w Polsce również w innych obszarach. Kilka lat temu w podpoznańskich Gądkach utworzono Centrum Logistyczno-Dystrybucyjne, dzięki któremu Polska stała się centrum zarządzania dostawami leków i szczepionek GSK na 12 rynków europejskich. Do centrum trafiają leki nie tylko z Poznania, lecz także innych fabryk GSK. Obsługuje ono także dostawy szczepionek, które wymagają spełnienia najwyższych standardów jakościowych i technologicznych związanych z zarządzaniem zimnym łańcuchem. Każdego roku ok. 14 mln dawek szczepionek z Polski trafia do pacjentów w Europie.

Polska jest dobrym miejscem na inwestycje w sektorze ochrony zdrowia?

Myślę, że podobnie jak wielu inwestorów doceniamy dynamiczny rozwój Polski, stabilny wzrost gospodarczy, warunki sprzyjające inwestowaniu, świetne położenie geograficzne, a przede wszystkim wysokie kwalifikacje polskich pracowników. Dla nas, jako innowacyjnej firmy działającej w sektorze ochrony zdrowia, najważniejsze są czynniki, które pozwalają prowadzić działalność opartą na badaniach i rozwoju. Warto wspomnieć o wielkim potencjale polskich pracowników i naszych partnerów biznesowych. Na co dzień pracujemy z ok. 2,5 tys. podmiotów, z czego zdecydowana większość to przedsiębiorstwa polskie. Zanim kolejny projekt trafi do Polski, musimy wygrać konkurencję z innymi krajami. W tych rozmowach zawsze możemy liczyć na ekspertyzę instytucji publicznych zajmujących się inwestycjami, takich jak Ministerstwo Rozwoju, Państwowa Agencja Inwestycji i Handlu, lokalny samorząd czy władze Poznania. Na różnych międzynarodowych forach przekazujemy nasze doświadczenia jako wieloletniego inwestora w Polsce także innym firmom zainteresowanym rozwojem działalności w Polsce. Staramy się, aby działalność GSK była wizytówką Polski za granicą.

Jak w Polsce – w porównaniu z innymi krajami – prowadzi się działalność związaną z przemysłem farmaceutycznym?

Polska wdrożyła wiele zunifikowanych procesów w obszarze ochrony zdrowia. Lek czy szczepionka zarejestrowane w procedurze centralnej w Europejskiej Agencji Leków mogą być sprzedawane w Polsce. To stwarza pacjentom szansę na szybki dostęp do najnowszych terapii. Wysiłki, by pacjenci w Polsce mieli dobry dostęp do nowoczesnego leczenia i profilaktyki, są zauważalne również poza granicami naszego kraju. W wyniku wprowadzenia programu „Leki 75+" zdecydowanie poprawił się dostęp do skutecznego i nowoczesnego leczenia osób starszych. Cieszymy się, że w tym programie znajdują się również innowacyjne leki, także te produkowane w poznańskiej fabryce.

Warto też wspomnieć o dzieciach: w tym roku, po wielu latach oczekiwania, wszystkie nowo narodzone dzieci są objęte obowiązkowym i bezpłatnym

eprasa.pl e6d6dc5680

FOT. FOTOLIA

Decyzja o włączeniu szczepień przeciw pneumokokom do kalendarza szczepień ochronnych sprawiła, że Polska dołączyła do większości krajów unijnych, które takie programy prowadzą

szczepieniem przeciw pneumokokom. To jeden z bardzo ważnych filarów polityki prorodzinnej. Decyzja o włączeniu szczepień przeciw pneumokokom do kalendarza sprawiła, że Polska dołączyła do większości krajów unijnych, które takie programy prowadzą. W wyniku przeprowadzonego w ubiegłym roku przetargu program jest realizowany szczepionką produkowaną i dostarczaną przez GSK. To ta sama szczepionka, która jest wykorzystywana w programach szczepień w kilkudziesięciu krajach, m.in. w Austrii, Belgii, Finlandii czy Holandii. Doświadczenia innych krajów, ale też ocena dostępnych wyników badań, w tym przeprowadzona na zlecenie WHO, pokazują, że populacyjne szczepienia dzieci, niezależnie od tego, którą szczepionką jest realizowany program, skutecznie chronią najmłodszych przed niezwykle groźną inwazyjną chorobą pneumokokową.

Polska może przyciągnąć inwestycje w przemyśle farmaceutycznym i biotechnologii?

Jeśli chodzi o potencjał Polski, to zdecydowanie jestem optymistą. Myślę, że oprócz tych mocnych stron, o których wspominałem, rząd pracuje też nad rozwiązaniami, które mogą jeszcze bardziej wzmocnić atrakcyjność Polski. W Strategii Zrównoważonego Rozwoju nasza branża jest jedną z priorytetowych. Oznacza to szansę na pojawienie się nowych narzędzi i mechanizmów wspierających jej rozwój. Braliśmy udział w konsultacjach Programu Rozwoju Biotechnologii. Jestem przekonany, że może on zbudować mocne podstawy do rozwoju i promocji naszej branży. Dodatkowo w Ministerstwie Zdrowia i Ministerstwie Rozwoju trwają prace nad Refundacyjnym Trybem Rozwojowym, czyli nowym instrumentem pobudzania działalności inwestycyjnej i badawczo-rozwojowej w sektorze ochrony zdrowia. Myślę, że będzie to bardzo wymierne i skuteczne narzędzie zachęcania dotychczasowych oraz nowych inwestorów do wdrażania kolejnych projektów w Polsce.

Jesteśmy ciekawym krajem pod kątem działalności badawczo-rozwojowej?

Już teraz Polska jest dla nas ważnym ośrodkiem, jeśli chodzi o prace nad nowymi lekami. Prowadzimy ok. 40 badań klinicznych, w których uczestniczy 500 pacjentów. Mamy też wkład we wcześniejsze fazy procesu badawczo-rozwojowego, w tym w badania podstawowe. Kilka tygodni temu odbyła się uroczystość, podczas której wspólnie z wiceministrem rozwoju Tadeuszem Kościńskim, ambasadorem brytyjskim, władzami Poznania oraz przedstawicielami środowiska akademickiego i biznesu podsumowaliśmy kolejny etap rozwoju Centrum Usług Biznesowych GSK IT. Dzisiaj w jego ramach działa zespół R&D, który na co dzień działa z 11 tys. naukowcami z GSK, dostarczając im rozwiązania aplikacyjne i informatyczne, które są wykorzystywane w pracach nad nowymi lekami. Nowe technologie mogą usprawnić prace nad nowymi terapiami. Warto przypomnieć, że na nowy lek pracujemy nawet 13 lat, a statystycznie tylko dwa spośród 10 tys. badanych związków staną się lekiem. Dlatego wsparcie, jakiego dostarczają naukowcom polscy specjaliści, jest nieocenione.

Od kilka lat GSK wdraża program przejrzystości, m.in. zobowiązała się do ujawniania płatności, których dokonuje na rzecz lekarzy.

Kodeks przejrzystości EFPIA (Europejskiej Federacji Przemysłu i Stowarzyszeń Farmaceutycznych) jest inicjatywą przemysłu farmaceutycznego. Wprowadzenie kodeksu wpisuje się także w ogólnoświatowy trend dążenia do większej przejrzystości i odpowiedzialności. To jest dokładnie to, czego oczekują środowiska związane z ochroną zdrowia i społeczeństwa na całym świecie – że będziemy ujawniać informacje o naszej współpracy z otoczeniem zewnętrznym. W naszym działaniu kierujemy się zasadą: „Brak zgody na ujawnienie danych to brak umowy", aby zachęcać do ujawniania informacji na poziomie indywidualnym. Tak działamy oczywiście także w Polsce.

A jakie są wasze dalsze plany, jeśli chodzi o inwestycje?

Staramy się, by czyny szły przed słowami – na tym polega odpowiedzialność. Tylko w ubiegłym roku zainwestowaliśmy 100 mln zł w Polsce. Nie mogę na tym etapie mówić o szczegółach kolejnych projektów. Mogę zapewnić, że jako GSK nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa, jeśli chodzi o naszą działalność inwestycyjną w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Kępiński jest członkiem zarządu oraz dyrektorem relacji zewnętrznych i publicznego rynku szczepionek w GSK.

eprasa.pl e6d6dc5680

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Kwity na hetmana

Twardy orzech do zgryzienia mieliby historycy, którzy wzorem polityków chcieliby zebrać tzw. kwity na hetmana Stanisława Żółkiewskiego, jednego z największych wodzów Rzeczypospolitej. Jak podaje Władysław Łoziński, w aktach grodzkich województwa ruskiego nie ma ani jednej protestacji przeciwko niemu. Być może dlatego, że z hetmanem, mającym do dyspozycji wojsko kwarciane, strach było zadzierać. Żółkiewski zapisał się dosłownie posągowo, kolejno jako wódz, polityk, pisarz, twórca praw, rozjemca licznych sporów na Rusi.

Z dzieł wielkich: wygrał bitwę pod Kłuszynem w 1610 r., kultową dla wszystkich rekonstruktorów i miłośników husarii, z trzema tysiącami jazdy pokonał dziesięciokrotnie silniejsze wojska moskiewskie i szwedzkie. Zdobył Moskwę i podpisał ugodę powołującą na carski tron królewicza Władysława, późniejszego króla Rzeczypospolitej. Stworzył „Początek i progres wojny moskiewskiej", gdzie wzorując się na pamiętnikach Juliusza Cezara, pisał o sobie samym w trzeciej osobie.

Z „kwitów" znalazłem tylko trzy awantury z jego udziałem. Jedną pod Pskowem w 1581 r., kiedy wywołał gniew Zamoyskiego. Hetman bowiem skazał na śmierć niejakiego Gołkowskiego, który pobił się z krajczym koronnym, Jerzym Mniszchem, jednak Żółkiewski wyznaczony do pilnowania jeńca pozwolił mu zbiec.

Drugą było ujęcie Samuela Zborowskiego. To właśnie przyszły hetman razem z Mikołajem Urowieckim, podstarościm krakowskim, wdarli się w maju 1584 r. do majątku Włodkowej w Piekarach, aby schwytać osobistego wroga Zamoyskiego, którego 26 maja kanclerz ściął na Wawelu. Czyniąc go w oczach stronnictwa Zborowskich zamordowanym z prywaty męczennikiem, a w umysłach głupców i romantyków – największym polskim buntownikiem. Dlatego w grudniu 1584 r. na sejmiku w Sądowej Wiszni Żółkiewski, broniąc interesów Zamoyskiego, prawie pobił się z Janem Harburtem, wyzwał go zresztą na pojedynek, ale adwersarz nie wychylił nosa z dworu. Do kolejnych

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

awantur doszło na sejmie w lutym 1587 r., w Warszawie, kiedy zaatakowany został przez stronników Zborowskich. Jako poseł – słownie, a jako żołnierz – żelazem. Kiedy opuszczał zamek, w jego otoczenie chciał przedrzeć się człowiek z ogoloną głową i w czerni. Po czym rzucił czekanem. „Na mnież to?" – zapytał zdumiony Żółkiewski. „Na ciebie z kurwy synu" – padła prosta i treściwa odpowiedź.

Nie dziwi zatem to, że jako stronnik Zamoyskiego brał udział w bitwie pod Byczyną ze stronnikami arcyksięcia Maksymiliana, gdzie został postrzelony w kolano. Żółkiewski przeżył, ale do końca życia miał problem z jazdą na koniu. Na najwspanialszą kawaleryjską bitwę jazdy polskiej pod Kłuszynem udał się… karetą.

Bez wątpienia jednak wyróżniał się spokojną – jak na XVII w. – naturą. Niestety, to właśnie stało się jego zgubą. Kilkakrotnie bowiem jako hetman polny, a potem wielki miał kłopoty z wojskiem; nie potrafił opanować buntowniczych żołnierskich charakterów. Żołnierza polskiego zaś w XVII w. należało jednocześnie kochać i wieszać, a Żółkiewski pod koniec życia potrafił już tylko… moralizować.

Pierwszy raz wojsko zbuntowało się w 1596 r. pod Łubnami – po kapitulacji Kozaków urządziło rzeź poddających się mołojców. Hetman nie był w stanie jej zapobiec, choć uczciwie należy przyznać, że bolał nad przelewem krwi. W 1618 r. pod Oryninem nie mógł narzucić komendy prywatnym chorągwiom zgromadzonym do odparcia Tatarów, którzy dzięki temu wymknęli się z łupami i jasyrem. Dwa lata później, pod Cecorą, zbuntowali się przeciwko hetmanowi prawie wszyscy dowódcy pułków i uciekli z obozu, próbując przebić się do granic Rzeczypospolitej. Żółkiewskiemu zabrakło siły i brutalności swojego litewskiego kolegi – hetmana Jana Karola Chodkiewicza, który potrafił gonić, rzucić buławą, a przy tym „łajać od matki" sprzeciwiającego się jego woli Marcina Kazanowskiego. Hetmanowi wprawdzie udało się zebrać pozostałych żołnierzy i przeprowadzić odwrót taborem aż do granicy, jednak na koniec doszło do kolejnego buntu, kiedy nieopatrznie zapowiedział, że po powrocie ukaże winnych rabunków. Lisowczycy i czeladź rozerwali wówczas szyk wozów oraz uszli, co wykorzystali Tatarzy. Żółkiewski próbował w otoczeniu kilkuset żołnierzy wydostać się z pułapki, został jednak otoczony przez wrogów. Ponoć hetman sam zsiadł z konia i przebił go szablą, dając znać, że nie zamierza uciekać. Nad ranem Turcy odnaleźli jego ciało z odciętą prawą ręką i raną na skroni. Sterany wiekiem Żółkiewski skończył jako męczennik, a w 1939 r. prasa katolicka podejmowała nawet starania, aby uznać go za świętego. ©℗

eprasa.pl e6d6dc5680

ORMIAŃSKI PRZYSMAK NA SPECJALNE OKAZJE

Chciałbym zachęcić państwa do spróbowania tradycyjnej zupy polskich Ormian, którzy przybyli na tereny Pokucia z Azji Mniejszej bądź z Bałkanów. Jest to gandżabur, zwany też zupą pietruszkową. Przygotowanie tego dania jest bardzo pracochłonne, jest to posiłek spożywany zazwyczaj podczas świąt kościelnych lub rodzinnych. Stolicą gandżaburu jest miasto Kuty nad Czeremoszem, niemniej Ormianie rozpowszechnili tę tradycję również wśród Polaków. Do dziś gandżabur jest przygotowywany przez Polaków i Ormian pochodzących z tych terenów lub ich potomków, mieszkających na Dolnym Śląsku. Osobiście miałem okazję jeść gandżabur m.in. w Obornikach Śląskich i Oławie. Urok tego dania polega na bardzo silnym zielonym kolorze i na tym, że pietruszka zachowuje wszystkie swoje właściwości odżywcze.

Składniki:

• bulion mięsno-warzywny • mleko • śmietana • nać pietruszki • uszka z mięsem

Przygotowanie:

Przepis jest dość skomplikowany. Mając ograniczone miejsce, muszę iść nieco na skróty. Kilka tygodni przed dniem, kiedy chcemy podać gandżabur, skubiemy listki z naci pietruszki, by przygotować z nich podstawę zupy – chorut. Najpierw przez ok. 2 tygodnie kwasimy mleko, a następnie dodajemy odrobinę gęstej śmietany i zmieloną pietruszkę. Gotujemy na małym ogniu, aby wygotować wodę i by konsystencja pozwalała na formowanie stożków, które będziemy suszyć przez kolejne tygodnie. Gdy stożki są na tyle suche, by można było je zetrzeć na tarce, możemy przygotowywać zupę. Rzecz polega po prostu na starciu chorutu do wywaru mięsno-warzywnego, czyli naszego rosołu. Dzięki temu zupa nabiera specyficznego smaku i intensywnego zielonego koloru. Gandżabur najlepiej podawać z malutkimi uszkami wypełnionymi gotowanym mięsem baranim bądź wołowym. Powinny być zdecydowanie mniejsze od tych używanych np. do wigilijnego barszczu. Gospodynie przygotowujące gandżabur robią to z zegarmistrzowską precyzją, starając się, by uszka były jak najmniejsze, a w zupie przypominały groszek. ©℗

oprac. raw

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski jest polskim Ormianinem, duchownym katolickim obrządków ormiańskiego i łacińskiego, historykiem Kościoła, społecznikiem.

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Psycholog w lodówce

Po czym poznać modelkę? Po tym, że ma w lodówce tylko rajstopy. Wiadomo – w tym fachu żołądek można wypełnić wacikami, za to bez rajstop ani rusz...

Jednak są i tacy, którzy nie zasną, jeśli nie wypełnią szczelnie swojej lodówki. Bo a nuż ktoś wpadnie? Albo ktoś będzie chciał zagryźć smutek? Nie jakąś złapaną w pośpiechu byle parówką, ale czymś naprawdę wyszukanym. Zatem obok jogurtu i żółtego sera przyda się mieć pod ręką topinambur, sos ostrygowy, anchois, wędzonego jesiotra... Sięgniesz po nie, jeśli złapie cię ochota.

FOT. FOTOLIA

Szczegółową analizę takich przypadków przeprowadzili już psychologowie. Pokaż mi swoją lodówkę, a powiem ci, kim jesteś – zadecydowali. Niepewność? Frustracja? Obfitość jedzenia, do którego w każdej chwili możesz sięgnąć, daje poczucie bezpieczeństwa. I nie trzeba wcale być z pokolenia, które zaznało biedy, głodu czy wojny. Nawet bez tych traum można odczuwać horror vacui, strach przed pustką, który domaga się natychmiastowego wypełnienia. Oczywiście lodówki. Jest to rodzaj archaicznego instynktu nakazującego przezorność. Nieważne, że jedzenia masz więcej, niż twoja rodzina jest w stanie zjeść. Zrobić detoks lodówki, wyrzucając z niej kapary, którym dawno minął termin przydatności, na wpół zeschnięty ementaler i spleśniałą kiełbasę byłoby jak skoczyć w przepaść... Niech lepiej będą, nawet zepsute.

Jest też inna możliwość. Wszystko przewidzieć, wszystko mieć pod kontrolą – to motyw kompulsywnych zbieraczy jedzenia. Podobny do pierwszego, tylko że tu mamy do czynienia nie z obawą, ale z potrzebą władzy nad rzeczywistością. Wszystko przewidzieć, mieć w zasięgu ręki nawet najrzadziej używane ingrediencje daje poczucie, że nad sytuacją całkowicie panujemy.

Francuski socjolog codzienności Jean-Claude Kaufmann ma jeszcze inną teorię. Według niego lodówka jest terytorium, na którym rozgrywają się pojedynki między członkami rodziny. Zakupy robi mąż – kupuje to, co sam lubi: kiełbasę i kiszone ogórki. Żona zapełnia lodówkę szpinakiem i jarmużem, nastoletnie dzieci jogurtami owocowymi, coca-colą i chińskimi zupkami.

Kto wygrywa? Ten, kto najczęściej robi zakupy, kto gotuje i... kto ma najwięcej pieniędzy.

Skutek uboczny: wieczne pretensje domowników jednych do drugich. Po co kupujesz te wstrętne zupki? Znowu przesolona szynka konserwowa, kto to kupił?

A pretensje skierowane są najczęściej do szefowej kuchni: Znowu na obiad pomidorowa? ©℗

a.pl e6d6dc5680

NASZ TEST: HYBRYDOWE VOLVO XC90 T8

Piękna, majestatyczna sylwetka. Fantastycznie wykończona kabina, wyróżniające parametry bezpieczeństwa i komfortowe zawieszenie. Luksusowy siedmioosobowy SUV w wersji hybrydowej świetnie jeździ, ale też sporo pali.

W KABINIE

Najpierw przyjemny masaż pleców. Do wyboru: powolny lub szybki, delikatny lub intensywny. Wbudowane w fotele komory powietrzne są w zależności od wybranego trybu odpowiednio napełniane i opróżniane, co pozwala zrelaksować się po ciężkim dniu zarówno kierowcy, jak i pięknej pasażerce na fotelu obok. Oba przednie fotele są podgrzewane i wentylowane. Podgrzewane są też fotele z tyłu auta.

Dźwięki płynące z zestawu 19 głośników Bowers & Wilkins można dostosować tak, aby uzyskać efekt sali koncertowej. Luksusowe wnętrze wykończone jest zaś miękką skórą, drewnem, metalem oraz szkłem kryształowym (z niego wykonana jest gałka zmiany biegów). Na środku deski rozdzielczej znajduje się 12,3-calowy dotykowy ekran, za którego pomocą steruje się nawigacją, klimatyzacją, systemem audio etc. Wrażenie robi także ogromne panoramiczne okno dachowe.

Przestrzeni jest sporo – zarówno w pierwszym, jak i w drugim rzędzie siedzeń – choć komfort typowy dla limuzyn z prezesem na pokładzie zapewnia raczej czworgu dorosłych niż pięciorgu. W trzecim rzędzie wygodnie będzie już jednak tylko dzieciom lub nastolatkom.

JAZDA

Do wyboru są trzy tryby jazdy: Pure, Hybrid oraz Power. Pierwszy jest oparty tylko na silniku elektrycznym. Gigantycznym SUV-em można wówczas jeździć kompletnie bezgłośnie. Drugi tryb wykorzystuje silnik elektryczny oraz spalinowy, a trzeci umożliwia poznanie pełnej mocy SUV-a Volvo: ponaddwutonowe auto z napędem o mocy 407 KM rozpędza się od 0 do 100 km/godz. w zaledwie 5,6 s.

Kierowca może też wybrać wysokość prześwitu. Przełączając zawieszenie na tryb OFF-ROAD, można je podnieść z 24 do 28 cm. Po przekroczeniu 100 km/godz. auto automatycznie się zaś obniża. Można też obniżyć je na parkingu, aby łatwiej było zapakować rzeczy do bagażnika.

Pneumatyczne zawieszenie bardzo dobrze radzi sobie z nierównościami. Auto jest też dobrze wyciszone – tylko przy bardzo wysokich obrotach do wnętrza dociera hałas silnika.

Na pochwałę zasługuje również układ kierowniczy.

Nie jest to jednak samochód dla zwariowanych na punkcie spalania ekologów. Hybrydowy SUV podczas dynamicznej jazdy w cyklu mieszanym spalał nam średnio 10 l/100 km, czyli ok. 7 l/100 km więcej, niż deklaruje producent.

BEZPIECZEŃSTWO

Volvo XC90 w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobyło komplet pięciu gwiazdek (97 proc. pkt w kategorii Ochrona Dorosłych Podróżujących), a także – jako pierwszy samochód w historii – 100 proc. punktów w kategorii systemów wspomagających kierowcę. Auto wykrywa inne pojazdy, pieszych oraz rowerzystów i potrafi

samodzielnie zahamować. Samochód automatycznie wyhamuje też podczas skrętu w lewo, jeżeli radar wykryje, że nie zdążymy przejechać przed samochodem pędzącym na wprost. SUV Volvo rozpoznaje też linie na jezdni, może więc korygować tor jazdy, a w razie potrzeby samodzielnie wziąć nawet bardzo ostry zakręt.

Podczas jazdy w korku auto samo hamuje i rusza. W trasie przydaje się z kolei aktywny tempomat. Komputerowe systemy ostrzegają również kierowcę o pojazdach znajdujących się w martwej strefie lusterek, a także przypominają o obowiązujących ograniczeniach prędkości.

CENA

Za hybrydowego SUV-a Volvo trzeba zapłacić co najmniej 351,6 tys. zł. Hybrydowa XC90 w wersji ze sportowym wykończeniem R-Design kosztuje 368 tys. zł, a wersja Excellence to wydatek co najmniej 533,9 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q7 e-tron, BMW X5 xDrive40e, Mercedes GLE 500e ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e6d6dc5680

TEST „DO RZECZY": ARCHOS DIAMOND ALPHA

Flagowiec w przystępnej cenie? Taki model starała się stworzyć francuska firma Archos. Francuzi uzbroili więc swojego smartfona w podwójny aparat fotograficzny na tylnej obudowie z matrycą Sony o rozdzielczości 13 Mpix ze światłem f/2.2. I trzeba przyznać, że jak na telefon ze średniej półki Archos Diamond Alpha pozwala robić przyzwoite fotografie. Na zdjęciach widać sporo detali. Niezłe są też kolory. Bardziej zaawansowani użytkownicy mogą ręcznie ustawiać najważniejsze wartości aparatu, aby zrobić lepsze zdjęcie. Telefon potrafi również nagrywać filmy w rozdzielczości 4K. Smartfon jest też wyposażony w 16-megapikselowy aparat do robienia selfie i prowadzenia wideokonferencji.

Archos Diamond Alpha w metalowej obudowie prezentuje się elegancko. Jest też lekki (155 g) i smukły (grubość 8 mm). Wyświetlacz ma przekątną 5,2 cala. Rozdzielczość: full HD (1920 x 1080) – to oczywiście wystarczająca jakość, ale jak na flagowca to już dzisiaj za mało.

Wewnątrz smartfona producent umieścił procesor Snapdragon 652. Jest on wystarczający

do wykonywania codziennych zadań bez zbędnych zacięć, ale nieporównywalnie gorszy od procesorów, które znajdziemy choćby w takich smartfonach jak Honor 9 czy OnePlus 5.

Smartfon ma 4 GB pamięci RAM – sporo, chociaż najlepsze flagowce mają już 6 GB RAM. Zaletą jest spora pamięć wewnętrzna – 64 GB – z możliwością rozbudowy za pomocą karty microSD do 256 GB. Plusem jest też dobrze działający skaner linii papilarnych umieszczony w wygodnym miejscu z tyłu obudowy.

Bateria o pojemności 2950 mAh wystarcza, aby na jednym ładowaniu smartfon działał przez cały dzień. Dziwne jest też to, że francuski smartfon z dużymi ambicjami pracuje pod kontrolą Androida 6.0 Marshmallow, czyli systemu operacyjnego, który w kategorii oprogramowania jest już mocno posiwiałym staruszkiem.

Archos Diamond Alpha nie jest flagowcem. To dobry telefon ze średniej półki. Niestety, jak na swoje parametry wydaje się trochę za drogi. Cena: 1999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

CIEPŁO/ZIMNO

Szaro i ponuro, a jak przez zamglone niebo przebije się słoneczny promień, to tylko na krótką chwilę. Pogoda typowo barowa tudzież do zaszycia się w domu pod ciepłym kocem, z dobrą książką i talerzem kanapek. Taaak, tkanka tłuszczowa to lubi. Wiem coś o tym. Jednak paskudna, szara jesień, która – nie daj Boże – przeciągnie się na całą zimę, nie powinna zniechęcać do wędrówek w teren i poznawania Polski. Mży, aż dreszcze przechodzą? Dosłownie za chwilę w sprzedaży pojawi się Cauldryn, czyli przeznaczony dla lubiących długie wyprawy w teren stalowy kubek z modułem grzewczym. Urządzenie całkiem przydatne, bo potrafiące – dzięki wykorzystaniu technologii mobilnej – zagotować płyn albo schłodzić napój do potrzebnej temperatury i utrzymać ją przez kilkanaście godzin. Pięć różnych ustawień temperatury płynu – od lodowatego do wrzącego – dzięki zastosowanej technologii Fyre ma zdaniem producentów umożliwić zarówno zrobienie drinka, jak i zaparzenie herbaty czy przyrządzenie gęstej zupy, która powinna chwilę „popyrczeć", by nabrać smaku. Bateria ma wystarczyć na kilkanaście godzin używania urządzenia bez dodatkowego ładowania. Cena, w zależności od modelu: od 200 zł do nawet 400 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

SMARTFON DLA GRACZY

Jeżeli ktoś jednak od wędrówek z samogotującym kubkiem preferuje pozostanie w domu, a od eksploracji Mazowsza czy Lubuskiego woli poznawanie nieznanych światów fantasy i walkę z goblinami lub trollami, to nie wykluczam, że zainteresuje go nowy smartfon Razer Phone stworzony specjalnie dla miłośników mobilnych gier. Obudowa wykonana jest z czarnej stali, a ekran o formacie 16:9 jest chroniony przez szkło Gorilla Glass 3 Corninga. Zarówno pod nim, jak i nad nim umieszczono głośniki stereo. To bardzo ważne – część przyjemności w podbijaniu nieznanych lądów zależy od tego, czy wystarczająco głośno słyszymy krzyki mordowanych trolli tudzież komendy w rodzaju: „Zabiję cię po obiedzie". A wracając do ekranu: Razer Phone ma 5,7-calowy ekran o rozdzielczości QuadHD (2560 x 1440 pikseli). Smartfon został oparty na układzie Qualcomm Snapdragon 835, współpracującym z 8 GB pamięci operacyjnej RAM LPDDR4. Jest też szybka pamięć UFS – 64 GB. Do tego oczywiście dwa aparaty: główny ma sensor 12 Mpix i optykę o jasności f/1,75, a drugi matrycę 13 Mpix i teleobiektyw o jasności f/2,6. Jest też aparat dla miłośników selfików: 8 Mpix. W sprzedaży w Europie w drugiej połowie listopada w cenie ok. 2,8 tys. zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl e6d6dc5680

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Transparentność albo korupcja

MARCIN MAKOWSKI: Nie jest tajemnicą, że ostatnio trudno się umówić z Tyrmandem na piwo w Warszawie. Siedzisz w tej Ameryce i na pewno coś knujesz. Co obecnie spędza ci sen z powiek?

MATTHEW TYRMAND: Od razu trudno się umówić! W listopadzie trochę się po Polsce pokręcę, ale faktycznie jestem w tej chwili zakopany w projektach i spotkaniach związanych z pracą w Project Veritas i organizacji Open the Books, o której już kilka razy w naszej kolumnie wspominałem. W skrócie – prześwietlamy transparentność wydatków sektora publicznego, korzystając z ogromnej ilości danych, które są przez ten sektor publikowane. Ktoś musi jednak nadać porządek chaosowi i wyciągnąć wnioski. A gdy trzeba, dociekać i wymagać od rządu przejrzystości. W Ameryce mamy to zapisane w konstytucji, dokładnie w artykule pierwszym, sekcja dziewiąta. Obywatel ma prawo okresowo otrzymać pełen przegląd celów, na które idą pieniądze z jego podatków. Chciałbym te same standardy przenieść do Polski. Jeśli dobra zmiana faktycznie myśli o zmianie jakości uprawiania polityki i nie chce popełniać grzechów Platformy, to musi się zabrać do promowania jawności w życiu publicznym. Spółki Skarbu Państwa nie mogą być przykrywką do dysponowania politycznymi synekurami, a tak niestety często się dzisiaj dzieje. Z drugiej strony wiele razy zastanawiałem się, jak mogło dojść do takiej patologii jak dzika reprywatyzacja.

I jakie wnioski?

To też pośrednio przyczyna braku transparentności wydatków publicznych, pracy instytucji państwowych oraz ukrywania się za gąszczem przepisów. Korupcja potrzebuje cienia, żeby się rozwijać. I taki cień w Warszawie przez lata miała – łatwo było ukryć prawdziwe intencje i wielomilionowe biznesy, gdy urzędnicy nie są zobowiązani do ujawniania operacji finansowych. Oczywiście to nie jest tak, że w Ameryce korupcja nie istnieje, a sprawozdania finansowe załatwiają sprawę. Historycznie tam, gdzie zawodziło państwo, błyskawicznie wkraczały jednak media albo organizacje pozarządowe, utrzymując system w ryzach. Gdy i one niedomagały, potrzebna była presja samych obywateli. Wiem, że nad jawnością wydatków państwowych w Polsce pracuje wielu zdolnych ludzi, w tym w Warsaw Enterprise Institute. To jednak nadal za mało.

Wydaje się, że twoje modlitwy zostały zatem wysłuchane. Minister Mariusz Kamiński zaproponował projekt ustawy o jawności życia publicznego. Urzędnicy będą musieli publikować oświadczenia majątkowe, zniesione zostaną kary za tzw. uporczywe domaganie się dostępu do informacji publicznej, wykreślone zostaną zapisy o opłatach za uzyskiwanie z urzędów informacji przetworzonych itd.

To faktycznie dobra inicjatywa, ale jeśli już jesteśmy w narracji religijnej – uwierzę, dopiero jak zobaczę. Zbyt wiele w życiu obserwowałem podobnych inicjatyw, w których rząd sam sobie narzuca standardy przejrzystości finansowej tylko po to, żeby ostatecznie niewiele zrobić, ale zyskać wymówkę, że przecież próbowano. Niestety, problem Polski polega również na tym, że nawet jeśli ten czy inny rząd wprowadzi lepsze prawo, to bez dociekliwości mediów niewiele się zmieni. I tu jest pies pogrzebany, bo media stały się częścią sporu politycznego i czerpią z tego bezpośrednie zyski. Dlatego zamiast patrzeć władzy na ręce, w skrępowaniu odwraca wzrok. Weźmy chociażby Komisję Nadzoru Finansowego, która często opieszale traktuje swoją pracę. Nikt tego specjalnie nie wytyka, po prostu akceptując ustawianie politycznych protegowanych w państwowych bankach. Myślę, że właśnie w tych wąskich gardłach, gdzie nielegalny lobbing spotyka się z publicznymi pieniędzmi, transparentność jest cechą, której każde poważnie myślące o sobie państwo musi pożądać jak powietrza. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: **ANDRZEJ KRAUZE**

eprasa.pl e6d6dc5680

MAM – rewolucja w opłacaniu rachunków rozpoczyna się w Polsce

Koszty życia, a w szczególności comiesięczne rachunki za podstawowe media, to utrapienie sporej części Polaków. Na rynku pojawiła się nowa, dostępna on-line, platforma do opłacania rachunków – MAM, która zapewnia zewnętrzne źródło do ich opłacania i sprawia, że każdy Polak, który płaci swoje rachunki poprzez platformę, może przeznaczyć na ich opłacenie tylko część kwoty z własnych środków, a resztę dorzuci mu MAM. Rozmawiamy z Marcinem Walaszczykiem, jednym z twórców pierwszej na świecie platformy do opłacania rachunków, która się do nich dorzuca.

Czy rzeczywiście MAM to rewolucja w opłacaniu rachunków za media?

MARCIN WALASZCZYK: Użytkownicy korzystający z MAM mogą przeznaczać tylko część kwot na opłacenie swoich rachunków z własnej kieszeni, a pozostała kwota pochodzi ze środków naliczonych przy okazji dokonywanych przez nich zakupów. Pod tym względem MAM wyróżnia się znacząco spośród innych usług typu EBPP (ang. electronic bill presentment and payment) i jest pierwszą tego typu platformą na świecie. Każda rodzina w Polsce musi co miesiąc opłacać średnio osiem różnych rachunków za media oraz czynsz, na łączną średnią kwotę 920 zł, co stanowi czasem nawet jedną trzecią domowego budżetu. Warto zatem szukać sposobu na pomoc w ich płaceniu i my taki sposób właśnie zaoferowaliśmy Kowalskiemu.

Czy to właśnie od sprzedawców pochodzą środki, którymi MAM dorzuca się do rachunków konsumentów?

Środki, które MAM przelewa na opłacenie rachunków użytkowników, pochodzą z wynagrodzenia, jakie otrzymujemy od detalistów, do których MAM kieruje swoich użytkowników na zakupy. W praktyce wygląda to tak, że użytkownik zamiast bezpośrednio odwiedzać strony sklepów internetowych, swoje zakupy rozpoczyna ze strony jamam.pl. Dzięki temu sprzedawcy wiedzą, że to MAM przyprowadziło do nich klienta. Za całość wygenerowanej w ten sposób sprzedaży MAM otrzymuje od sprzedawcy prowizję, z której opłaca rachunki za media użytkowników. MAM

dba o to, aby oferta, jaką użytkownik widzi w danym sklepie, rozpoczynając zakupy ze strony jamam.pl, nie była gorsza od tej, którą otrzymuje, wchodząc do niego bezpośrednio. Jeżeli występują niezgodności, to staramy się rozwiązywać ewentualne reklamacje na korzyść użytkownika. Taki system sprawia, że transakcje dokonywane za pośrednictwem MAM niosą korzyści dla każdej strony – sklepu, bo pozyskał klienta i użytkownika, który kupił coś, co i tak miał kupić, ale przy okazji zyskał środki na opłacenie rachunków.

Jak dokładnie działa MAM?

Po zarejestrowaniu się każdy użytkownik otrzymuje pakiet dedykowanych ofert dostosowanych do jego planów zakupowych w danym miesiącu. To od niego zależy, czy z nich skorzysta. Jeżeli tak, za każdy zakup MAM nalicza mu środki, które są przeznaczane na opłacenie jego rachunków za media. Z tych środków MAM opłaca jego rachunki, obniżając tym samym kwotę, jaką miał on do zapłaty. Aby mógł zapłacić pozostałą część rachunku, MAM przekieruje go do jego banku, gdzie będzie mógł zlecić przelew pozostałej kwoty.

U jakich sprzedawców można dokonywać zakupów, za które naliczane są środki zmniejszające opłaty za rachunki?

Obecnie użytkownicy platformy mogą dokonywać zakupów u ponad 500 sprzedawców oferujących swoje produkty i usługi on-line. W niedalekiej przyszłości możliwe będzie również robienie zakupów w punktach stacjonarnych. Użytkownicy MAM korzystają z identycznej oferty, która jest dostępna dla pozostałych kupujących, i tak jak oni mogą korzystać z oferowanych przez sprzedawców promocji, rabatów czy programów lojalnościowych, a mimo to zyskać jeszcze więcej.

Dlaczego warto korzystać z MAM?

Ponieważ można zyskać – MAM daje realną korzyść w postaci dorzucenia się do rachunków Kowalskiego. MAM nigdy nie obiecuje więcej niż jest w stanie rzeczywiście zaoferować – uczciwość w relacji z użytkownikiem jest kluczowa dla twórców MAM. MAM odciąża kieszenie Polaków – korzystając z platformy, zawsze wiedzą, na co konkretnie, za co konkretnie i kiedy konkretnie mogą zyskać.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl e6d6dc5680

OKIEM BLOGERKI

Prywatna wiara biskupa

KATARYNA

BP TADEUSZ PIERONEK: Wszystko zawarte jest w tych 15 punktach, które zostawił po sobie Piotr Szczęsny. Jego tekst, dość klarowny, wskazuje na to, kto jest winny jego śmierci. Gdzie jego krew popłynęła, czyje ręce splamiła. I to nie jest wcale mój pogląd. To jedynie przytoczenie słów autora, czyli Piotra Szczęsnego. Intencje protestu Piotra Szczęsnego były takie, że chciał bronić wyższych wartości. Ten człowiek zadeklarował, za co chce ginąć. Wartości, których bronił, w jakimś sensie usprawiedliwiają, że tak to zrobił.

Na wojnie nie ma miejsca dla Boga, a ksiądz biskup jest na politycznej wojnie

Piotr Szczęsny jednoczy ludzi. Myślałam, że nic nie łączy antyklerykała Jana Hartmana i katolickiego bp. Tadeusza Pieronka, a tu taka niespodzianka – obaj nie mogą się nachwalić bohaterstwa samobójczej śmierci przeciwnika rządu. Szczególnie docenić tu trzeba kompromis, na jaki musiał pójść ksiądz biskup, który – w przeciwieństwie do Hartmana – urzędowo powinien uważać samobójstwo za grzech ciężki, zwłaszcza jeśli popełnione publicznie. Tak mówi Katechizm Kościoła katolickiego, który z okazji wypowiedzi swojego biskupa musiał przypomnieć wiernym episkopat na swoim oficjalnym twitterowym koncie, podkreślając, że wypowiedź hierarchy była tylko jego prywatną opinią. Jak widać, nawet jak czegoś nie wolno, a się bardzo chce, to można. Na wojnie nie ma miejsca dla Boga, a ksiądz biskup jest na politycznej wojnie, dlatego publicznie podważa nie tylko piąte przykazanie, lecz także sam łamie ósme, obarczając polityków winą za osobistą decyzję Szczęsnego. Bo przecież „jego tekst wskazuje, kto jest winny śmierci". Jeśli przez Kaczyńskiego zabijają się porządni ludzie, to czy ktoś, kto zechciałby nas na zawsze od Kaczyńskiego uwolnić, nie zasługiwałby na podobne usprawiedliwienie? Wszak zrobiłby to w obronie wartości – jeśli nimi usprawiedliwiamy samobójstwo, to czy zabójstwo nie zasługiwałoby na podobną wyrozumiałość? Przesadzam? Tak, ale tylko trochę. Jeśli się odrzuci piąte przykazanie na użytek jednego przypadku, trudno będzie przekonywać, że trzeba go przestrzegać przy innych.

Relatywizm moralny samego biskupa musi się bardzo podobać środowiskom Kościołowi niechętnym. Bo jeśli nawet biskup dopuszcza wyjątki od świętości ludzkiego życia, to dlaczego miałby to być wyjątek jedyny? Jeśli Szczęsny był bohaterem, bo zginął za głoszone przez siebie wartości, czy takim samym bohaterem nie będzie Kowalski, który popełni samobójstwo, żeby jego rodzina mogła stanąć na nogi dzięki pieniądzom z polisy na życie? I dlaczego właściwie Kościół jest przeciwko eutanazji, jeśli dzięki niej śmiertelnie chorzy mogliby odciążyć swoje rodziny, a społeczeństwu oszczędzić kosztów związanych z opieką paliatywną? Jeśli się powiedziało „a", trzeba mieć odpowiedź na pytania: „A dlaczego nie b i c?". W ilu jeszcze sprawach prywatne opinie biskupów nijak się mają do tego, co oficjalnie głoszą?

Czy ksiądz biskup na pewno jest gotowy do kontynuowania rozważań nad świętością ludzkiego życia w zaproponowanym przez siebie stylu? Wkrótce będzie kolejna okazja, przy dyskusji o zmianie przepisów antyaborcyjnych. Zdziwię się bardzo, jeśli feministki tej prywatnej opinii księdza stojącej w tak jawnej sprzeczności z oficjalnie przez niego głoszoną wiarą nie wezmą sobie na sztandary. Jeśli życie nie zawsze jest święte nawet dla biskupa, dlaczego miałoby być dla niewierzących? ©℗

PODSŁUCHANE

Oda dla kandydata

Nieładnie, powiem ci, Grzesiu zrobiłeś. Nieładnie. Mieliśmy się dogadać w sprawie wspólnego kandydata w Warszawie, a ty Rafała wystawiasz bez konsultacji...
Ale Rysiu, jak to bez konsultacji? Przecież ja dostałem wiadomość, że ty się na niego zgadzasz. Ba, nawet więcej: że się odnosisz z entuzjazmem!

Chyba z jabłka spadłeś niedaleko od jabłoni. Kto ci takich głupot nagadał?
A, była ta od ciebie, urokliwa jak zwykle, Kamilka. Gadaliśmy tydzień temu. Ona mi mówi: „Ryszard się prawie zakochał w Rafale, uważa, że to wspaniały kandydat, nawet wiersz o nim napisał".

Jaki znowu wiersz?!
A czekaj, gdzieś tu sobie schowałem... Bo nawet na karteczce zapisałem, tak mi się spodobał. O, mam: „Kandydat mądry, miły i śliczny – dla zjednoczonej jest opozycji". Zgrabne takie, prawda? Wykorzystamy.

Ale ja to miałem przygotowane dla naszego... Znaczy – wspólnego kandydata! Tam przecież nawet nazwiska nie ma! Pół nocy nad tym myślałem!!!
No właśnie – dla naszego. No to przecież jest nasz – Trzaskowski. Ech, Rysiu, ja znowu nie wiem, o co ci chodzi. Ja ci tu nieba przychylam, daję ci gotowego kandydata, a ty... Z Aśką się znów pogryzłeś czy jak? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

Wszystko jasne. Polska, kraj, w którym Pany rządzą królikami.

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl e6d6dc5680

Hejt płazów

fot. Jerzy Gumowski

Propozycję Pawła Lisickiego, by pisać w jego periodyku, przyjąłem dla zarabiania piórem publicystycznym. Oprócz materialnych celów miałem też cel ideowy: chciałem tym piórem zwalczać zło. Zło potrzebuje niewiele, żeby wygrywać — potrzebuje tylko, aby dobrzy ludzie nic nie robili (to nie moja myśl — tak zgrabnie ujął rzecz pewien mądry Anglik, filozof/politolog Edmund Burke). Ale zwalczanie piórem zła ma też swą czarną cenę, bardzo wymierną. Jest nią nienawiść ludzi ze zwalczanego obozu. Straszliwa. Gwoli odwetu nie cofają się przed żadną kalumnią, żadnym pomówieniem, żadnym przeinaczeniem — żadnym kłamstwem. Ta wojna jest totalna — nie bierze się jeńców, trzeba ubić. Na całe szczęście ci źli ludzie kontratakują zazwyczaj głupio, prostacko, nierzadko zupełnie bez sensu, czym sami się ośmieszają/kompromitują.

Skalę wzajemnej nienawiści/złośliwości ludzkiej świat poznał dopiero dzięki wynalezieniu internetu. Co jest dziś wszędzie komentowane ze zgrozą — za granicą i u nas. Dam po jednym biadoleniu cudzoziemskim i krajowym. Głośny angielski publicysta i historyk, Timothy Garton Ash, powiedział tygodnikowi **„Der Spiegel”**: *„ — Internet jest największą kloaką w historii świata. Wokół całego globu krąży niewyobrażalnie dużo gówna. Anonimowość dodaje śmiałości. Po każdym moim felietonie, jaki publikuje **«Guardian»**, zalewa mnie fala hejtu”*. Prowadzący wywiad Romain Leick spytał: *„ — Jak pan reaguje na nią?”*, zaś Ash wzruszył ramionami: *„ — Najczęściej nie reaguję wcale. Tego typu rzeczy trzeba ignorować, wytwarzając sobie skorupę odpowiednio grubą”* (2016). Natomiast u nas Paweł Kukiz powiedział **„Do Rzeczy”**: *„ — Zgadzam się z tymi, którzy są «porażeni skalą hejtu». Ta skala ostatnio osiągnęła alarmujący poziom”* (2017).

Będąc odciętym od internetu — jestem, dzięki Bogu, odcięty od *„sieciowego”* hejtu, ale czasem ktoś ze środowiska bibliofilskiego coś mi branżowo podrzuca. To znaczy cytuje. Tak właśnie dowiedziałem się, dzięki zacytowaniu, że pewien buraczany handlarz, niezdarnie małpujący profesję antykwariusza (m.in. fałszowaniem opraw zabytkowych woluminów) i lubiący manifestować publicznie swą antypisowskość, niejaki Artur Kmiecik, bezczelnie mnie kąsał w *„Sieci”* tykając per *„Waldek”*, chociaż nigdy nie był ze mną na *„ty”*, jesteśmy sobie obcy zupełnie. Ludzie tego pokroju biorą się z obory — nie mając krztyny dobrego wychowania, szpanują swą chamidłowatością na arenie publicznej, którą internet dał wszelkim prostakom. Czasami też docierają do mnie (przez Wydawnictwo „Nobilis” i redakcję tygodnika) listy mieszające autora ***„łysej prawdy”*** z błotem za antysalonowość, antypostępowość, antygenderowość, antymichnikowość, antyesbeckość, tudzież za proklerykalizm, prototalitaryzm, prokonserwatyzm, profanatyzm, profaszyzm, propiłsudczyzm itp. Są to listy gładkie niczym raporty *„oficerów prowadzących”*, czuje się tę biegłość. Używając niegdysiejszej terminologii Rafała Ziemkiewicza mógłbym powiedzieć: *„zero zdziwień”*. Zdumiałem się bardzo tylko raz, co można traktować jako klasyczny *„wyjątek potwierdzający regułę”*:

To solidne zdumienie zaserwował mi list od życzliwego Czytelnika, tyczący Andrzeja Janickiego, dyrektora kolejno kilku wielkich drukarń (m.in. w Bydgoszczy, Warszawie i Krakowie). Ów gość wytłoczył około 30 moich książek przez minione kilka dekad, a rozmawiając podczas tej współpracy ze mną, prezentował się zawsze jako menedżer więcej niż sympatyczny, bo czołobitny, rzucający wobec mnie mnóstwem olimpijskich komplementów (czego wielokrotnymi świadkami byli: mój edytor, Krzysztof Sobieraj, jego techniczny podwykonawca, i inni pracownicy), stąd doznałem swoistego szoku, gdy wspomniany korespondent zrelacjonował mi spotkanie w „Czytelniku” (nastąpiło już po zakończeniu naszej współpracy z Janickim), na którym to spotkaniu Piotr Dobrołęcki zapytał Janickiego:

— Co nam powiesz o felietonach pana Łysiaka?

Odpowiedź brzmiała:

— Jakiego pana?!! Chama, nie pana!!! Panem to jestem ja! Mało tego — od dawna drukuję książki tego matoła, żeby miał co żreć!

Dalej biegł wylew pomyj pod moim adresem (że jestem kompletnym bęcwałem, że nie stać mnie na napisanie czegokolwiek sensownego, na chociażby jedną oryginalną myśl, że nie umiem tworzyć, umiem tylko bredzić, i podobne oczywistości), zakończony frazą wielce charakterystyczną:

— … I to wstrętne, okropne, ciągłe plucie na PO!

Wiadomo, że plucie na PO wyklucza z *„towarzystwa”*, przynajmniej esbecko–salonowego, co mi się uoczywistniło gdy przeczytałem dalszą partię listu. Czytelnik dołączył bowiem *„curriculum vitae”* dyrektora, zaczynając tak: *„Andrzej Janicki jest synem aparatczyka z Marynarki Wojennej. Sam zapisał się do partii jeszcze na studiach, ale już wcześniej był TW «Szpak» i donosił na kolegów, co zostało mu na lata. Zawsze chwali się, że wtedy tylko Aleksander Kwaśniewski, mający 27 lat, i Marek Siwiec, mający 31 lat, wcześniej dostali odznaczenie Krzyż Kawalerski Polonia Restituta”*. Słowem *„swój człowiek”* ten dyrektor, i jeszcze jaki świetny aktor: tak pięknie grał przez całe lata adoratora *„mistrza”* będącego w istocie innym m — *„matołem”*. Oraz jaki budowniczy! Własnymy rękami zbudował swą nomenklaturową pozycję w PRL–u i utrzymał ją (uwłaszczył się) w postPRL–u, robi tedy w Krakowie dzisiejszym za mandaryna.

Notabene: Kraków salonowy — gród Maleszki, Maleńczuka, Stuhrów — pełen jest aktywistów hejtujących Łysiaka ile wlezie. Exemplum niejaki Grzegorz Nieć, akademik z UJ, przejawiający zawziętość stalkera: umieszcza wewnątrz każdej prawie swojej publikacji jedno zdanie (bez żadnych detalicznych dowodów) o tym, że wszelkie teksty Łysiaka są nędzne, gdyż wykazują *„słusznie krytykowane mankamenty tak w zakresie formy, jak i samej treści”*. Rety! Ciekawe czy długo jeszcze będzie mnie takimi wtrętami prześladował (robi to już parę lat). Gdyby wyjął swą salonową główkę spomiędzy własnych pośladków i raz w życiu zdobył się na uczciwość — przestałby głosić, że kompletnie nie umiem pisać. Lecz on woli notorycznie uprawiać hejtowy stalking, klepiąc jak katarynka, że pisarstwo Łysiaka jest pod każdym względem do luftu, roi się od błędów, grzeszy dyletanctwem oraz (takim argumentem mnie zaskoczył) naiwnością. Żadnych plusów, same minusy, full obciach!

Wspomniałem wyżej również o papierowej korespondencji pełnej hejtu. Jest tego niedużo. Dużo jest listów miłych. Niedawno dostałem taki od Poznaniaka Zbigniewa Madziarka, zakończony wspominkiem tyczącym moich wykładów akademickich (Historia Kultury i Cywilizacji), na które zjeżdżała się także młodzież pozastołeczna: *„Pragnę jeszcze przypomnieć mały epizod z czasów stanu wojennego. Do Pańskiej katedry wykładowcy podszedł młody student architektury z Poznania w oficerkach i bryczesach, nieśmiało pytając czy może uczestniczyć w Pana wykładzie. Te oficerki stoją dziś obok kominka, a wówczas były moją manifestacją postawy politycznej zamiast opornika w klapie”*. Panie Zbigniewie, nasze *„opornictwo”* (w klapach i w czynach) nie poszło na marne, ale też nie przyniosło zwycięstwa definitywnego, gdyż „wojna” wciąż trwa, niestety. ©℗

Waldemar Łysiak

Szymon Szymonowic:
„Gdzie bojaźń, tam nienawiść...”
*(**„Lutnia rokoszańska”**, 1607)*

eprasa.pl e6d6dc5680

Edycja limitowana - Jerzy Dudek

Zegarek sygnowany przez ambasadora CITIZEN w Polsce - Jerzego Dudka, który poleca technologie jutra:

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Seria 500 numerowanych zegarków - wyłącznie w Polsce!

Eco-Drive
Radio-Controlled
Watch

citizen.pl

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl e6d6dc5680